

WRÓŻKA

4,- 9
1190
STANISŁAW SZPOTAŃSKI

WRÓŻKA

POWIEŚĆ



94025
NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA



265027

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0136628

KLUBU SŁUCHU



11150

Drukarnia i Litografia
JAN COTTY
w Warszawie, Kapucyńska 7.
1931

W/258/02p

I.

Gozmur wparł nogi w śnieg i oburącz trzymał smyczę, aby mu Neron nie poszedł w las. Pies był płowy o sierści puszystej, pół wilk, pół owczarz. Łapy silne z czarnymi, drapieżnymi pazurami rozbójnika. Wytarzał się w śniegu z radosną furją. Rwał się teraz, skakał i, obracając na Gozmura piękne, piwne oczy, skomlał. Wymownie prosił, aby go puścił. Wszystkie fibry drżały mu tą prośbą. Strożył uszy i machał ogonem, obiecując, że na pierwsze wołanie wróci, że nikogo po drodze nie obali i nie poturbuje. Gozmur mu nie wierzył. Neron, gdy się urwał, zapominał o wszystkim. Sunął polami bez pamięci, nie dochodził go głos pana. Koło dziesięciu ludzi przebiegł spokojnie i nagle jedenastemu skoczył do gardła. Wracał do domu niepewny, tulił pod siebie ogon, opuszczał uszy, brał kije i przy pierwszej sposobności czynił to samo. Kije potrzebne mu były dla uspokojenia sumienia — nie dla poprawy. Gdy ich nie dostał, zdenerwowany był srodze. Psuło się coś w jego porządku moralnym. Gdy je dostał, stara sprawa była zakończona, mógł zacząć nową. Niesfor-

ny był pies. Miał głębokie, niezwykłe antypatie. Niecierpiał osób nie z swojej sfery. A gdy taki niósł jeszcze na plecach worek, albo w ręku koszyk, irytacja jego nie znała granic. Uwiązany w budzie, dygotał kipiącą w sobie złością, tłumił wark, aby tylko ten ośmielający się stąpać po ziemi łapserdak przysunął się niebacznie na odległość jego zębów. Aby mu tylko zerwać nienawistny worek i odzież poszarpać!

Nienawidził wszelakich sekretarzy gminnych, sekwestratorów i miejskich hołyszów. Ubiór ich nie wprowadzał go w błąd. Żaden nie wmówił w niego, że jest mu równy. Słowa ich i czynione zdaleka uprzejme gesty za najwyższą poczytywał obelgę. Ślepia zachodziły mu krwią, w oszalałej pasji ciskał się na łańcuchu, ukazując dwa rzędy straszliwych kłów. W warku i ujadaniu opętaniem huczał nie tylko gniew, ale i druzgocząca pogarda. Człowiek nie potrafiłby tak zwymyślać psa, jak on potrafił zeszczekać człowieka. Okazywał natomiast wielką łaskawość i przyjaźń tym, których z wejrzenia do towarzystwa swoich państwa zaliczał. Rozłożony przy budzie, obracał spojrzenie przychylnie, merdał przyjaźnie ogonem, z własnej inicjatywy podawał łapę, albo na znak najwyższej sympatii ocierał się o gościa pyskiem, jakby całował się z nim.

Psu temu — indywidualiście i fantaście — należało strzelić w łeb. Gozmur tak twierdził, a jednak tylko jego z licznej swojej psiarni zabrał do Małek. Zostawił czcigodną Zorę, matkę i babkę wielu poko-

leń, posłuszną, mądrą i nieulekłą; zostawił Asa, wyżłą wytrawnego; Finkę, jamniczkę filigranową, stojącą walecznie do oczu największej bestji, szczekliwą, wszędobylską, lekką i zwinną. Fruwała poprostu polem, jak jaskółka. Wszystko zostawił, a zabrał tego wiatroducha i awanturnika.

Neron sprawiał mu kłopot niemały. Nie było służby, która miałaby ustawicznie na niego oko, a ogród był tak ogrodzony, że wydostać się przez sztachety, albo pod nie podkopać było nader łatwo. Powędrował więc do budy i pozostawał na uwięzi całą dobę. Tylko teraz, z powodu zimna, zamykano go na noc w domu, przy kuchni. Głupiec nie rozumiał swego interesu. Gdyby awantur nie wszczynął, spuszczeni byłby z łańcucha. Nigdy mu jednak wierzyć nie było można. Nawet w kagańcu nie był bezpieczny. Skoczył na piersi, obalił, potarł. Gozmur brał go codzień do lasu. Z pewną satysfakcją prowadził go przez wieś, widząc, jak chłopci spoglądają nieufnie i usuwają się z drogi.

— Nikogo się nie boją, niech więc boją się chociaż psa — mawiał. Chłop tu był hardy i bogaty. Rozsiadł się szeroko na rozparcelowanych dworskich gruntach. Mało kto czapkę zdejmował.

Mrok już zapadł, gdy Gozmur wracał do domu. Szedł wzdłuż stawów Kubarskiego, sąsiada Małek. Kubarski rozparcelował swój Gwizdów, zostawił tylko trzy włóki i stawy. Żył z ryb i pobocznych dochodów. Dworek jego pełny był jakichś urzędników, komendantów policji i różnych figur znacznych i potęż-

nych w życiu prowincji. Zjeżdżał tu sam prokurator, zawieruszył się czasem jakiś generał. Pili u niego i polowali na chłopskich gruntach, za byle co pod polowanie wynajętych. Fama głosiła, że wszystko może. Prowadził interesy chłopskie, spadkowe i działowe, ratował z opresji, wędrującym do miasta wynajdywał pracę. Przychodzili do niego ludzie z dalekich wsi. Brał w rękę wielkie, nawet kryminalne sprawy. Choć pozór starodawnego i osiadłego szlachcica czynił, mówiono, że był synem karczmarza. Nikt jednak dobrze nie wiedział, skąd się tu zjawił i za co Gwizdów kupił.

Gozmur przystanął koło stawu i obliczał, czy Kubarskiemu dochód z ryb wystarczyć może na przyjęcia, służbę i częste wyjazdy do Warszawy, czy też jest prawdą, że ryby, polowanie, stanowisko właściciela ziemskiego potrzebne mu są tylko do utrzymania i rozszerzania stosunków, dzięki którym czerpie z chłopów dochody. — Coś z tych ryb musi mieć, ale nietyle, aby miał na wszystko. — Osobiście go nie znał. Nikogo zresztą nie znał w okolicy, prócz Rukiewiczza, właściciela o milę odległego Bukowa, człowieka bogatego, zaprzyjaźnionego z rejentem Kądziewskim, właścicielem resztówki na Małkach.

Poza stawami, w kępach wystygłych drzew, błysnęło światło. To zaświeciło się w dworku Kubarskiego. Mróz szczypał. Gozmur pogłodził Nerona po karku. — Ludzie są podli — rzekł.

Gniewnym krokiem szedł ku domowi. Śnieg chrząścił pod nogami, palce w butach marzły. Coraz

większa złość go brała. Zstępowała na niego tak niespodzianie, budziła się w nim jakby ze snu. Czuł w sobie złe drzenie. W takiej chwili rznąłby kogoś w pysk, zekpał, spostonował. Sople lodu osiadały mu na długich, dawno nie strzyżonych wąsach, para buchała z ust. Zły był, że zimno, że będzie musiał iść przez wieś, że wejdzie pod ten nie swój dach i ujrzy zaraz żonę. Neron wybiegał naprzód, aż wyprężona smycz osadzała go w miejscu, skakał wbok, dyszał krótkim, szybkim oddechem, wywieszał z mordy czerwony język.

W domu się nie świeciło. Ciemny stał i smutny. Nieodmieciony śnieg zalegał ganek. Gozmur szarpnął drzwi. Zimna struga powietrza chlusnęła za nim do sieni. Przekręcił klucz, zaryglował już drzwi na noc. Obtupał śnieg z butów i wszedł do pokoju.

— Anno!

— Co? — padło niechętnie, znudzone pytanie z głębi ciemnego pokoju.

— Nawet nie odezwiiesz się, gdy wchodzę. Że też tak możesz siedzieć pociemku.

Podniosła się z kanapy i zapaliła lampę. Oświeciło ją światło na tle bezbarwnych, pokurczonych, zatechłych mebli, zamarzniętych szyb i ścian białych, niczem nieozdobnych, jakby szpitalnych. Czerwony szal, narzucony na czarną suknię, jasne o rudawym połysku włosy. Duża i mocna, ale zgrabna ręka, różowiła się pod kloszem, gdy regulowała światło. Wysocka była i gibka. Wyglądała raczej na córkę, niż żonę Gozmura.

- Nie słyszałam, że wchodzisz.
— A cóżeś robiła?
— Nic.
— Antoni wrócił z poczty? — spytał, grzejąc rękę przy piecu.
— Wrócił.
— Przywiozł co?
— Nic.
— Nawet gazet?
— Nawet gazet — otworzyła książkę i pochyliła się nad nią, udając, że czyta.
— Że też nawet gazet niema — rzekł Gozmur i oparł się o piec, jak to miał w zwyczaju. — Przechodziłem dziś koło Gwizdowa. Ciekawa rzecz, skąd taki Kubarski ma na wszystko.
— Cóż cię to może obchodzić — odparła, nie odrywając oczu od książki.
— Ciebie to może nie obchodzi, ale ja ciekawy jestem, jaki w tem jest sekret, aby utrzymać się na trzech włókach, z wyjazdami do Warszawy i urządzaniem przyjęć. Chciałbym znać taki sekret. Wiesz przecie, co ludzie o nim mówią.
— Nie trzeba wszystkiemu wierzyć, co ludzie mówią.
— Na chłopach zarabia, ale przecież nietylko, aby mieć na wszystko. Dwadzieścia razy więcej miałem od niego, a tak nie żyłem.
— Bo miałeś długi.
— Jakież ja miałem długi? — zachnął się. — Co ty mi ciągle te długi wypominasz?

- Nie wypominam ci ich.
— Ciągłe mi je wypominasz. Miałem obciążoną trochę hipotekę, towarzystwo kredytowe, bank, no i co więcej? Kto tego dziś nie ma? Byłbym wyszedł, gdybym nie wpadł w sidła oszustów. Zanadto wierzyłem ludziom.
Odszedł od pieca i, z irytacją przechadzając się po pokoju, trącił nogą zawadzającego mu psa. Neron, jakby sądząc, że w czemś zawinił, przysiadł na ogonie i wyciągnął do niego łapę. Roześmiała się.
— Czego się śmiesz?
— Neron nawet ma już dosyć tego twojego gadania.
Przeraziła się w tej chwili swoich słów, ale już było za późno, już wiedziała, że Gozmur osiągnął swój cel, znalazł powód dla zrobienia awantury. Poto tylko zaczął mówić o Kubarskim, poto tylko przypominać swoją przeszłość. Znała go nawylot.
— Nie śmieję się — zawołała. — Nie mogę się wreszcie śmiać z tego, że Neron podał ci łapę?
— Tybys się ze wszystkiego śmiała — zaczął. — Dachby się palił nad głową, tybys się śmiała. Ja nie rozumiem, jak można śmiać się ze straty swojego rodzinnego majątku.
— A ja, jak można ciągle jęczeć nad tem, co się stało.
Postanawiała, że odpowiadać mu nie będzie, a odpowiadała słowo po słowie. Zawsze tak było.
— Tobie nic się nie stało. Naturalnie. Dotknęło cię to tylko materialnie, ale moralnie nic a nic. Gdy-

byś miała na suknie, na teatr, na zabawy, to byłoby ci wszystko jedno, czy mieszkasz w swojej własnej wsi, czy w Małkach, czy w Honolulu.

Tego już było jej za wiele, i Gozmur mówił nieprawdę. Wiedział, jak bardzo mówi nieprawdę. Wolałaby wszystko, niż to jego dokuczliwe, żółciowe gadanie, owijające ją jak polip, ssące z niej siły i mózg.

Wzięła książkę i chciała wyjść z pokoju, gdy wtem Neron postawił uszy, warknął i jednym sussem, szczekając, skoczył do okna. Jednocześnie rozległo się stukanie do drzwi wchodowych.

— Antoni! — krzyknął Gozmur, chwytając psa za obrozę. — Antoni! Kto to może być? Czy nie depesza! Antoni! — Zabierz psa i zobacz, kto się dobiega — polecił zjawiającemu się wreszcie służącemu. — Ruszcie się! Weź światło! Prędko!

Anna zatrzymała się, nadsłuchując. Nie depesza. Gozmur zawsze przewidywał depeszę, a jeszcze ani jedna tutaj nie przyszła.

Ktoś wszedł do sieni. Jakiś głos obcy. Nie wytrzymała, chciała jak najprędzej zobaczyć, kto taki.

— Nie wychodź — rzekł Gozmur.

— Dlaczego? — spytała i wyszła do sieni.

W sieni w futrze i czapce stał wysoki, zaśniężony człowiek. Dopytywał o coś Antoniego. Ujrawszy Annę, zdjął czapkę i przedstawił się. Nazywał się Kazimierz Barcic, był inżynierem. Przyjechał z Warszawy. Anna kazała zdjąć z niego futro i poprosiła do pokoju. Powitał Gozmura i powiedział swoje nazwisko po raz wtóry. Przepraszał, że przyjechał i że

przyjechał o tej porze. Innego nie miał pociągu. Z pociągami tutaj fatalnie. Z trudem dostał konie na stacji. Wynajął chłopskie sanie.

Były bez dzwonek, dlatego tak cicho zajechał. Znał kiedyś te strony dobrze. Małki należały do jego rodziców, tu się urodził i tu spędził dzieciństwo. Po śmierci ojca, lat temu przeszło dwadzieścia, matka Małki sprzedała. Odtąd tu już nie był.

— Dawne czasy — zwrócił się do Anny.

Odpowiedziała mu uśmiechem, rada, że ktoś prze-rwał ten beznadziejny wieczór. Do pokoju wtargnął jakby nowy świat. Z kilku słów już zorientowała się, że ma przed sobą człowieka dobrych form towarzyskich, i bawiło ją trochę zakłopotanie, z jakim tłumaczył się ze swego przyjazdu. A Gozmur, siedząc naprzeciw, wpił się w niego oczami i słuchał uważnie. Podejrzywał, że ma przed sobą kupca na Małki. Przewidywał, że musi go zatrzymać na noc, pociąg do Warszawy odchodził dopiero nad ranem, w miasteczku nie było hotelu, ani jakiego takiego zajazdu. Niespokojny był i zły. Nie uspokoił się nawet wówczas, gdy Barcic oznajmił, że przyjechał jedynie, aby Małki zobaczyć. Po powrocie z zagranicy coraz częściej myślał o tych stronach i o tym domu. Nieprzeparta siła go tu ciągnęła. Nie mógł się jej oprzeć. I postanowił nagle, że przyjedzie.

Powiedziawszy to, przegarnął ręką ciemną czuprynę i pociągnął kłapy marynarki, jakby tym gestem przecinał całą kwestję.

— Sympatyczny oryginał — pomyślała Anna.

— Więc teraz Małki są własnością państwa? — spytał.

— Nie — odpowiedział Gozmur. — Majątek ten został rozparcelowany. Krewny mój kupił dwór, ogród i kilka morgów — resztówkę. My tu mieszkamy chwilowo. Ja miałem piękny majątek, ale mi przepadł w czasie tych kryzysów ekonomicznych. Któż dziś na ziemi może się utrzymać? Krewny mój, Kądzielewski, ofiarował nam tu gościnę, zanim interesy uregulujemy i osiedlimy się gdzieś na stałe. Pan urodził się w tym domu, rozumiem, że pan chciał go zobaczyć. Jakież na panu przyjazd tu uczynił wrażenie?

Anna musiała zająć się kolacją. Wróciła jak najszybciej, nie chcąc nic stracić z rozmowy. Barcic właśnie opowiadał, jak dwór wyglądał za jego pamięci. Pamiętał dzielącą go sień. Pytał o pokój, leżący po drugiej stronie, z oknami na ogród. Pokój, w którym siedzieli, był pokojem jego ojca. Przypominał go sobie doskonale. Pokazywał, gdzie przybite były rogi jelenie. Biurko stało w tem samem miejscu. Przed szezlongiem, na którym ojciec wyciągał się po południu, stał stolik z pudełkiem tytoniu i gilz. Ojciec palił bardzo dużo. Mięszał różne gatunki tytoniu, ale nie robił nigdy większej ilości papierosów, tylko po jednym do zapalenia. Pamięta go zawsze z maszynką, nabijającego tytoń do gilzy. Pokój sypialny rodziców był po tamtej stronie. I jego pokój dziecienny także.

Gozmura znudziło już to opowiadanie. Chciał przedewszystkiem wiedzieć, czy Barcic zanocuje.

— Czy konie pan odprawił? — spytał.

— Nie.

— No, jakże można! Nie przypuszcza pan przecież, że pana na noc puścimy.

Barcic skłonił się.

— Antoni! — zawołał Gozmur. — Powiedz temu człowiekowi, że nie będzie czekał.

— To już mu i zapłaćcie — rzekł Barcic, wyjmując pieniądze i kładąc je do ręki Antoniego. — I moja walizka jest na saniach.

— Śpieszno panu zapewne do zobaczenia tego domu — przerwała epizod Anna.

— Jeśli pan sobie życzy, to natychmiast panu służyć — dodał Gozmur. — Musi pan tylko coś wziąć na siebie, bo sień zimna i niewszędzie napalone. Palimy tylko w tych pokojach, które zajmujemy. Przesiadujemy tutaj i tutaj jadamy. Mrozy ścisnęły tego roku.

— Ale pan chciałby obejść ten dom sam, bez nikogo — przerwała.

— Czy istotnie byłoby to możliwe? — spojrzał na nią z wdzięcznością.

— Niech pan weźmie świecę i niech pan idzie sam — rzekła żywo. — Nie krępuj pana. Przejdzie pan sień, otworzy pan pierwsze drzwi, wprost tych.

Zapaliła świecę i podała mu. Gozmur łypnął na nią oczami z irytacją, natychmiast jednak przymusił się do uśmiechu. Barcic nie zauważył ani jego spojrzenia, ani uśmiechniętego grymasu. Odebrał świecę od Anny. Ręka mu drżała, jakby z wielkiego

wzruszenia. Wzruszenie, nie wiedzieć czemu, udzieliło się i jej, odprowadziła go wzrokiem do drzwi.

— Cóż ty zrobiła?! — zawołał Gozmur. Trząsał się ze złości.

— Czego chcesz ode mnie? — udzielił się jej gniew. — Cóż ja takiego zrobiłam?

— Jak mogłaś zrobić coś podobnego? Ani go nie znasz, ani nie wiesz, co za jeden!

— Przedstawił się.

— Cóż, że się przedstawił?! Doskonała jesteś! Przedstawił się, przedstawił... — przedrzeźniał ją. — Proponujesz człowiekowi, którego nie znasz, aby chodził w nocy ze świecą po całym domu, dlatego, że się przedstawił.

— Byłoby niedelikatnością, gdybyś mu towarzyszył.

— Nie byłoby żadnej niedelikatności. Żeby ktoś obcy chodził ze świecą po całym domu! Długo żyję, a jeszcze nic podobnego nie widziałem. On wogóle jest dość bezceremonjalny. Przyjeżdża w nocy z rzeczami, ani pyta. Czego on chce, radbym wiedzieć.

— Powiedział ci.

— E, powiedział! W ciebie wszystko można wmówić. Nie przypuszczasz, że on to chce kupić? Taki odrazu nie powie. Zamówi się po co innego, z myślą, że mu kupno zaproponują, i wtedy mniej zapłaci. Nie myślisz, że on to chce kupić? — powtórzył.

— Skądże mogę wiedzieć? Może.

— A my cobyśmy wtedy zrobili?

— Przenieśliśmy się do Warszawy.

— Za co?

— Czegóż niepokoisz się niepotrzebnie? Ani wiesz, czy on chce kupić, ani czy Kądzielewski chce sprzedać.

— O ile wiem, Kądzielewski o sprzedaży nie myśli.

— Więc jeśli wiesz.

— Gdyby dostał dobrego kupca, możeby pomyślał.

— Tobysmy się stąd wyprowadzili.

— Ty byłabyś nawet kontenta.

— Możeby i była.

— Ja ciebie zupełnie nie rozumiem. Tu jeszcze nie jest najgorzej. Dziękujmy Bogu, że mamy nad głową dach. Gdybym cię usłuchał i gdybyśmy zamieszkali w Warszawie, zostalibyśmy już bez dachu.

Nie odpowiedziała. Zapanowała nad sobą, byle się tylko uspokoił. Podczas takich rozdrażnień byle co powodowało wybuch. Wpadał w wściekłość tak samo, gdy mu potakiwała, jak wtedy, gdy mu przeczyła. Najlepiej było nic nie mówić.

Szybko się postarzał. Starość spadła na niego piorunem. Starość zła, burzliwa. Nie był młody, gdy ją poślubił, pełen był jednak życia i energii. I nagle, w oczach, stał się zaciętym, złym, a umysłowo nieodłączającym starcem. Poczula się samotną. Miała też wstręt do tej resztówki, gdzie nic się nie działo, gdzie nie było ani orki, ani siewu, ani ruchu wielkiego podwórza, ryku bydła i rżenia koni. Dom i ogródłączony był kiedyś z polami, łąkami, lasami — z ży-

ciem. Teraz życia brakło, teraz stał się jak głowa pięknego człowieka, odcięta od tułowia, zabalsamowana i wbita na tykę. Czuła się upokorzona, że mieszka nie w swoim domu, u krewnych męża. Przykrości jej nie czynili, byli delikatni i okazywali jej sympatię, niemniej była wśród nich ubogą krewną. Nie mogło być dla niej gorszej, bardziej poniżającej sytuacji. Wolałaby przepaść odrazu.

Gozmur chodził i zżymał się, nie zwracając uwagi na Antoniego, nakrywającego stół.

— Zaniósłś walizkę do pokoju?

— Zaniósłem walizkę i futro, co je zostawił w sieni.

— Jakież to futro? No jakie? lisy? elki? oposy?

— Ach! — westchnęła Anna.

— Nie wiem jakie, ale lisy to nie.

— Dawniej, gdy ktoś przyzwolicie się nazywał i porządnie wyglądał, to był porządny człowiek. — A dziś nic nie można wiedzieć. Maniery jakieś dziwne zapanowały. W każdym razie dawniej człowiek przyzwoity nie chodziłby sam ze świecą po cudzym domu.

Umilkł na odgłos kroków powracającego Barci. Wzruszył jeszcze ramionami i pośpiesznie przybrał uprzejmy wyraz twarzy.

— Obchodził pan te pokoje, jak duch. — Właśnie mówiłem do żony, że chyba duch tak wraca na ziemię, jak pan wrócił do tego domu. Jeszcze raz spojrzeć, albo dokonać po śmierci, czego za życia do-

konać nie zdążył — uśmiechnął się finezją. — Niech pan będzie łaskaw zająć miejsce. Nie oczekiwaliśmy dziś nikogo, niech więc pan daruje, że tak skromnie, po domowemu.

Barcic przyglądał się uważnie Antoniemu.

— Czy pani pozwoli, że o coś zapytam?

— Proszę pana.

— Wy dawno tu jesteście?

— Już będzie ze trzy lata.

— A stąd?

— Nie, nie stąd.

— To starych ludzi tutaj nie znacie?

— Tych, co są, znam.

— Nie wiecie, niema tu nikogo, ktoby w tym dworze służył dwadzieścia kilka lat temu, lub więcej?

— O takim nie słyszałem.

— Pan chciał zobaczyć kogoś z dawnej służby? — spytała.

— Właśnie.

— Nikogo tu już niema — rzekł Gozmur. — Służba nie trzyma się teraz latami, jak dawniej, a i dom ten, od czasu, jak pan go opuścił, przechodził z rąk do rąk. Antoniego przyjął Kądzielewski, gdy to kupił. Na wsi też ludzi starych niema. Chłop u nas krótko żyje. Pięćdziesiąt lat — i po nim. Pan tego nie uważał? Prawda, że pan przebywał zagranicą. Dawno jednak mieszka w tej okolicy najbliższy nasz sąsiad, Kubarski. Wprawdzie go nie znam.

— Nie słyszałem tego nazwiska. Ale czy żyje i mieszka tu pan Rukiewicz z Bukowa?

— Żyje i mieszka. Pan go zna? — spytał Gozmur.

— Bywał u moich rodziców, bardzo był z nimi żyty. Wysoki, postawny, z pięknym jasnym wąsem.

— Wysoki został zawsze, lecz wąsy ma już siwe. To stary człowiek. Ma koło siedemdziesięciu lat. Trzyma się jednak doskonale. Kłopotów nie ma, stary kawaler, bogaty, majątek piękny. Słyszałem, że kiedyś był wielki dziwak, ale teraz na starość oddziwaczał. Światły człowiek, dużo podróżował.

— Ten sam — rzekł Barcic. — Chętnieby go zobaczył.

— Cóż łatwiejszego. Zatrzymamy pana i pojedziemy do Bukowa. Może jutro?

Annie oczy poweselały. Bardzo lubiła Buków i Rukiewicza. Jedyna sposobność zagrania na fortepianie. W Małkach fortepianu nie było.

— Więc, słowem, wszystko pan tu odnajduje, i dom, i dawnych znajomych — rzekła.

— Czy człowiek odnajduje to, czego szuka?

— Jeżeli szuka rzeczy istniejącej, to ją odnajduje, bo połączony jest z nią wspólną atmosferą — odpowiedziała z wewnętrzną, wywołującą nastrój kokieteryjną.

Zagadali się i zapomnieli o Gozmurze, który odsunął próżną szklankę od herbaty, usiadł w fotelu bliżej pieca i zadrzemał. W przyległym pokoju uderzyła dziesiąta. Zegar bił mosiężnym, pełnym dźwiękiem. Barcic drgnął i wsłuchał się w ten dźwięk. Słuchał, jakby chciał zdać sobie z czegoś sprawę.

— Bolek, ty śpisz? — Anna spojrzała na męża.

— Co znowu! — Ocknął się i wstał.

Barcic musiał się pożegnać. Gozmur zaprowadził go do przygotowanego pokoju. W piecu się paliło, drzwiczki od żaru ognia były czerwone, ale zimno jeszcze nie odeszło. Pokój oddawna nie był ogrzewany.

— Musi pan nakryć się futrem — rzekł Gozmur.

Anna długo nie mogła zasnąć. Myślała o tęsknocie, sprowadzającej człowieka na miejsce urodzenia. Słyszała, że takie uczucia przychodzą na starych ludzi przed śmiercią, że człowiek wlecze swoje kości na miejsce pierwszych wspomnień, że ludzie z obczyzny wracają do swego kraju, aby w nim umrzeć. Jednak Barcic był młody. Przypomniła sobie jednocześnie, że sama najbardziej tęskniła, kiedy była dzieckiem. Gdy z rodzicami opuściła mieszkanie, w którym się wychowała, z drugiej części miasta wracała jak kot. Wchodziła do bramy i na schody. Miała nieprzepartą ochotę zadzwonić do drzwi, poprosić, aby ją wpuszczono, zobaczyć, co stoi tam, gdzie stało jej łóżko, kto zajmuje pokój rodziców, co dzieje się w pokoju stołowym.

Myśli jej zmieszało ujadanie Nerona. Szczekał tak gniewnie i napastliwie, jakby ktoś obcy wszedł do domu. Gozmur przebudził się i podniósł na łóżku. Trzeba było wyjść zobaczyć. Naciągnął buty, kożuszek, włożył do kieszeni rewolwer i zszedł do sieni. Pies szczekał, jakby wołał. W domu było cicho, ani szmeru. Ktoś musiał być nazewnątrz w pobliżu. Drzwi wchodowe otwarte były z klucza. Zaklął. Naturalnie

Antoni nie zamknął ich za Barcicem. Wyszedł przed dom.

Noc była widna, wyiskrzona gwiazdami, mroźna. Grube warstwy śniegu pokryły dachy i drzewa. Gozmur stał chwilę, wsłuchany w tę śnieżną ciszę. Ani szmeru. Koło domu nie było nikogo. Skierował się więc ku ogrodowi i tam w alei ujrzał Barcica.

— Tłucze się, jak Marek po piekle! Nie mógł czekać do rana!

Zawrócił niepostrzeżenie. Nie chciało się mu gadać, ani pozostawać na zimnie.

— To ten inżynier po ogrodzie spaceruje. Ogląda miejsce swego urodzenia — rzekł zgryźliwie. — Gdybym tak Nerona wypuścił, miałby się zpyszna.

— Co ci do głowy przychodzi?!

— Nie bój się, nie puszczę. Niech sobie łązi. Mam nadzieję, że drzwi zamknie za sobą.

II.

Sanki były małe, na dwie osoby. Barcic ze względu na wiek Gozmura nie chciał korzystać z praw gościa, ale Gozmur mówić o tem nie pozwolił i usadowił się na przednim siedzeniu, koło furmana. Barcic rad był, że siedzi koło Anny. Podobą mu się w futrzanej czapeczce, naciśniętej na uszy, z pod której wymykały się kosmyki gorącym złotem połyskujących włosów, z ustami prawie purpurowymi od zimna, roz-

chylającymi się w uśmiechu. Miała ładne, równe zęby. Ukradkiem obrzucał ją spojrzeniem. Zauważył, że futro jej w kilku miejscach było wytarte i nagwał potrzebowało remontu.

Bieda, aż piszczy. Nachylił się i otulił jej nogi opadającą wciąż na dno sanek derą, podbitą baranem.

Konie szły szybko, choć bardzo do jednego zaprzęgu niedotrane. Jedna klacz, kara, rosła i chuda, o wielkim łbie — istna megiera — cwałowała ciężko i od czasu do czasu usiłowała chwycić zębami za grzywę swoją towarzyszkę, to zbyt zwalniającą, to znowu puszczającą się w galop, małą kasztankę, dość spaśną, o potulnym wyglądzie wielkiej owcy. Jedyne to były konie na resztówce w Małkach.

Skreśli koło krzyża na szeroki, wyslizgany gościniec, biegnący do miasteczka, mając po prawej stronie Gwizdów, po lewej płaszczyznę śniegu pól chłopskich. Tu i owdzie stał samotny chłopski domek, odrzucony od wsi, ciągnącej się za małkowskim dworem we dwa rzędy. Chłopi powoli budowali się oddzielnie i nadawali swym siedzibom wygląd małych ferm.

— Dobra droga — rzekł Barcic.

— Niechby pan tu przyjechał na wiosnę — roześmiała się Anna. — Roztopy nie do przebycia. Konie po brzuchy zapadają. Teraz śnieg i mróz, więc się jedzie. Gościniec ten figuruje na mapie jako szosa. Moskale mieli tu budować szosę, ale pieniądze rozkradli i tylko ją na mapie pobudowali. Latem znowu piach i tylko wtedy jako tako się jedzie, gdy deszcz

pokropi. Męką jest dostać się na stację. Nieraz z furmanem z bryczki schodzę i przez najgorsze miejsca idę pieszo. Konie tak do tego przywykły, że same przystają, a ta mała obraca łeb i oczami domaga się, aby jej ulżono.

— Nie pamiętałem, że drogi są tu takie złe.

— Rodzice pana mieli konie dobre, cugowe. Dobremi końmi wszędzie przejedzie.

Mówiła to pogodnie, bez skargi. Śnieg łyskał jak przysypany szklivem, sanki mknęły równo, posuwisście, brzęcząc figlarnie jednym dzwonkiem. Minęli olszynkę, leśne wyręby, świerki karłowate, białymi nakryte czapami, i tam, gdzie gościniec wyginał się ku miastu, między kuźnią a odrapaną, jak liszajami okrytą, karczmą, zjechali na boczną drogę, zrzadka wierzbami obsadzoną. Z tej, wiodącej ku wiosce, wydostali się na drugą. Na jej krańcu wielkie kępy drzew.

— Już Buków.

Sanki furknęły raźnie w otwarte naościęz wierzeje wielkiej bramy o dwóch słupach kamiennych, stały się malutkie i pocieszne na wspaniałym wjeździe, między dwiema linjami starych, potężnych drzew parku, ubożuchne przed wielkim dworem. Pół dwór, pół pałac, murowany, z wysokimi na terasę schodami. Na odgłos dzwonka stary lokaj Rukiewicza, Stanisław, już stał na ostatnim stopniu schodów. Pomagał zejść.

— Pan jest?

— Jest.

Gdy rozbierali się w przedpokoju, ogrzanym, urządzonym jak pokój do przyjęć, żwawym krokiem, ręce wyciągając, wyszedł do nich Rukiewicz.

— Witam kochanych państwa! Jak się droga pani miewa? — całował Annę w obydwie ręce. — Jak to pocziwie z waszej strony. Myślałem, że zapomnieliście o mnie. Sam wybierałem się do Małek. Byłbym wczoraj przyjechał, ale coś zaszło.

Twarz miał pociętą siatką zmarszczek, trzymał się jednak krzepko i prosto. Siwe wąsy, podkrecone do góry, gęsta, biała jak mleko czupryna, bystry, ostry, dalekosiężny wzrok.

— Ale pan nie wie, kto z nami przyjechał — rzekła Anna.

— W każdym razie ktoś bardzo miły — odpowiedział, wyciągając rękę do Barcica.

— Bardzo dawny pana znajomy, pan Barcic.

— Barcic...

— Kazimierz Barcic. Pan mnie nie pamięta.

Rukiewicz nie odpowiedział, tylko pociągnął go pod światło i patrzył prosto w oczy. Rękę jego trzymał w żelaznym uścisku. Nagle drgnął, jakby sobie przypomniał, że ma gości i okrągłym ruchem:

— Proszę, niech państwo będą łaskawi.

Widać było, że jest myśliwym. Pokój, do którego ich wprowadził, przybrany był w głowy dzików. Jednak na ścianach wisiały także sztychy dużej artystycznej wartości, kilka większych i mniejszych obrazków olejnych, na stolikach i półkach cacka przeróżne, bibloty, popielniczki w kilku miejscach poustawiane,

pod ręką. Meble wygodne. Na biurku książka rozłożona w oprawie ze skóry, z czerwoną do zakładania kart wstążeczką.

Rozsadził ich na kanapie i fotelach i znowu uderzył oczami Barcica.

— Matka umarła...

— Dawno — odpowiedział Barcic. — Nie mogła przeżyć śmierci ojca.

— Spoczywa w Warszawie... — mówił tak, jakby wiedział.

— W Warszawie.

— Podobny pan do niej — przyjrzał mu się — podobny pan do niej.

— Jestem bardzo szczęśliwy i bardzo wdzięczny państwu Gozmurom, że mnie do pana przywieźli.

— Słyszał pan o mnie?

— Mówiliśmy wczoraj o panu w Małkach.

— Nie, ale przedtem?

— Przedtem nie — Barcic zawahał się. — Myśmy wszelkie stosunki z tą okolicą zerwali. Moja matka o nikim nie mówiła. Ja jednak tak pana pamiętam, że bym nawet pana poznał. Pan był wielkim przyjacielem moich rodziców.

— Dawno pan przyjechał?

— Wczoraj.

— Na długo?

— Nie puścimy pana tak odrazu — wmieszał się Gozmur. — Jak go tak tu ciągnęło, to niech teraz siedzi. Pan Barcic przyjechał zobaczyć miejsce swego urodzenia. Pierwszej nocy obszedł ze świecą cały dom.

— Ach! to dlatego pan przyjechał?

— Tak.

— A czym pan się zajmuje? Jak pan swoim życiem pokierował?

— Jestem inżynierem - architektem.

— Studjował pan w kraju?

— Zagranicą.

— A teraz pan stale w kraju?

— W Warszawie.

— Dobrze panu się powodzi?

— Dobrze. Ze sprzedaży Małek zostało tyle, że i kształcić się mogłem i biuro otworzyć.

— Naturalnie. Pan powinien być człowiekiem zaможnym. Kto po śmierci matki panem się zajmował?

— Była ustanowiona opieka.

— A wojnę, gdzie pan przebył?

— We Francji, na froncie.

— Nie był pan ranny?

— Nie byłem.

— Żonaty pan?

— Nie.

— Matka umarła w pięć lat po opuszczeniu Małek — rzekł jeszcze Rukiewicz.

— Tak — Barcic potwierdził.

Nagle Rukiewicz zmienił rozmowę. Przerwał indagację. Ani słowa o dawnych wspomnieniach. Nie przypomniał nawet, że Barcic dzieckiem przyjeżdżał z rodzicami do Bukowa. Zajmował się więcej Gozmurami, niż nim. Tylko czasami rzucił jakieś pyta-

nie, i wtedy znowu oczy jego stawały się przenikliwe i odgadujące. Anna zauważyła to dobrze. Odczuła, że pomiędzy tymi ludźmi jest jakaś łączność i że Rukiewicz ma nieobojętną przychylność dla Barcica. Musiał go lubić, gdy był dzieckiem. — Ma do niego afekt — sformułowała sobie w myśli.

Rukiewicz mówił dużo i baczył, aby koła rozmowy nie skrzypiały i obracały się lekko. Wybuchał często śmiechem. Podkreślał nim trafność lokalnych obserwacyj Gozmura. Gozmur poweselał. W komforcie bukowskiego dworu znalazł swoją oprawę. Styl jego był inny, niż w Małkach. Przy kolacji, pod wpływem wina, sreber i światła, żartował. Do żony zwracał się z odcieniem tkliwego humoru starego męża.

Gdy przechodzili do salonu, Rukiewicz, puszczając Gozmurów przodem, położył rękę na ramieniu Barcica.

— Niech pan nie wraca dziś do Małek, niech pan zanocuje u mnie.

Barcic zawahał się.

— No, już — rzekł Rukiewicz.

I skinął głową na znak, że rzecz załatwiona.

Anna otworzyła fortepian. Przerzucała nuty, grając urywki z różnych kompozycyj. Gdy chciała kończyć, Rukiewicz prosił, żeby nie przestawała. — Nawet pani nie wie, jaką pani wyświadcza mi łaskę. Ja nie gram, a bez muzyki żyć nie mogę. I tak ten fortepian tu stoi, czekając, aż się ktoś nad nim zlituje.

Gozmur, jakby odmłodził, założył nogę na nogę i z zadowoleniem zerkał na Barcica. Najwidoczniej

chełpił się żoną. W jego postawie, niedbałym a swobodnym geście, w przymrużeniu nawet siwych oczu, było zupełnie coś innego, niż w Małkach. Jakiś ton odradzającego się światowca.

Nagle zagrała marsza Beethovena.

Rukiewicz odrzucił głowę wtył, wsparł się o poręczę fotelu, wzrok leciał mu daleko, a Gozmur pochylił się pół ciałem, ręce oplótł o kolana i przymknął oczy. Barcic, słuchając, myślał, jak mówić będzie z Rukiewiczem. Jak go zagadnie o tę sprawę. Czy Rukiewicz wie? Czy go zrozumie? Musi mówić z Rukiewiczem, może ta rozmowa wszystko wyjaśni. Tonął w swoich myślach, skupiających się przy tej dojmującej muzyce, jakby dla nich była stworzona. Pierzchyły od niego wszystkie zewnętrzne wrażenia. Jakby je wiatr zmiótł. Przysłonił oczy ręką. Ocknął się, gdy Anna wstała od fortepianu.

Gozmurowie zbierali się do odjazdu. Nie dali się zatrzymać.

— Pan zostaje? — spytała Anna, gdy Barcic ją zegnał.

— Ale jutro zobaczymy pana na pewno — nastawał Gozmur.

— Chodźmy do mego gabinetu — rzekł Rukiewicz, gdy rozległ się już brzęk dzwonka i Stanisław zarygłował drzwi od przedpokoju. Teraz pogadamy swobodnie. Jeszcze nie jest późno. Ale pan może wcześniej spać się kładzie?

— Przeciwnie — odparł Barcic.

— I zresztą ja bardzo wiele mam z panem do pomówienia.

Rukiewicz spojrzał na niego uważnie.

— Słucham — rzekł.

— Ja nietylko przyjechałem, żeby zobaczyć Małki — zaczął Barcic, siadając w gabinecie naprzeciw Rukiewiczowi — właściwie nie poto nawet przyjechałem, panu mogę wyznać szczerze, ze względu na przyjaźń, jaka pana z rodzicami moimi łączyła.

Widać było, że wielki zadawał sobie trud. Nie był przygotowany, aby zwięźle rzecz wyłożyć. Płatał się. Rukiewicz patrzył na niego badawczo, nie spuszczaając wzroku.

— Widzi pan — Barcic wprowadzał w myśli łańd opowiadania — zagranicą dopiero, po śmierci matki, zacząłem zastanawiać się nad rzeczą, którą zapamiętałem z dzieciństwa... Pan wie — spytał nagle — dlaczego mój ojciec umarł? Z czego? Jaka to była choroba?

— Atak sercowy. Matka panu nie mówiła?

— Ojciec podobno zapadał na serce, wiem. Ale czy rzeczywiście umarł z ataku sercowego, jak mówiono? Ja też w to wierzyłem. Nie miałem powodu powątpiewać. Miałem dwanaście lat zresztą, kiedy ojciec umarł. Wątpliwości zaczęły budzić się we mnie później, już po śmierci matki, zagranicą. Matka o śmierci ojca nie mówiła. Unikała rozmowy o tem. Ta śmierć ją zdruzgotała. Nie była w stanie wracać do niej myśłą. Czy to był rzeczywiście atak sercowy?

— Atak sercowy — odpowiedział Rukiewicz.

— Pan widział po śmierci mego ojca?

— Mnie wtedy nie było w Bukowie. Przyjechałem już po pogrzebie. Już wówczas byliście na odjeździe. Ale skąd pan powziął takie dziwne wątpliwości?

— Muszę zacząć od początku, iść za koleją swoich wspomnień, bo inaczej mnie pan nie zrozumie. Na pewien czas przed śmiercią ojca słyszałem go mówiącego do siebie. Słyszałem w bardzo dziwny sposób. Nie byłem w tym samym co on pokoju, nie byłem nawet w pokoju drugim. Teraz mi się zdaje, zdaje mi się tylko, oczywiście, bo odszukać tego w pamięci nie mogę, że byłem na drugim końcu domu, w moim pokoju dzieciennym, a jego słyszałem mówiącego w swoim gabinecie.

— To się panu tylko zdaje.

— Może mi się tylko zdaje — Barcic podniósł się z krzesła. — To jest jednak właśnie ta ważna sprawa. Czy ja ulegałem jakimś halucynacjom, jakimś dzieciennym przywidzeniom? Czy akustyka tego domu jest taka dziwna, że głos przechodzi przez ściany i odbija się w różnych miejscach? O tem chciałem się przekonać w Małkach. Nie pamiętam, abym kogo innego tak słyszał. Abym czyjaś rozmowę tak pochwycił. Tak słyszałem tylko mego ojca. I to bardzo rzadko. Kilka razy przed śmiercią. Słowa mnie nie dochodziły, tylko głos. Głos smutny, skarżący się. — Ostatni raz, pamiętam, ojciec wrócił z podwórza, położył się. Ja byłem u siebie. Rodzice o czemś mówili. Nie wiem o czem. Pewno matka pytała, co mu dolega. I nagle usłyszałem przeraźliwy krzyk matki. Wbiegłem do pokoju.

Porwała mnie w ramiona, wołając: „Ojciec twój umarł!” Kilka lat minęło, nim zacząłem o tem wszystkiem myśleć. Powiedziałem panu, że dopiero zagranicą. Niepokoiła mnie coraz bardziej myśl, dlaczego mój ojciec umarł. Czy się nie stało coś, o czem ja nie wiem, a co przede mną matka moja kryła? Pan nie wie, nie było jakiegoś nieszczęścia?

— O niczem podobnem nie wiem.

— Jeśli nie ulegam jakimś halucynacjom, to innej hipotezy postawić nieposob. Wszystko to zresztą łączy się z jednym. Z tym głosem mego ojca. Jeżeli dom w Małkach jest jak każdy inny, jeżeli nie słychać z dalszych pokoi, co się mówi, to uległem halucynacji i halucynacja była powodem moich przypuszczeń. Ale jeżeli halucynacji nie było, to pan rozumie, że muszę dojść do prawdy i ją poznać.

— Gozmurom nic pan nie mówił?

— Ani słowa. I wogóle nikomu dotąd nie mówiłem. Pierwszemu panu. Mam przeświadczenie, że panu mogłem powiedzieć.

— Dobrze pan zrobił. Rozumiem niepokój pana i całą tę psychologję wspomnień. Ojciec pana mógł mieć różne przykrości. Choćby z jego charakteru to wynikało. I może słyszał pan, jak mówił sam do siebie. Naturalnie, słyszał pan z drugiego, a nie z czwartego, czy z piątego pokoju. To już urojenie. Przykrości mógł mieć. I mógł się na nie skarżyć sam przed sobą. Zwłaszcza, że z innymi był mało mówny. Ale jedno jest pewne, że śmierć jego była naturalna. Atak sercowy. Na to umiera się błyskawicznie. I niespodziewanie. Jan

Barcic się nie zabijał i nikt go nie zabił — bo może pan i o tem myśli. — Upewniam pana.

— Czy ojciec mój był człowiekiem szczęśliwym?

— Któż jest człowiekiem szczęśliwym?

— Ja wiem, ale w rozumieniu zwyczajnem?

— W rozumieniu zwyczajnem nie miał powodów na życie się skarżyć. Powodziło mu się dobrze, majątek miał ładny.

— Powiedział pan, że z charakteru mego ojca wynikały różne przykrości.

— Trzeba, aby pan się uspokoił — rzekł Rukiewicz.

Barcic stał przed nim. Ujął go za rękę i posadził koło siebie. Nie wypuszczał jej ręki z swojej dłoni. Zamyślił się tak, jak zamyśla się człowiek, gdy odzwiera w sobie rzeczy ubiegłe i czyni poszukiwania w pamięci. Barcic czekał. Przywarł do niego oczami.

Powoli Rukiewicz zaczął mówić. Z przerwami, z namysłem. Opowiadanie jego było rzeczowe. Nie dodawał komentarzy, dbał tylko o dokładność szczegółów. Gdy o czemś zapomniał, powracał i opowiadał drugi raz. Przed Barcicem płynęły lata, jedno po drugich.

— Ojciec pana był człowiekiem niemłodym. Umarł, mając sześćdziesiąt kilka lat.

— Sześćdziesiąt dwa.

— Może — zgodził się Rukiewicz — wyglądał starszej. — Matka była kobietą młodą.

— Dwadzieścia lat różnicy.

— Tak.

Rukiewicz znał ich jeszcze przed urodzeniem Kazimierza. I wtedy znać już było tę różnicę wieku, która akcentowała się coraz bardziej.

Tu uczynił taką refleksję:

— Zawsze jest tragedia wewnętrzna w podobnych związkach. Literatura szuka w nich tematów do romansowych przygód, zawłości i intryg. W życiu przedstawia się to inaczej. Młoda dziewczyna, nieraz prawie dziecko, wychodzi za dojrzałego mężczyznę. Narazie to jest normalne, niema między nimi takiego przedziału, aby ona nie mogła być jego żoną, a on jej mężem. Normalność jednak trwa krótko. Niebawem różnica wzrasta tak, że on staje się jej ojcem. Wobec opieki, oparcia, które jej daje, wobec jego doświadczenia, ona coraz bardziej czuje, że ma koło siebie ojca. Stan duchowy tych dwojga ludzi jest zupełnie odrębny, różne wszystkie reakcje uczuciowe — poprostu dlatego, że inny jest człowiek młody, niż stary. Jan Barcic żonę kochał i był z nią ustawicznie skłócony. Ona kochała go także i nie mogła z nim wytrzymać. Gdyby był naprawdę jej ojcem, lub opiekunem, a ona naprawdę jego córką, lub wychowanką, uwielbialiby siebie wzajemnie i nie byłoby między nimi cienia nieporozumienia. Ale mąż i żona!

Barcic nie pamiętał swojej matki tak, jak o niej opowiadał Rukiewicz. W Warszawie, po opuszczeniu Małek, żyła tylko dla niego. Wstawała rano, nim poszedł do szkoły, aby dojrzeć jego śniadania, układała z nim razem książki i kajety, aby czego nie zapomniał. Czekala go z powrotem. Była wciąż z nim, poza jego

nauką i zdrowiem nic dla niej nie istniało. Była przytem łagodna, smutna i jakby zgaszona. Rukiewicz znał ją inną. Jak na Małki, miała w sobie nadmiar życia. Nadmiar ten nużył jej męża. Krępował ją i niepokoił się o nią. Nie lubił np. gdy jeździła konno, bo sam już nie jeździł. Nie pojmował, jak może się ślizgać. Taniec go irytował. Uważał prawie za ujmę dla siebie, że żona jego ma ochotę tańczyć. I mnóstwo rzeczy podobnych.

— Pan widział moją matkę po wyjeździe stąd? — spytał Barcic.

— Nie.

Nie wyjaśnił dlaczego. Barcic odtwarzał sobie teraz dokładnie życie swoich rodziców. Życie zwyczajne. Nie było w niem nic, co mogłoby wzbudzić jego przypuszczenia. Ojciec jego umarł na atak serca. Głosy, które słyszał, były dziecinną halucynacją. Halucynacja stworzyła podejrzenia fantastyczne. Nie było w nich prawdy. Teraz fantazja odchodziła, przegnana słowami Rukiewicza. — Odchodziła, ale nie ginęła. Stała jakby nazewnątrz i wołała, żeby ją napowrót przyjąć. W nocy rozmyślał nad tem, co słyszał. I znowu powstały w nim uśpione wątpliwości.

Na drugi dzień wrócił do Małek, a stamtąd do Warszawy.

Przyjął jednak zaproszenie na wiosnę. Chciał być na grobie ojca. Teraz wszystko pokryte było śniegiem. Grobu na cmentarzuby nie odnalazł.

III.

Mimo mrozu, ulice Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia były tłumne, tak, że trzeba było się przeciskać. Do kawiarni wsypywał się i wysypywał się z nich rój ludzki. Oświetlone tramwaje, wypchane aż po stopnie, zatrzymywały się na zbiegach ulic. Zuborzycki szedł trotuarem, w futrze, w wysokiej czapce karakułowej. Szedł majestatycznie. Przed jedną z wystaw fotograficznych zatrzymał się i przyjrzał swojej podobiznie. Otoczona była różnemi znakomitościami. Wśród nich wyglądał najlepiej. To wątpliwości nie ulegało. Mimo jednak, że był tak wspaniale wystawiony i tak imponujący, nikt za nim się nie obejrzał. Kult dla literatury i nauki zanikał w Warszawie. Nie znał go ten przewalający się tłum. Znajomych też nie spotykał. Od Alei Jerozolimskich do Krakowskiego Przedmieścia nikt mu się nie ukłonił. I oto spotkał idącego naprzeciw siebie Barcica.

Znał go i darzył swą łaskawością. Mogło coś być z tego młodego inżyniera. Gdy Barcic się ukłonił, zatrzymał się i wyciągnął do niego rękę.

— Dokąd to pan?

— Do domu.

— Po kolacji?

— Nie.

— Chodź pan ze mną na bigos. Takiego bigosu, jak tam, gdzie pana zaprowadzę, nie dostanie pan w całej Warszawie.

Nie czekając odpowiedzi, ujął go pod ramię i szedł tak, nie kłopotząc się, że zajmuje cały trotuar.

Szatnia zawalona była futrami i paltotami. Zuborzycki skrzywił się.

— Czy miejsce będzie?

— Dla pana prezesa musi się znaleźć.

Tu nazywano go prezesem, a Lursa mistrzem, gdzie indziej, że wykładał kiedyś literaturę w kompletach, profesorem.

Zdejmując kalosze, oparł się o ramię Barcica, jakby go chciał pochylić ku ziemi.

Kelner biegł przodem, torując mu miejsce między stolikami. Zgarnął dopiero co pozostawione przy jednym stole nakrycie. Czekał uroczyście skupiony, aż Zuborzycki przestudjuje kartę.

Zuborzycki przeczytał ją od góry do dołu i za-dysponował.

— Bigos. Pan bigos także?

— Także — odpowiedział Barcic.

— Dwa bigosy — skłonił się kelner. — A wódeczka?

— Wódka? — zapytał Barcica.

— Wszystko mi jedno. To, co pan pije.

— Jarzębiak.

— Przekąseczki?

— Dwa bigosy, powiedziałem.

Rozejrzał się dokoła. W długiej, jak kiszka, sali ścisk. Publiczność głównie męska. Kilka wojskowych mundurów. Wódki pito dużo i palono papierosy. Gdyby nie wentylator, udusiłoby się można było od dymu.

Zuborzycki, spełniwszy kieliszek jarzębiaku, zaczął zabrać butelkę.

— Nie lubię, gdy to sterczy na stole. W Warszawie nie pije się teraz wódki, aby lepiej jeść, tylko je się, aby lepiej pić.

Barcic nie odczuł głębokości sentencji. Mało był rozmowny. Nie wiedział, poco tu przyszedł. Uległ władcemu zaproszeniu Zuborzyckiego. Zuborzycki, jak zazwyczaj, mówił o ludziach, zwłaszcza zajmujących wysokie stanowiska polityczne i społeczne. Znał ich najbardziej osobiste sprawy. Wiedział, z kim kto się rozwiódł i dlaczego, z kim potem się ożenił i za kogo rozwiedziona żona wyszła za mąż. Sypał anegdotalami. Interesujący był, jako znawca nowoczesnych karier. Gdy ich początki i koleje opowiadał, Barcic zaczął się śmiać. Znał zresztą i ludzi innych, zwyczajnych. W młodym pokoleniu wiele się zmieniło. Student dzisiejszy nie jest studentem z jego dawnych czasów. Liberalizm wszelki zanikł. Nic z tego dobrego nie wróżył.

— Do czegoś doprowadził nas ten liberalizm? — Barcic wzruszył ramionami.

— Jakto do czego? Stworzył dzisiejszą kulturę.

— Cóż ona dzisiaj warta?

— I to mówi paryżanin? Człowiek światły, inżynier?

— Ja nie zaprzeczam historycznej wartości liberalizmu — odpowiedział Barcic — ale, widzi pan, teraz buduje się domy w innym stylu i takie, aby można było w nich mieszkać. Mnie się zdaje, że młode po-

kolenie chce przede wszystkim wyjść z chaosu powojennego i uczynić życie dla siebie możliwym. Mieć dom mieszkalny. To jest bardzo zdrowa dążność. Abstrakcji jest mniej, a praktycznej konstrukcji więcej.

— Tak się tylko wydaje. Pokolenie, do którego ja należę, wychowało się na kulturze pozytywizmu, przyświecały mu ideały pracy organicznej. Chciało też zbudować sobie dom mieszkalny, jak pan mówi. No i w wielkiej części rozpląnęło się w abstrakcjach socjalizmu. To rozpląnie się w innych. W historii tak, jak w miłości, niema nic nowego. Pan bywa dużo?

— Prawie nigdzie.

— To niedobrze. Coprawda życie towarzyskie u nas ustaje. Koncentruje się ot tutaj. Tu zaś można przyjść na kieliszek wódki, i na bigos, ale nie można bywać. Gdyby pan pochwycił toczące się tu rozmowy, to usłyszałby pan same plotki — prywatne i polityczne. Oprócz gazet nikt nic nie czyta. Co to była dawniej za rozkosz mówić z inteligentną kobietą o Wokulskim, Płoszowskim, albo Połanieckim! Zawsze się od tego coś interesującego zaczynało. A dziś, o czym pan będzie mówił, jeśli pan nie uprawia sportów i nie chodzi do kabaretów?

— A wie pan, że to kiedyś musiało być bardzo nudne.

— Zupełnie nie, ręczę panu. Nie mówił pan o Płoszowskim, ani o Wokulskim, tylko pod tym pozorem mówił pan o sobie. I ona pod tym pozorem mó-

wiła także o panu. Dziś to zanikło zupełnie. Życie traci wdzięk. Ludzie zubożeli, mają mało czasu.

— Czy nie mieli go dawniej za dużo?

— Czasu nie można mieć za dużo. Cały upadek kultury polega na tem, że czasu brakuje. Gdyby mnie kto zapytał, co jest główną cechą naszego współczesnego życia, odpowiedziałbym, że nędza czasu. Człowiek nie ma czasu na przechodzenie wszystkich szczegółów, pozwalających mu się rozglądać na wszystkie strony. Skacze odrazu na najwyższy, ponad którym niema już dla niego nic.

— Niema już dla niego nic? — Co też pan opowiada!

— Jakto co opowiadam? No, ale proszę, słucham pana.

— Świat się już znudził tą cieplarnią — rzekł Barcic. — Tem ciągłym utykaniem nosem w bukietach pomarańczowych kwiatów. Temi nastrojami. Kiedy czytam książkę, to dla niej samej, a nie dla flirtów z kobietami. O sobie nie mówię, a gdy mówię, to nie jako o Płoszowskim, ale jako o sobie, wprost. Na omawiania i literatury istotnie pod względem czasu jestem za ubogi.

— To jest prymitywizm.

— Może. Prymitywizm ma też dobre strony. Jest czasem doskonałą dezynfekcją. Im mury czcigodniejsze, tem bardziej dezynfekcji potrzebują.

— Pan jest barbarzyńcą—uśmiechnął się pobłażliwie Zuborzycki.—Tak, jak całe pokolenie, do które-

go pan należy. Ja mogę to panu powiedzieć i pan może to ode mnie przyjąć. Nie dlatego, żebym się uważał za wiele starszego od pana, duchowo z pewnością starszy nie jestem, ale dlatego, niech się pan nie obrazi, że czcigodne mury wznoszą wielcy architekci, a dezynfekcję dla nich kupuje się w składach aptecznych.

Barcic poczuł, że nie da mu rady. A Zuborzycki kazał podać czarną kawę i prowadził dalej rozmowę o niczem, kunsztownie składaną z poglądów filozoficznych i literackich, charakterystyk i plotek, przewidywaną wstążkami aforyzmów i dowcipów. Mimo lekkiej treści, mówił trochę ciężko i autorytatywnie. Przytłaczał Barcica rozumem, wymową i wyglądem. Barcicowi nie imponował. Wolał swój rozum i swoją fachową wiedzę, niż tę mozaikę wiadomości i kruchą budowę wznoszonych na nich poglądów. Elokwencja była rozwlekła, a wygląd raczej śmieszny. Jednak czuł się wobec Zuborzyckiego małym, niezdarnym i jakby upośledzonym. Został steroryzowany. Pozwolił na łaskawe klepanie się po ramieniu. Uznał niemal do tego prawo. I gdyby ta restauracyjna publiczność przeobraziła się nagle na uczoną akademię i szukała dla siebie prezesa, to głosowałby na Zuborzyckiego, głosowałby z przekonaniem, że on tego miejsca zajmować nie powinien, ale że inaczej być nie może.

Gdy Zuborzycki zaczął wyciągać z niego, jakie ma stosunki i kogo zna, powiedział mu o Rukiewiczu i że był u niego w Bukowie. Trafił dobrze. Zuborzycki Rukiewicza znał.

— Jakież on jest? — zapytał ciekawie Barcic.

— Dziś on już zeszedł z widowni. Najdawniejszych jego czasów oczywiście nie pamiętam. Kiedyś go jednak widywałem, a słyszałem o nim jeszcze więcej. To on był znajomym pańskich rodziców? A z jakich jesteście stron?

— Właśnie z tamtych.

— Ach tak. Więc to było sąsiedztwo. No to pan od rodziców więcej pewnie słyszał, niż ja o nim panu mogę powiedzieć.

— Nic nie słyszałem. Ojciec mój umarł, gdy byłem dzieckiem. I dzieckiem tamte strony opuściłem.

— Rukiewicz nie pochodzi stąd — zaczął, przypominając sobie, Zuborzycki. — Zdaje mi się, że przybył z Wołynia. Tam ludzie mają natury szersze. Kresy. Miał przytem grube pieniądze, za które nabył ten swój Buków. Zjawiał się często w Warszawie. Wtedy otoczony był całą tutejszą literaturą i sztuką. Prenumerował wszystkie pisma, wychodzące w Królestwie, kupował wszystkie nowości literackie, nawet obrazy. W sferze ziemiańskiej miano go za dziwaka, lecz grał w niej rolę niemałą. Stawiał się władzom rosyjskim. Sławna była odpowiedź, jaką dał generałowi gubernatorowi, gdy ten wezwał go do siebie: „On dit que vous avez de mauvaises fréquentations”.

— Non Excellence, mais à partir de ce moment on le dira peut-être.

— To na niego patrzy — rzekł Barcic. — Temperament musiał mieć niepośledni.

— Z odpowiedzi tej widać, że miał. Nie słysząc jednak o nim było facecuj, w którychby przebijał się szlachecki temperament, tych typowych, szlacheckich facecuj. W owym czasie dużo było między ziemianstwem oryginałów. Dzisiaj to minęło. Pogolili wąsy, bieda ich ciśnie, do miasta przyjeżdżają, aby weksłami płacić weksle, grozi im reforma agrarna. Żyją w stanie niepewności. Wtedy — a przecież to jeszcze nie tak dawno — byli bardzo pewni siebie, i grał im w żyłach sarmatyzm. Dużo było wśród nich takich, co mieli w sobie coś z Paska, a nawet Radziwiłła Pannie Kochanku w minjaturze. Ja ich znałem, sam między nimi wielu miałem krewnych.

Rukiewicz odznaczał się tem, że nie odznaczał się żadną ekstrawagancją. Nie urządził kawałów, nie płał figlów, nie droczył się z żydami. Z tego właśnie powodu uważany był w swojej sferze za dziwaka. No i te jego „mauvaises fréquentations” wyrabiały mu taką opinię. To właśnie, że żył z literaturą i z warszawskimi radykałami. Organizował jakieś towarzystwo obrony kultury narodowej. Wciągał tam co najprzedniejszych dziennikarzy, adwokatów, lekarzy, słowem — inteligencję warszawską. Był bardzo sympatyczną postacią. Potem jakoś ze wszystkiego się wycofał i prawie przestał pokazywać się w Warszawie. Może się przelał, widząc obudzoną czujność policji, a może się znudził, bo i to bywa.

Przestał mówić o Rukiewiczu. Wspomnienie minionych czasów rozmarzyło go. Przypominał sobie dawne dzieła i poezje, cytował całe ustępy.

Gdy wyszli na ulicę, postawił kołnierz i, czekając na zbliżające się sanki, rzekł z patetyczną melancholią.

— Kędyś jest, śniegu, różowiony blado od blasku słońca, wobec koloru ciała ukochanej? — Pan to zna?

— Słońca przecież teraz niema, latarnie tylko świecą.

— Zadrgnęłaś. Oboje drżym. Z ócz pierzchł ci rozkoszy śmiech. Po lecie — mówisz — śnieg zim?

Co za zielona małpa!

Był mu jednak wdzięczny. Wszystkie konkretne wiadomości o ludziach z lat dziecińczych, o Małkach, o otoczeniu rodziców, rozpraszały mgłę niejasnych przypomnień, były fotografią przeszłości. Nic nie widniało na niej tajemniczego, ani niepojętego. Ludzie o obliczach zwyczajnych i życiu zwyczajnem. Nie mogły gnieździć się wśród nich zbrodnie, ani samobójstwa. Było prawdą, co Rukiewicz mówił o jego rodzicach, było prawdą, co Zuborzycki mówił o Rukiewicz. Przed pożegnaniem Gozmurów obszedł dokładnie dom w Małkach. Dom ten nie mówił, nie przedzierały się głosy przez jego ściany. A jednak pamiętał głos swego ojca z dalekich pokoiów. Co to było? Słuchowa halucynacja? Nigdy żadnym halucynacjom nie podlegał.

Ojciec żył w nim silniej niż matka. Stary ojciec. Pamięć nad nim wieloma warstwami przeżyć i wspomnień zarosła, nie dochowała szczegółów, z których wyobraźnia postać jego zdołałaby wyrazić odtworzyć. Te jednak, co zostały, grały melodją

głęboką, niewiadomo gdzie zaczęta, nagle urwaną, wyłaniały się jak z topieli fragmenty rozniesionej przez burze łodzi. Kto w niej wiosłował i dokąd?

Ojciec nie był nabożny. Nie pamięta go jeżdżącego do kościoła. Matkę tylko. I oto raz, gdy mówił głośno pacierz, ojciec, przechodząc przez pokój, przystanął. Pod siwiejącymi brwiami osiadła tkliwa zaduma, twarz wypiękniała, była jak letni dzień pod zachód słońca. Gdy dziś przymknął oczy, widział go takim. I silny uścisk ojcowskiego ramienia, przygarniającego go do piersi. Ojciec wrócił od żniw. Z zapachem dymu tytoniowego, którym przesiąkła jego biała, płócienna kurtka, mieszał się zapach przyniesiony z pól i zapach ciała, wysmażonego upałem. „Co z ciebie będzie, mój synku?” Ojciec żyje w synu, przekazuje synowi siebie, i syn wchłania w siebie duszę ojcowską. Ani kochanka, ani żona, ani siostra, ani córka nie jest dla człowieka tem, czem ojciec dla syna i syn dla ojca. Najgorętsze słowa miłości nie są tak wyraźne, całkowite i prawdziwe, jaką bywa ich mowa bez słów. Przed Barcicem ojciec się nie wyjawiał, nie przekazał mu siebie. Odszedł za wcześnie. Z zapamiętanych gestów, spojrzeń, nieuchwytnych wrażeń, chciał Barcic odczytać, kim był ojciec, jak on z dziecięcych reakcyj, pytań i zaciekawień chciał odczytać, kim będzie syn. Barcicowi tak brakowało ojca w sobie, jak pewnie jemu brakowało stojącego się mężczyzną syna. Nie doczekał.

W mieszkaniu ogarnęła go pustka. Czuł ją zawsze, gdy wracał, zwłaszcza wieczorem. Biuro miał

osobno, poza domem. Białe światło elektryczne za-
 lało dużo przestrzeni zostawiające meble, sztywne
 i martwe. Nie były żywe od dotknięć i przestawień.
 Odkurzono je, wytrzepano, i tyle. Żyła tylko fotogra-
 fja matki w złotych ramkach i papiery rozłożone na
 biurku.

Stała mu nagle w oczach Anna i jednocześnie
 pomyślał, że powinien napisać do Gozmurów.

IV.

Nigdy Anna nie wybierała się tak gorączkowo
 do Warszawy. Opanowała ją myśl o Barcicu. Z tego,
 co podczas krótkiego pobytu mówił, usiłowała od-
 gadnąć, jak żyje, nawet jakie posiada dochody. Wy-
 brażała go sobie bardzo energicznym, o ogromnym
 życiowym rozmachu. I taki fantastyczny! Energiczny
 fantasta. Uśmiechała się do tej nazwy. Miała żal do
 niego, że dał zatrzymać się Rukiewiczowi i nie wró-
 cił z nią do Małek. Była wtedy pewna, że wróci. Do-
 tąd sprawiało jej to przykrość. Nie wspomniała go
 jednak nigdy. Chętnie z Rukiewiczemby o nim mó-
 wiła i czegoś o nim się dowiedziała, ale instynkt ją
 ostrzegał, że lepiej nie.

Zima minęła. Powiedziała mężowi, że nie może
 obejść się bez wiosennego kapelusza i nowego okry-
 cia. Gozmur jakoś się nie sprzeciwiał. Nie chciał, aby
 ubrana była gorzej, niż „te damy”, jak nazywał żony
 policjanta i pisarza gminnego. Sam zaglądał do pism,

poświęconych modom, radził, co powinna kupić. Wte-
 dy ona zastanawiała się nad ceną. Liczyli razem. Le-
 żały przed nimi skrawki papieru, zapisane cyframi,
 kreślone, sumowane kilkakrotnie, — smutne sonety
 pieniężnego niedostatku. Gozmur wzdychał ciężko.
 To, co mu zostało, ledwo starczyło na życie, kupno
 sukni było już katastrofą. Jednak zbyt dbał o pozory,
 aby cofnąć się przed dotkliwym wydatkiem. Gdy
 bryczka stała przed domem, rzekł jeszcze:

— Pamiętaj, nie jedź trzecią klasą, bardzo cię
 proszę.

Zabrał Nerona i, nie oglądając się, poszedł w dru-
 gą stronę.

Pojechała trzecią. W Warszawie nie wzięła au-
 tomobilu, ani dorożki. W takich wydatkach była bar-
 dzo skąpa. Tramwaj zatrzymywał się zresztą przed
 kamienicą Kądzielewskich. Frasowało ją, jak to bę-
 dzie z Barcicem. Teraz dopiero odpisała mu na list.
 Donosiła, że przyjeżdża i że po południu będzie
 w księgarni. Oznaczyła godzinę i księgarnię. Nie mia-
 ła innego sposobu. Nie chciała, aby ją odwiedził u Ką-
 dzielewskich. Żeby tylko Kądzielewska nie wyszła
 z nią na miasto!

Z radością przekonała się, że obawy jej były
 płonne i że będzie miała zupełną swobodę. Córka
 Kądzielewskich wychodziła zamaż.

— Jakżeż mogłaś, Zosiu, nam nie donieść!

— Myślisz, że ktokolwiek ma u nas głowę do
 napisania listu — pani Zofja obejmowała ją i całowa-
 ła co chwila. — Ot, widzisz, i teraz rozlecieli się

wszyscy. Stefan nie wrócił jeszcze z biura. Nie masz pojęcia, jak strasznie jest zajęty. Ale ty ślicznie wyglądasz, Anka!

— Nie postarzałam się w Małkach?

— Ty?! Co też mówisz?! Spójrz na mnie. W zeszłym roku nie miałam jeszcze siwych włosów, a teraz, jak mi się wysypały. Cóż chcesz! Helę wydaje zamąż, Tadzik zdaje maturę. Niema go teraz. Całe dnie uczy się razem z kolegą. Niedługo będę piastowała wnuki. Tak, moja droga. Na dobrą sprawę mogłabym być twoją matką.

— Dawno są po słowie?

— Poznali się podczas karnawału. On jest urzędnikiem w Ministerjum Przemysłu i Handlu, ale chce posadę rzucić, bo to nie daje przyszłości. Chociaż przez swego ojczyma mógłby mieć rozległe stosunki. Ojciec jest do niczego, ojczym zato, jak Hela mówi, pierwsza klasa.

Anna otworzyła szeroko oczy.

— Bo, wyobraź sobie, on ma ojca i ojczyma — śmiała się pani Zofja. — Tadzik nazywa ich teść numer pierwszy i teść numer drugi. Numer pierwszy to jest Gostowski, ojciec, a numer drugi Bulewicz, ojczym. Gostowska kochała się w Bulewiczu, czy on kochał się w niej, kiedy była panną. Wyszła za Gostowskiego. Mieli już syna, gdy Bulewicz, który przedtem niczem nie był, zaczął robić kolosalną karierę. Radykał. Wtedy go sobie przypomniała, no i tak jakoś umiała się zakrzętnąć, że rozwiódł ją z mężem i sam się z nią ożenił. Dzisiaj wszyscy troje są w doskona-

łych stosunkach, nawet u nas się spotykają. Stefanowi to się nie podoba. Nie to, że są w doskonałych stosunkach, choć, prawdę mówiąc, wolałby, aby się nie widywali, skoro się rozwiedli, ale mu się nie podoba, że matka jego zięcia jest rozwiedziona i jest żoną tego innego. Wiesz, jakie on ma przekonania. Ale, moja droga, co mnie do tego! Syn w każdym razie za to nie odpowiada. To jest zresztą bardzo dobra kobieta. Gdy wyszła powtórnie zamąż, zrobiła się bardzo postępową. Przedtem podobno taka nie była. Tadzik nazywa ją postępową lwicą. Rzeczywiście, ma coś z lwicy. Tadzik ma zupełnie takie przekonania, jak jego ojciec. Jest nieugięty. Pomyśl sobie, taki pędrak. My, kobiety, mamy dziś w sobie więcej tolerancji, niż mężczyźni. W tym domu tolerancja, to ja i Hela. A ty, jak się na te rzeczy zapatrujesz?

Anna spojrzała na zegarek i pożegnała panią Zofję. Musiała jeszcze wysłuchać jej rad, gdzie najlepiej robić sprawunki.

— Ale na herbatę wrócisz? Przygotuję dla ciebie pokój, ten, co zawsze. Wieczorem może będą Bulewiczowie. Witold będzie na pewno. Poznasz go.

W księgarni Barcica nie było. Powinien był przyjść przed nią. Umyślnie spóźniła się o kilka minut. Przeglądała długo nowości francuskie i wyszła z wypiekami na twarzy. Czuła się strasznie upokorzona. Zła była, że naznaczyła mu spotkanie. Jak mogła zrobić coś podobnego! Chyba list nie doszedł. — Nie zdarzyło się jej, aby list z Małek do Warszawy

zaginał. Jeśli zaginał, stało się, nie sprawdzi. W magazynie zairzała jednak do książki telefonicznej. Był w niej adres i numer telefonu Barcica. Cóż z tego? Nie będzie do niego telefonowała. List otrzymał, ale do tego się nie przyzna. Nie chciał jej poprostu widzieć, lub miał coś ważniejszego do roboty. Omyliła się, jak wtedy w Bukowie, gdy się jej zdawało, że nie zostanie u Rukiewicza. Myślała tyle o nim, że wytworzyło się w niej złudzenie, jakby pomiędzy nimi istniała jakaś dawna znajomość i sympatja. Zasugerowała się. Nic przecież nie było. Nie znali się. Zaledwie się widzieli. Jak mogła do niego tak pisać! Bardziej była w tej chwili zirytowana swoim nietaktem, niż spotkanym zawodem. Gdyby był jako tako wychowany, byłby przyszedł. Gdyby była mu najzupełniej obojętna, gdyby nawet myślał, że mu się narzuca, byłby przyszedł. Postanowiła załatwić wszystko jak najspieszniej i natychmiast wracać do Małek. Nie obchodzili jej, nic Kądzielewscy, ani numerowani teściowie. Niech się żenia, albo nie żenia, rozwodzą, albo nie rozwodzą!

Młodego Gostowskiego już zastała. Przekomarał się z Helą, ładną dziewczyną o niebieskich oczach, które znała jako bezmyślne, a które ożywiały się teraz i rozjaśniały iskierkami śmiechu.

— O! jakie śmieszne kocisko — oglądała ofiarowanego sobie wygiętego czarnego kotka z pluszu, przyczepionego na zielonej gumce do dwóch z bibuły różyczek. — Powieszę go w swoim pokoju. Będzie przypominał pana charakter.

— Helu, przecież pan Witold wcale nie ma czarnego charakteru — odezwała się matka.

— A gdzie to się było o godzinie dwunastej? — przymrużyła oczy.

— Dziś w południe?

— A dziś w południe.

— To może opowiem pani cały dzień od początku.

Znikali wciąż z salonu, słysząc ich było ze stołowego pokoju. Udawali, że są wciąż z wszystkimi, a byli tylko sami z sobą.

— Teraz rozmawiajmy głośno.

— No, to niech pan prędko coś wymyśli!

Anna rozmawiała z Kądzielewskim. Lubiła go i rozmowę z nim. Miał rozsądek, lubił książki i był bardzo dobry. On jeden wyciągnął do nich rękę, gdy omal nie zostali na bruku. Ofiarował im mieszkanie w Małkach. Uważał je za ich dom. Gdy tam przyjeżdżał, to jak w gościnę, unikając najdalszych pozorów, że ten dom jest jego własnością. Płacił tylko z niego podatki i ponosił kosztą wszelkich napraw. Dzięki niemu, drobna suma Gozmura umieszczona była na pewnej hipotece.

Nadeszli Bulewiczowie. Wkrótce po nich zjawili się stary Gostowski. Siedział naprzeciw Bulewicza, który, pochylony, rozstawiwszy kolana i oparłszy na nich łokcie, obierał pomarańczę i opowiadał o wywożeniu kobiet do Argentyny. Za binoklami Kądzielewskiego przemknął dziwny błysk ni to ironji, ni to zniecierpliwienia, skwapliwie wypytywał Annę o

zdrowie Gozmura. W przedpokoju zadzwonił telefon, i po chwili rozległ się głos Tadzika.

— Halo!... Proszę zaczekać. Zaraz.

Uklonił się od progu i rzekł do Anny.

— Ktoś ciocię prosi do telefonu.

Zniknął natychmiast. Był wysoki, chudy, o długiej szyi. Oczy miał zmęczone, przypominał ojca.

Anna chwyciła słuchawkę. — Barci!

Sumitował się, że nie przyszedł. Wyjechał. Nie było go kilka dni. Buduje gimnazjum na prowincji. W tej chwili wrócił i zastał list. Domyslił się, że zatrzymała się u Kądzielewskich. Co ma zrobić, aby ją zobaczyć?

— A ja właśnie miałam telefonować, bo też tam nie byłam. Zatrzymały mnie inne sprawy. Będę jutro o jedenastej. Ale czy pora dogodna?

Uniknęła wyrazu „pan“, aby nie był przez kogo usłyszany.

Wpadła w doskonały humor. Wszyscy wydali się jej zabawni. Bulewicz ciągnął dalej swoją prolekcję. Specjalistą jest od tego, czy co? Przeszedł do okolicznych kwestyj. Była zażenowana. Poco on o tem się rozwodzi? Jest to, widać, u niego w dobrym tonie. Cały był w takim dobrym tonie. Przytłaczał swoją swobodą tkwiącego skromnie na krześle Gostowskiego. Gdy ten się odezwał, podnosił na niego tłuste, obramowane białymi rzęsami powieki i kamienował go pogardliwym politowaniem. Wtedy Bulewiczowa wyciągała rękę, przepasaną złotą bransoletą, po kieliszek z winem. Na jej powleczonych karminem war-

gach błakał się jednocześnie ledwo dostrzegalny uśmiech.

Annie żal się zrobiło teścia numer pierwszy. Z dwoma sznureczkami cienkich, siwiejących wąsów, w rozluźnionym krawacie, ukazującym spinkę od kołnierzyka, taki był biedny przy tym swoim następcy, wygolonym i wymanikurowanym, w garniturze prosto z igły, i przy tej swojej dawnej żonie, wysokiej i zażywej, z hennowanymi włosami i karkiem podgolonym, jakby przysypanym leciutką sadzą. Założyła nogę na nogę, prezentując wyraziście okazałe łydki, rozpychające jedwabną pończochę. W tych dwóch parach nóg Bulewiczów — jego płaskich, długich i szerokich, w żółtych półbutach rozstawionych na dywanie — i jej silnych stopach, ujarzmionych strojnym pantofelkiem, było coś druzgocącego. Stłamsili nieboraka. Zwróciła się do niego. A tu zajęto się już polityką. Bulewicz osobiście znał premiera. Potoczyły się plotki polityczne. Kądzielewski hamował werwę opozycyjnie usposobionej pani Zofji, jakby się bał, aby coś nie wyszło z jego domu, Bulewiczowa mówiła tak głośno, że słyszać ją było w drugim pokoju, gdzie chichotali Witold i Hela. Anna została z Gostowskim przy stoliku, dokąd podeszła, aby mu pokazać włożoną między karty albumu fotografię dworu w Małkach, odbitą na kartce pocztowej.

Roztąjał i stał się nader rozmowny. Kokietowała go, czując, że przywraca mu tem godność, rozluźnioną jak jego krawat, i jak jego krawat, niezasłaniający metalowej spinki, niezasłaniającą jego upośledzenia.

Był kopniętym mężem. Nie podniósł się i nie odszedł. Został tam, gdzie upadł. Annie wydał się miłym. Poczciwina. Musiało mu być źle samemu. Przychodził tu, aby zobaczyć syna, żonę, a nawet dzisiejszego jej męża. Spragniony był rodzinnego ciepła, szklanki herbaty w kompanji. Dowiedziawszy się, że Anna jest krewną Kądzielewskich, zaczął ją traktować z takim odcieniem, jakby była także jego kuzynką. Wtajemniczał ją trochę w swoje życie i poglądy. Mówił o synu. Witold był taki, jak on. Na wychowanie jego wpływu nie miał, tak bowiem ułożyły się okoliczności, lecz rozumieją się doskonale, i Witold ma największe zaufanie do niego. Uśmiechnął się do siebie z cichym triumfem. Witold jemu pierwszemu zwierzył się z swoim uczuciem dla Heli. On bardzo jest kontent z jego wyboru. Tu zrobił maleńką intrygę, dając do zrozumienia, że nie wszyscy narówni z nim byli zadowoleni. Odstąpi im zapewne mieszkanie. Ma ładne mieszkanie przedwojenne. Obszerne. Jemu samemu nie potrzeba więcej nad dwa pokoje. Nawet jeden wystarczy. Uszczypnął się w siwiejące wąsiki.

— Jakżeż ci się oni podobają? — pytała pani Zofja.

— Mnie — odpowiedziała Anna, pomagając jej w uprzątnięciu serwetek i talerzyków — najbardziej podoba się numer pierwszy.

— Zupełnie podzielałam twoje zdanie — rzekł Kądzielewski, wyciągając się w fotelu i dopijając czarną kawę. — Bardzo sympatyczny. Cichy, spokojny, nikomu nie zawadza.

— Nie zawadził nawet Bulewiczowi — zachnęła się pani Zofja.

— Może nie chciał.

— Albo nie śmiał. On czuje przed nią mores do tej chwili.

— Istotnie, miałam wrażenie, że oni ciągle nim poniewierają.

— A nie zauważyłaś, że Bulewicz o niego jest zazdrosny? — spytała pani Zofja.

— O niego?

— Ogromnie! Patrzeć na niego nie może.

— Może ze złości, że mu ją ustąpił.

— Cóżes taki kostyczny? Anka pomyśli, że nie chcesz tego małżeństwa.

— Specjalnie nie jestem niem zachwycony.

— Stefan — mówiła pani Zofja, zasiadając się przed snem u Anny — nie lubi Bulewiczów. Jest w tem trochę zazdrości o Helę. Nie przyznaje się, ale mu przykro, że Hela wychodzi z domu. Nie rozumie, że dziewczyna musi wyjść zamąż. Tak samo Tadzik. Tadzik Helą teraz poprostu pogardza. Uważałaś, że nawet się nie pokazał? A ja jestem bardzo kontenta. Partja może nie jest świetna, lecz gdzież teraz szukać świetnych partyj, moja droga. W Polsce trudno dobrze wyjść zamąż. Witold, bądź co bądź, nie jest pierwszym lepszym. Chłopiec porządny, praktyczny i zaradny. Przytem ja widzę, co z dziewczyną się dzieje. Stefan tego nie rozumie. Mężczyźni wogóle kobiet nie rozumieją. Nie pokazałaś mi jeszcze swoich sprawków. Kupiłaś suknię?

Anna rozpromieniała.

— Kupiłam! I suknię, i okrycie, i kapelusz.

Tekturowe pudełka leżały w jej pokoju. Wyjęła wiosenną suknię i pokazała ją pani Zofji, niespokojnie śledząc wyraz jej oczów.

— Były tańsze, ale bałam się. Tak rzadko coś kupuję. I wiesz, wolę nic nie mieć, niż wkładać byle co.

Pani Zofja dotknęła materji, wzięła ją w palce. Zbadała robotę.

— Przymierz — rzekła.

Anna poprawiła włosy. Musiała włożyć pończochy, dobrane do sukni. Nieprzepartą miała ochotę wsunięcia nóg w świeży jedwab. Ubrała się, jak do wyjścia.

Pani Zofja zlustrowała ją. Obejrzała resztę strojów, zawołała Helę. Hela wbiegła napół już rozebrana, w pantofelkach na bosych nogach. Wyświegotała masę słów. Przymierzyła kapelusz, przejrzała się w lustrze. Nagle odstała kilka kroków i, przyglądając się Annie, zawołała.

— Ale ciocia naprawdę jest bardzo ładna!

Anna chwyciła ją za szyję. Ucałowała ją gorąco. Przekonanie, jakie miała o sobie, potwierdzone zostało przez oko kobiece, nieomylne. W serdecznym uścisku, ona, kobieta dojrzała, i młoda dziewczyna, rozwijająca swą urodę, zrozumiały się do dna. Pani Zofja uśmiechnęła się — rozumiała także.

V.

Minał tydzień. Widywała Barcica codziennie. Ulice były wilgotne, z dachów kapalo, zmęczeni długim spacerem w stronę Łazienek, weszli do cukierni i odtąd tam chronili się przed zgiełkiem, buczeniem automobilów, dzwonieniem tramwajów. Lubiła z Barcicem chodzić i siedzieć z nim przy kawiarnianym stoliku. Tak dobrze się prezentował, tak starannie był ubrany, taką miał swobodną, silną pewność siebie.

Trapiło ją, że sama zawsze jest w tej samej sukni. Zmieniała, jak mogła, monotonię toalety, biorąc inne rękawiczki, kupując drugi kapelusz. Zrujnowała się na torebkę. Wypełniła ją drobiazgami niezbędnymi, a widocznymi przy otwieraniu. Ukryła w niej perfumy. Każdą taką drobnostkę wybierała z namysłem, przerzucała ich stosy.

W godzinnych rozmowach poznawali się, nie było jednak między nimi zwierzeń. On dotychczas nie powiedział jej, poco do Małek przyjeżdżał. Mówił natomiast dużo o swoim pobycie zagranicą i o tamtejszym życiu. Nie czynił uogólnień, nie wychodził poza granice faktów, opowiadał rzeczy widziane i słyszane. Umysł miał konkretny, wszelkie abstrakcje były mu obce. Choć miała skłonności do myślowego zdobnictwa, zajmowały ją te łańcuchy faktów, wyrwanych wprost z życia, w jedną łączących się całość.

Mieli właśnie wychodzić z cukierni, gdy, rzuciwszy okiem na gazetę, zawołała.

- Dzisiaj premjera. Komedja.
- Chodźmy — zaproponował.
- Doskonale!

Kądzielewscy wychodzili dziś wieczorem. Anna uważała, aby nie nasuwać podejrzeń, że spotyka kogoś na mieście. Nie znajdowała się nigdy w dwuznacznym położeniu, a od razu zaczęła postępować tak, jakby niebyłe jakie posiadała doświadczenie. Od pierwszej chwili rozwinął się w niej instynkt zachowywania pozorów, dla tem większej poza ich zasłoną swobody. Nie mówiąc nigdy, gdzie była, nie popełniając najmniejszego kłamstwa, umiała tak prowadzić rozmowę, aby domyślali się, że zajęta jest jakimiś interesami, mającemi na celu znalezienie pewniejszej podstawy bytu, z których narazie nie chciała się zwierzać, lecz dla których przesiadywała w Warszawie. I tak zapytała raz Kądzielewskiego, czy kapitalik, z którego procent ledwo opędzał potrzeby w Małkach, nie mógł być umieszczony w jakimś przedsiębiorstwie. Z uwagą słuchała długich jego wywodów, ostrzeżeń przed ryzykiem, poczem, nic nie wyjawiając, doskonale się zamyśliła. Kiedyś znowu zagadnęła panią Zofję, ile, według niej, dwoje ludzi potrzebuje na jakie takie utrzymanie się w mieście. Na spotkania z Barcicem wybierała czas, gdy Kądzielewski był w biurze, a ona zaprzątnięta domowymi sprawami lub chodzeniem z Helą po sklepach. W ten sposób najmniej zwracała na siebie uwagi.

Z rozkoszą weszła do łoży! Jak ptakowi powietrze, potrzebne jej były blask wieczoru, promienie

śmiechu i wesołości, bijące od zapelniających się powoli łoż i krzesel. Wchodzono tu, nie aby się uczyć, lub boleć nad bólami innych, lecz aby się naśmiać. Przychodzono na komedję. I w niej wszystko wołało komedji. Po stracie majątku, po małkowskiej szarżyźnie, po udrękach z Gozmurem, zanosłaby się śmiechem.

Nieco nudnie brzmiał tytuł i trochę myszką trącił, lecz podtytuł mówił — komedja. Czekano śmiechu, przychodzono pić śmiech.

Barcic ujrzał Zuborzyckiego. Stał w krzesłach, przeznaczonych dla prasy, bokiem do sceny, rozmawiał z siwym jegomościem, ironicznie uśmiechniętym, w binoklach, i drugim tłustym i łysym. Rozejrzał się po łożach i skinął Barcicowi głową.

- Kto to? — spytała Anna.
- Zuborzycki.
- Jan?
- Jan. Pani go zna?
- Nie, ale wiem, kto to jest.
- Literat.
- Wielka sława.
- Wiem, ale nic jego nie czytałem.
- Ja także nie.

Spojrzeli sobie w oczy i roześmieli się jednocześnie.

Łoże zakwitły barwami kobiecych sukien, blaskiem dekoltów, po sali płynął ściszony szmer, w pierwszy rząd wkraczali jeden po drugim dygnita-

rze. Wkraczali znudzeni marnością tego świata, przyodziani w galową nonszalancję i we fraki.

Teatr wypełniony był po brzegi, powoli rozsawała się kurtyna.

Zjawił się Frenkiel i doskonały polski humor, jak miód, zapachniał na sali.

Frenkiel grał.

Oto powiedział jakieś słowo, nic w tekście nieznaczące i banalne, a stało się powabne jak perła i zdumiało wszystkich, że takie jest piękne. Oto rozparł się w krzesło, nogi wyciągnął, a korowód cześników, podkomorznych i kwestarzy ciągnął przez salę. Chustkę wyjął, i teatr trząsł się ze śmiechu. Cała Polska przez niego gadała — ta rozpancerzona, nie husarskimi skrzydłami szumiąca, ale zadumana w soplicowskim sadzie, rozochocona na końskich jarmarkach, parskająca śmiechem na widok Geldhaba. Prześmiewna i kpiąca, a dobra, że do rany przyłożył!

Łoże się pochyliły, wpatrzone w ten słucki pas, co wszystkich pokolei owijał, w fontaż się wiązał i barwami się mienił.

Chwile uroczystej ciszy przerywane były wybuchami jasnego, czystego śmiechu. Wszyscy przy grze Frenkla śmiali się ładnie. I on się także, w roli swej zostając, śmiał ze wszystkimi. Widownia i scena stały się jedną, nierozdzieloną całością. Widzowie grali z Frenklem, Frenkiel na graną przez siebie postać patrzył z widzami.

Śmiech wysypywał się podczas antraktów na

korytarze. Zmieszany z gwarem, tętnił jak grad, bijący w szyby. Przez chwilę dla tych wszystkich ludzi nie istniał ani Hindenburg, ani Briand, ani Mussolini, ani sekwestrator podatkowy. Tylko Frenkiel i Frenkiel!

Wyszli w grzmocie kończących przedstawienie oklasków. Korytarze się zaroily. Tłoczono się.

— Ach, jaka wiosna! — rzekł Barcic, wdychając powietrze. — Jak pani podobała się sztuka?

— Bardzo zabawna.

— Tak wczesnie się skończyła, premjery zwykle kończą się później. Zdziwią się u państwa Kądzielewskich, gdy panią zobaczą.

— Nikt się nie zdziwi, bo nikogo w domu niema, wszyscy są u Bulewiczów.

Miał wielką ochotę wieczór z nią przepędzić, poprosić ją na kolację, ale jakoś nie śmiał. Po jej odpowiedzi uczynił to. Zgodziła się.

— Dobrze, tem bardziej, że pojutrze wracam do Małek.

— Pojutrze? Co pani mówi?

— I tak za długo już tu siedzę. Wszystko musi mieć swój koniec.

Weszli do jasnej sali, między wyfraczonych kelnerów, strojną publiczność, tak jak oni powracającą z teatru. Nowa fala wesołości ją porwała.

— Kądzielewscy wcale nie wiedzą, że jestem z panem w teatrze — śmiała się. — Nic im nie powiedziałam, tem bardziej, że wyszli przede mną. Gdybym ich zastała, to przyznam się do teatru, ale nie do pana.

Bawiło ją, że wprawia go w kłopot. Nie miał w sobie lekkości ot tego wyszlifowanego pana, łyskającego żartem i eleganckiem błazeństwem, co szedł szybko ku witającemu go już zdala, otaczającemu jeden z większych stołów, towarzystwu. Był niezdarny wobec słowa, zaczepnego, lekkiego słowa. Płoszył się. A gdy chciał dotrzymać placu, to na mieniące się mydlane bańki ciskał żelaziwami myśli. Śmiała się perłowym śmiechem. Oceniała go już jako człowieka wychowanego dobrze, ale nie człowieka salonu. Przyjemnie zaprosił ją do teatru i tutaj, lecz nie tak, jakby to zrobił ktoś inny, światowo wyszkolony, choćby ten, co siedział obok w smokingu, z towarzyszką w bogatej sukni wieczorowej, za nakryciem, gdzie srebrzył się kosz z szampanem. Spacery po ulicy i spotykane się z nią w cukierni były bardzo pocziwe, ale coby zrobił, gdyby powiedziała, że chce zobaczyć jego mieszkanie? Oczy jej zwiężyły się od uśmiechniętego w niej kpiącego humoru. Gdy wyszedł z teatru, zawołał „ach, jaka wiosna!” Bawiło ją to niepomniernie.

Znajdowali się zdaleka od muzyki, chwilami jednak wpadała między nich tak, że musieli przerywać rozmowę. Anna odsunęła się nieco od stołu i oparła w fotelu. Nie patrząc na nikogo, widziała wszystkich dokoła. Schwyciła prześlizgujących się po sobie kilka spojrzeń męskich. Nie świetniała strojem, nie była nawet odpowiednio ubrana w tym rozsypanym bukicie wieczorowych tualet, lecz jej to nie kępowało.

Wiedziała, że oboje wyglądają na ludzi, na jeden dzień przybyłych ze wsi do Warszawy, którzy przed samym tu przyszli odjazdem. Taką też miała zlekka wyniosłą, dobrą, ale nie miejską manierę. Podobnie Barcic. Pobyt zagranicą, ciągła praca w mieście, nie zatarty w nim wrodzonych cech polskiego szlachcica, przejawiających się w odcieniach nieuchwytnych, a dla wprawnego oka niezawodnych. Było mu jakby trochę za ciasno. To wrażenie sprawiał wszędzie.

— Mówiłam Kądzielewskiemu o wizycie pana w Małkach. Kądzielewski wiedział, że one do rodziców pana kiedyś należały. I niech pan sobie wyobrazi, tam w okolicy jest jeszcze ogrodnik, który u państwa służył. Kądzielewski go widział.

— Czy nie Myszka? — spytał żywo Barcic, jakby dowiadując się nagle o czymś niezwykle dla siebie ważnem.

— Myszka. Pan go pamięta?

— Ignacy Myszka. Naturalnie. W głowie mi nie pozostało, że jeszcze żyje. I zupełnie o nim nie myślałem, gdy byłem u państwa. Z całej służby najwięcej z nim obcowałem. I on najbliżej był dworu. Jeżeli ktoś coś wie, to on.

— Co wie?

— Co stało się w tym domu.

— Co się stało? O czym pan mówi? — Spojrzała na niego ze zdumieniem.

Pomyślał, że powie jej wszystko. Po raz pierwszy dla powzięcia informacji mówił o tem z Rukiewiczem. Nie mówił z nikim dla potrzeby uczuciowej. Teraz po-

trzeba ta w nim wezbrała — potrzeba powierzenia jej swego niepokoju. Odczuła to. Nić wielkiego zaufania zadzierzgała się między nimi. Słuchała, do głębi poruszona mową jego spokojną, o akcentach stłumionych, wystrzegającą się wszelkiego dramatycznego obrazu, a jednak, mimo wszystko, odsłaniającą krwawiącą ranę wewnętrzną. W rozbrzmiewającej muzyką i wesołym pogwarem sali majaczył małkowski dwór, a w nim cień starego Barcica, ze swoim nikomu niezwiersonem nieszczęściem. Niewiadomo czemu wyobraziła go sobie jako Gozmura. Gozmura widziała przed sobą. Dreszcz po niej przebiegł. Czy to u niego nie jakaś idée fixe, jakiś anormalny stan nerwowy? Trzeba go wyrwać z tego odmetu, niepokojącego tem bardziej, że mówił tak prosto i tak napozór zwyczajnie.

— Pan myśli, że ojciec pana popełnił samobójstwo? — Nie! Co ja mówię? — przeraziła się natychmiast tych słów. — Nie myśli pan tak. Skądże?

— Myślę, że jest tak, jak słyszałem i jak mówił mi Rukiewicz. Atak sercowy.

— Więc co? więc co? Więc dlaczego po rozmowie z Rukiewiczem nie pozbył się pan tego koszmaru?

— Różne są powody ataków sercowych.

— Jakież mógłby być powód?

— Nie wiem, właśnie że nie wiem. Ojcu memu nikt nie wyrządził krzywdy, nikt nie sprowadził na niego nieszczęścia. Wierzę. Zupełnie przemawia mi to do przekonania. Ale czy mój ojciec komu krzywdy nie wyrządził? Gdyby o matkę moją chodziło, powie-

czynem. Pańskie poglądy tworzą się przez życie. Powstają jak to gimnazjum, które pan buduje na prowincji, są jak kształt tej budowy, nadany jej przez ułożenie w fundamenty, w ściany, w okna — kamienia, cegły i drzewa. Nieodłączne są od materiału. Pan nie wie, co to jest rozniecać światełka bez ognia i bez paliwa. Ale dajmy już temu spokój. Niech mi pan naleje jeszcze wina, i chodźmy. Musi być już bardzo późno.

Napełnił jej kieliszek.

— Pani w Małkach doszła do tych myśli?

— W Małkach.

— Dlaczego pani ich nie opuści?

— Nie możemy stamtąd wyjechać. Położenie nasze jest takie, że nie możemy. Mój mąż nie może już podejmować walki o byt i potrzebuje pewnego spokoju.

— Mąż pani jednak mówił, że pobyt w Małkach uważa za przejściowy, i nie miałem wrażenia, aby był zadowolony z tego pobytu.

— Widzi pan, to są pozory. Zadowolony nie jest, ale jeszcze bardziej byłby niezadowolony, gdyby mu kazano stamtąd się ruszyć. Człowiek stary bardzo szybko i mocno przywiązuje się do swojego kąta. Małki to już jego kąt.

— Mnie się jednak zdaje, że główny powód będzie materialny. Mąż pani wie, że pracy już nie znajdzie, posady nie dostanie, więc poza Małkami nie może sobie życia stworzyć. Ale czy pani sama tegoby nie zrobiła?

— Nie mogę przecież męża opuścić.

— Nie męża opuścić, lecz razem z nim opuścić Małki.

— Ja o tem bardzo myślałam. Gdy straciliśmy majątek, chciałam, abyśmy zamieszkali w Warszawie. Nie zgodził się. Wtedy, o ile wiem, łatwiej było o znalezienie podstawy dla egzystencji, niż teraz. Za nic nie chciał. Sceny mu nawet wtedy o to robiłam, a on mnie. Widzi pan, gdyby zaszła konieczność opuszczenia Małek, gdyby je np. Kądzielewski sprzedał, to nie ponosiłabym odpowiedzialności za to, co późniejby nastąpiło. Ale niechbym ja bez tej konieczności postawiła na swoim, a położenie się pogorszyło, miałabym za swoje! Nie darowałby mi, że psa nie może codzień wyprowadzać na spacer.

— Psaby zostawił w Małkach.

— Tego teżby mi nie darował — rzekła z irytacją.

Spojrzał na nią uważnie.

— I nie można mu się dziwić — zaczęła, jakby usprawiedliwiając męża. — Całe życie spędził na wsi. Miasta nie lubi, przywykł do swobody. Małki są wprawdzie fikcją dworu, wszystkie te resztówki są taką fikcją, ale w każdym razie ma tam kilka pokoi, po których może się ruszać, gdzie nikt za ścianą nie mieszka, ubrać się, jak mu się podoba, pojechać czasem do Bukowa, — tysiące rzeczy, których potrzebuje, a których Warszawa mu nie da. Cóż onby tutaj robił? Chodziłby do Saskiego ogrodu na spacer? To niemożliwe.

— To on, a pani?

— Mój Boże, cóż ja? Ja zrezygnowałam.

— Naprawdę?

— Naprawdę i nie naprawdę, jeśli pan chce wiedzieć. Czasem chwytą mnie taka rozpacz i nuda, przedewszystkiem nuda, że uciekłabym i wynajęłabym się choćby do szorowania podłóg. Rozniosłabym te Małki, spaliłabym je. Tak, miewam takie zbrodnicze popędy — zaśmiała się. — Potem to mija, ręce mi opadają, i niech będzie, co chce!

— Nie robiła pani nigdy planowych, konsekwentnych starań, aby stworzyć sobie egzystencję materialną poza Małkami?

— Planowych, konsekwentnych starań? — odparła z lekką przekorą. — Nie.

— A robiłaby je pani, gdyby pani umiała je robić, i gdyby pani miała nadzieję rezultatu?

— Panie! — zawołała, składając ręce.

— Mnie się zdaje, że pani ma dużo racji, ale, że niezupełnie rozumie pani swego męża. On dlatego nie chce opuścić Małek, że boi się, aby pani na niego nie pracowała.

— Cóżby mu to szkodziło?

— O, proszę pani! Są rzeczy, do których jeszcze nie przywykliśmy, i dobrze, żeśmy nie przywykli. Praca! Jestem przekonany, że dla siebie paniby ją znalazła, że dałaby pani sobie radę, jak wiele kobiet, ale dla niego byłoby to zbyt przykre, a dla pani ciężkie także. Praca podejmowana jedynie dla zarobku, to straszliwa niewola. Państwu jednak coś zostało?

— Kilkanaście tysięcy.

— To bardzo dużo. Jako renta to jest nic. Dobry robotnik zarobi u mnie więcej, niż państwo mogą mieć procentu, ale na początek, jako narzędzie pracy, to jest bardzo dużo. Bo kapitał powinien być narzędziem pracy, nie czem innym. Można z tem coś zacząć, i wtedy problemat pani męża byłby rozwiązany, pani mogłaby za to przygotować się do jakiegoś zawodu.

— Znam języki... Francuski, niemiecki...

— To coś znaczy.

— Więc co pan mi radzi robić?

— Odrazu pani nie odpowiem. Musielibyśmy razem zastanowić się i poszukać.

— Szukałby pan ze mną?

— No, jakże!

— Pewna jestem, żebyśmy znaleźli.

— Przypuszczam, że tak. Dla inicjatywy pole jest u nas olbrzymie. Wszystko buduje się, wszystko się wznosi. Ludzi brak. Nieprawda, że ich za dużo. Iluż to trzyma po kilka zajęć w ręku. Wytwarza się złudzenie, że za dużo, bo pchają się do urzędów i do karier, operując tam tylko jedną wartością — sprytem. Zuborzycki opowiadał mi o tem rzeczy pozornie przekomiczne, w istocie budzące wstręt i niepokój. Ale dajmy im spokój, pomiędzy nich nie pójdziemy i nic między nimi byśmy nie wygrali. Jest jedna prawda niezawodna.. W społeczeństwie cośkolwiek wartem, niezłożonem z samych łobuzów i idjotów, musi opłacać się czynność, posiadająca wartość społeczną. Taką trzeba znaleźć, albo wymyślić.

— Pierwszy pan do mnie tak mówi. Gdy zostaliśmy bez niczego...

— Nie bez niczego.

— Dla wszystkich naszych krewnych, znajomych, przyjaciół, to było bez niczego. Gdyśmy stracili majątek, wszyscy nad nami biadali. Tylko Kądzielewski dał radę: — „Zamieszkacie w Małkach i jakoś będziecie tam żyli z tego, co wam zostało”.

— Też pomysł!

— Niech się pan na niego nie gniewa. Poradził, jak umiał, i wszystko dla nas zrobił. Zresztą ci, którzy tracą, nie budzą zaufania do swej energii i zaradności, a myśmy stracili wszystko.

— To jest mąż pani stracił.

— Mój mąż, naturalnie.

— Teraz zbliża się lato, przez lato zostaną państwo w Małkach, przez ten czas wszystko obmyślimy, i zacznie pani nowe życie.

Patrzyła na niego z serdeczną ufnością. Podniecenie ustępowało miejsca spływającej na jej rysy pogodzie. Muzyka już nie grała, najbliższe stoły były puste.

— Przyjedzie pan latem do Małek?

— Przyjadę — skłonił się.

— Teraz już chodźmy. Co ci Kądzielewscy pomysła! Może jeszcze nie wrócili.

— Z pewnością nie wrócili. A jeśli wrócili, co to pani szkodzi?

— Prawda. Co mi to szkodzi?

VI.

Konięta z Małek, wypłowiwała i szcerniała na słońcu i słotach bryczuszka czekały na nią przed stacją. Tuż stał wolant Kubarskiego, zaprzężony w dwa rosłe, skarogniade wałachy, otoczony przez czekających na jego przebycie z Warszawy interesantów. Czapkowali mu, gdy się zjawił, pomagali nałożyć burkę, podsadzali na stopnie. Gdy sadowiła się w bryczce, układając z Wickiem pod siedzeniem i w nogach sprawunki, słyszała chrapliwy jego głos, a pokorne i podchlebne, przymilające się głosy tych, co do niego się zbiegli. Kilka chłopskich furmanek, zaprzężonych w chabety, z uwiązaniem przy pyskach workami z sieczką, czekało nie wiedzieć na co. Miało się ku wieczorowi.

— Gościńcem nie przejedzie — rzekł Wicek — takie błoto. Koło krzyża nijak nie poredzi. Trza jechać bez ślamazy. Z Gwizdowa też tamoj jechali.

— Jedź, którądy się da.

Lubiła zresztą tę drogę, choć była dłuższa, bo ciągnęła się lasem i nie szła koło ohydneho karczmiśka, stojącego na skrócie gościńca.

Inny świat i inny na nim człowiek. Jeszcze w oczach miała teatr, salę restauracyjną, centkowane nocnym tłumem ulice Warszawy, a przed nią zielenił się las, po obu stronach roztaczały się pola i mokradła, pogrążone w ciszy, zadrzemane w nierucho-

mym czasie. I ona na tej bryczce, grzęznącej w błocie, była zupełnie czemś innem, niż w łoży w teatrze. Wyminął ją wolant Kubarskiego, wtłoczył się w rozlaną na drodze kałużę, rozbryzgał błoto i pomknął truchtem. Szłapały za nim małkowskie szkapiny.

— Onegdaj — rzekł Wicek, zacinając konie biczem — jak kobiety wracały z targu, to je w tym lesie napadł golas i wszystko poodbierał.

— Jaki golas?

— Ano golas. Ozebrał się do naga i z lasu na nie wyskoczył. To one poostawiały wszystko na drodze i pouciekały, a on pozbierał, co one ostawiły, i posed. To policja tero po lesie chodzi i szuko. A juści — najdzie! Takiego naleźć! Miastowy być musi.

— Może warjat?

— Waryjot ta, waryjot! Dobrze ma w głowie. Przyodziewek musiał pod drzewem kaj ostawić, potem się ubrał i posed. Najdzie takiego!

— Pieniądze im odebrał?

— Wszystko odebrał. Z koszykami szły, to tam niosły to, co pozakupowały. To, jak on na nie wyskoczył, to one pociskały wszystko i pouciekały.

— Dlaczego pociskały?

— Bo kazał. Wszystko, co miały, kazał im ostawić na drodze.

— I usłuchały go?

— Usłuchały. Bały się. Taki golas.

Wicek przygłupek był i niedojda, ale na resztówkę w Małkach starczył. Rozmowny był bardzo. Z Go-

zmurem musiał milczeć, lecz, gdy z Anną jechał, gadał całą drogę.

Zdzielił batem mniejszą klaczkę, która już zupełnie ciągnąć przestała, i rzekł:

— Pan Kubarski jak się zwiedzia! las chłopami obstawił i sam szukał. A kiej nie znalazł, tak się ozgniewał, że na podwórzu krzyczał — „do Warsia wy jade i powim, jakie tu są porządki!” Bo Kubarski tero na komendanta policji jest zły. Pojechał. Tero wrócił. — Ujechał kilka stajni. — Pan mówił, że jakby z Neronem poszedł, toby tego golasa przychwycił. Neron toby go przychwycił. Ale będzie on na Nerona czekał. A juści!

Takie historie podczas jej nieobecności działa się w Małkach.

— Czy ty nie wiesz, Wicek, gdzie mieszka Myszka? — spytała.

— Pszczelarz?

— Może pszczelarz.

— Wim. On w Gwizdowie ma dom ogrodzony. Nie w samym Gwizdowie, ino tam, jak się jedzie od figury na lewo. Na osobności.

— Po drodze to?

— Po drodze to nie, ale ode drogi niedaleko.

— To zajedź Wicek do niego.

Przejechali Ślamzy, las, i ujrzeni zabudowania Gwizdowa, gdy Wicek obrócił się na koźle.

— Zajechać? — upewnił się.

— To tu?

— Tu.

— Zajedź.

Polną, nieujechaną drożyną, wąską a wyboistą, dowlekli się do zagrody. Kilkanaście żółtych uli stało w rozzielonionym, wiśniowym sadku. Domek był schludny, z ganeczkiem, z okiennicami i firaneczkami. Zachód słońca płonął w szybach. Bosa w czerwonej chusteczce na głowie dziewczyna ciągnęła ze studni wodę żórawiem.

— Gospodarz w domu?! — krzyknął Wicek.

— W domu.

— Wołaj go. Pani z Małek do niego!

Wyciągnęła żwawo napełnione wiadro, postawiła je koło studni i zniknęła gdzieś za tyłami domu.

— Dziadku! chodźcie! śpieszcie się! Pani do was przyjechała.

— Musi jego wnuczka — domyślił się Wicek.

Z za domu wyrżał w granatowym kaszkiecie i takiejże kurtce siwy dziadyga. Oczy miał czerwone, jak u królika, i głowa mu się trzęsła, jak listek drzewy. Ujrzawszy Annę, zdjął kaszkiet i, mrugając powiekami, jakby światło niemi łapał, pokuszywał ku bryczce.

— Myszka? — spytała Anna.

— A Myszka, Myszka! — pocałował ją w rękę. — Myszka!

— Ja do Myszeki w odwiedziny.

— Cóż?! Miodu pewnie? — mówił głośno, jak ludzie głusi. — Sam z wnuczką doma siedzę, córka i zięć w mieście. Nie spotkaliście gdzie ich po drodze?

— Nikogo nie spotkałem — odparł Wicek.

— Wozem pojechali. Słońce zaszło, powinni już być. Pojechali po południu.

— Nijakiego woza nie widziałem.

— Miodu też mi będzie potrzeba, ale nie teraz — rzekła Anna. — Ja Myszce pozdrowienia przywożę z Warszawy.

— Z Warszawy? A od kogo?

— Od pana Barcica.

— Barcica?! — Otworzył bezzębne usta i zamrugał powiekami, nie rozumiejąc.

— Pana Kazimierza Barcica, syna tych, u których Myszką był ogrodnikiem.

— Al... To on w Warszawie?

— W Warszawie jest inżynierem.

— Wspomniał mnie?

— Gdzieżby nie wspomniał? Kazał bardzo serdecznie Myszkę pozdrowić.

— Toć on był tyćki, jak stąd odjechał! Tyćki! Bo ten ogród to ja zakładałem.

— Wiem, wiem. My tam teraz mieszkamy.

— A, słyszałem, że tam teraz nowi są państwo.

— Niechże Myszką mnie odwiedzi.

— Odwiedzę. Czemu nie. Jak córka i zięć będą w domu, to w niedzielę jakąś rad przyjdę.

Podawała mu rękę i rzekła.

— Więc proszę pamiętać.

Cóż mógł wiedzieć i pamiętać ten starowina? Trzymał się życia, jak pajęczyna muru. Lada co mogło go zdmuchnąć.

Dziwny człowiek ten Barcic. Pozytywny, ścisły i jednocześnie prawie mistyk. Na pewno wierzy, że duch ojca mówi do niego z za grobu. Aż zmienił się, gdy jej powiedział, co go do Małek przyprowadziło. Żyje życiem podwójnem. Jest trochę inny, niż się jej zdawało przed przyjazdem do Warszawy. Jednak, gdyby jej ktoś przedtem powiedział, że są w nim takie uczucia, nie zdziwiłaby się. Myślała o nim z gorącym rozrzuwaniem. Tylko jej się zwierzył. Nikomu więcej. Rukiewiczowi tylko dlatego, aby się czegoś dowiedzieć. Gdy tu przyjedzie, odpadnie od niego ta zmora. Bo to tylko zmora. Nic w Małkach się nie działo i dziać się nie mogło. Dość na tutejszych ludzi spojrzeć.

— Miętus, ten, co mieszka na skraju — zaczął Wicek — kupił na targu od chłopaka jaja pod gęsi. Schwił się, że były duże. A tu wylęgły się mu bociany. Aż się spłakał. Myślał, że się wspomóż, a tu mu boćki z jaj wylazły. Takie tero cygaństwo panuje na świecie.

Oto, co działo się w Małkach!

Gadał wciąż, ale go nie słuchała. W takt jego słów myślała o Barcicu i o tem, że, dzięki niemu, uda się jej Małki opuścić. Nie mogła tu zostać. Śmierć na nią jeszcze nie czekała. Człowiekowi staremu może to być wszystko jedno, może mu być nawet dobrze, ale nie jej.

— Pan idzie z psem — rzekł Wicek.

— Myślałem, że się coś stało! — witał ją Gozmur. — Do nogi! — szarpnął Nerona.

Zeszła z bryczki, bo już podjeżdżali pod bramę. Neron dawał susy, wspinał się jej łapami na szyję. Głaskała go, targała za uszy.

— Neron, psina, tęsknił za panią?

— Do nogi! Myślałem, że się coś stało. Nie przyjeżdżasz i nie przyjeżdżasz.

— Droga zła.

— Coś tak długo siedziała?

— Kądzielewscy mnie zatrzymali.

— Co u nich słychać?

— Wydają Helę zamaż.

— Nie wybierają się tutaj?

— Wybiorą się podczas lata. Nigdzie tego roku nie wyjeżdżają.

— Ano wszystkim ciężko.

Byli już w domu. Gdy tylko weszła, otworzyła okna. Antoni wносił talerze.

— Posyłałem dziś umyślnie po mięso — rzekł Gozmur — myślałem, że będziesz głodna.

— A tu co się dzieje?

— Był wczoraj Rukiewicz, bardzo żałował, że cię nie zastał.

Ciekawy był wiadomości z Warszawy, które uzupełniłyby mu to, co wiedział z gazet. Nic nie umiała mu powiedzieć...

— Co tam z rządem?

— Zdaje się, że nic.

— Nie wiesz, będą nowe wybory?

— Nikt jakoś o wyborach nie mówi.

VII.

Wiosna szła całą parą, kwitły już akacje, które mi obsadzony był małkowski ogród, w oczach rozwijało się wszystko, pijąc chciwie słońce. Noce były chłodne, jasne. Wychodziła często poza ogród i szła w pola, żeby nikt jej nie przeszkadzał w marzeniach. Nie niecierpiałaby tak Małek, gdyby były jej. Cudza ziemia — to jak cudza suknia. Woli chodzić w swojej najskromniejszej, niż gdyby miała chodzić w najbogatszej po pani Zofji.

Układała w myśli, co w razie wyjazdu zabrałaby stąd, a co zostawiła. Nie wzięłaby różnych domowych sprzętów, musiałyby mieć nowe. Neron pojechałby z nimi. Gozmur prowadziłby go w Ujazdowskie Aleje, jak go teraz prowadzi do lasu.

Ludzie wrócili już z kościoła, Gozmur wyciągnął się na kanapie i zachrapał po obiedzie. Wyszła do ogrodu, gdy odnalazł ją Antoni.

— Proszę pani, przyszedł tu Myszk. Powiada, że pani mu przyjść kazała.

— Myszk!

Kazała wprowadzić go do stołowego pokoju. Poczęstowała renetą.

— Niechże Myszk usiądzie. To kawał drogi na piechotę.

— Daleko nie jest — trząśł głową — ale zawsze, nim człowiek zajdzie. Szedłem koło stawów Kubarskiego. Ładne ma stawy. Ryba, jak plusknie — to

tyła — pokazał na rękę. — Przystanąłem tam i popatrzyłem. Same karpie chowa. Na wilję sprzedaje dużo. Aż z Warszawy kupcy do niego przyjeżdżają.

— Dawno tu mieszka pan Kubarski?

— Będzie z osiemnaście lat. Te drzewa, co ma poza domem, to już on posadził. I stawy on założył. Przed nim nie było stawów.

— To za państwa Barciców Gwizdów jeszcze do niego nie należał?

— O, nie! W Gwizdowie mieszkał inny.

— Myszka dobrze pamięta państwa Barciców?

— O! Ja tu ogród zakładałem. Nastąłem tu, nim pan Barcic się ożenił, i byłem aż do jego śmierci, aż pani stąd wyjechała. Potem poszedłem na swoje, już nie służyłem. Bóg zapłać. — Odsunął kieliszek.

Napełniła mu go ponownie.

— Pani Barcicowa była o wiele młodsza od męża?

— O! ona była bardzo młoda. Młodziutka była. I on nie był stary, no, ale już był w latach. Dzieci długo nie mieli i tylko tego jednego Kazia. To on teraz w Warszawie?

— W Warszawie.

— Chybki był chłopiec. Sierotą został tak wcześnie. Nikt się nie spodziewał. Pani musiała to sprzedać, nie dałaby sobie rady. Gdzie sama jedna dałaby sobie radę, na takim majątku! Bo to był duży majątek.

— Państwu Barcicom dobrze się powodziło?

— Dobrze; nie można powiedzieć. Jednego roku owce padły, strata była duża. Raz się paliło.

— Dwór się palił?

— Nie. Czworaki się spaliły. Jak to w gospodarstwie. Raz gorzej, raz lepiej, ale dobrze było. On skąpy był i o majątek dbał. Cały dzień w polu, w podwórzu. Był dobry, ale jak się rozgniewał, to niech ręka Boska broni! Był prędki. Mnie lubił, nie mogę powiedzieć — krzywdy nie miałem. Ale był skąpy. Gości nie lubił. Najlepiej lubił być sam. Nawet na polowanie nikt tu nie jeździł. Sam sobie gwizdnął na psa, wziął dubeltówkę i w pola poszedł. Do kuropatew dobrze strzelał. Jej się cniło, bo zabawy żadnej nie miała, ale jak umarł, to lamentowała — o, jak lamentowała! Chodziła, jak z krzyża zdjęta. No bo co kobiecie samej jednej robić, z dzieckiem, na takim majątku! Bez męża nie poredzi.

— Na co umarł pan Barcic?

— Na serce. Nagle. Położył się i już go nie było. Nim ksiądz przyjechał, już nie żył. Zrobiło się mu niedobrze, położył się, a tu krzyk w całym domu — pan umarł! Pani strasznie płakała. Żal było na nią patrzeć. Aż ludzie się dziwili, bo człowiek był starszy, więc wiedziała, że przed nią umrze. Nikogo nie chciała widzieć. Jak to po pogrzebie — to już dosyć czasu potem było — przyjechał pan Rukiewicz z Bukowa, to do niego nie wyszła. Klęczała przed świętym obrazem w swoim pokoju. Nieraz tak całą noc przeklęczała. To pan Rukiewicz do mnie przyszedł i pytał, jak to było, bo z zagranicy wrócił i nic nie wiedział.

— Myszka mówi, że nikt tu nie bywał. A pan Rukiewicz?

— On to tu przyjeżdżał, owszem. On tak. Często przyjeżdżał. Codzień nieraz był. Na obiedzie zostawał i na kolacji. Z panią konno jeździł — pani bardzo lubiła konno jeździć. O, pan Rukiewicz tak. Panu to markotno było, ale nie mówił nic.

— Dlaczego markotno?

— No, bo to już tak jest.

— Skądże Myszka wie?

— To się, proszę pani, wie. Ludzie takie rzeczy wiedzą.

— Cóż widzieli?

— Że mu markotno. Może nawet jej co mówił, bo popłakiwała, no, popłakiwała.

— Co Myszka mówi?

— O, tak. Jak ludzie nie widzieli. Ja raz do niej w ogrodzie przystąpiłem. Pan już spał, bo wcześniej się kładł, a pani sama spacerowała po ogrodzie. O latowej porze bardzo lubiła sama spacerować wieczorem. Owinęła się w szal i chodziła aleją tam i nazad. Akuratnie ja byłem w ogrodzie, a mnie nie widziała. Przechodzę, a jej łzy po twarzy cieką. Tak mi się zrobiło żal, że przystąpiłem, pocałowałem w rękę i powiadam: „Co też wielmożnej pani jest?” A ona przedko łzy otarła i powiada: „Nic mi nie jest. Co Myszka myśli, że mi ma być?” Ale się nie rozgniewała, tylko postąpiła i pogadała. O czym innem pogadała, nie o tym swoim płaczu, ma się rozumieć. Dobra była pani.

Anna usłyszała, że Gozmur podniósł się z drzewki, i rzekła:

— Może Myszka ogród chciałby zobaczyć?

— Zobaczyćbym. Ja tu zachodziłem, jak jeszcze nie było rozparcelowane, a potem już nie byłem. A państwo tu dawno?

— Dwa lata.

— Dwa lata. Słyszałem, słyszałem. Wielmożnej pani tu się udaje?

— Tak. Tu jest bardzo ładnie.

— A ładnie. Jak te akacje kwitną, to tak aż od drogi pachnie... Ule, widzę, są. Pięć tylko. Było więcej.

— Myśmy tylko tyle zastali.

— A nie rośli się?

— Dwa roje uciekły w zeszłym roku.

— Szkoda zwierza. To dobry zwierz jest. Na człowieka robi, a człowiek na niego wcale. Jak się człowiek na tem rozumie, to turbacji żadnej nie ma. To nie to, co z krową, albo nawet ze świnią. Samo o pożywieniu dla siebie pomyśli. — Podeszedł do ula i zajął do środka.

— Nie boi się Myszka?

— Nie, one mnie nic nie robią, one mnie znają.

— Te także?

— Mnie wszystkie pszczoły znają. Inni się przebierają, kładą na siebie te siatki. Ja gołymi rękami miód podbieram.

Pszczoły bzykały koło niego, siadały mu na rękach i twarzy, nawet ich nie strząsał. Stojąc przy ulu, mówił głośno do oddalonej o kilkanaście kroków Anny:

— Jak się to roi, gałąź obsiadzie, trzeba je wodą kropić. One myślą, że to deszcz i nie lecą. Wtedy do

czapki je zabrać, albo do czego bądź i do nowego ula wsadzić, coby był dla nich. Mądre to jest, ale zamłodu głupie, leci przed siebie, szuka miejsca, a nie widzi, że je tu ma. Dopiero opiekuńcza człowieka ręka pozbiera je i usadzi.

— Miód robia, to człowiek niemi się opiekuje.

— Trzebaby było je truć, gdyby było inaczej. Bo toby było jeszcze od much gorsze.

— To w tej alei widział Myszka panią Barcicową, jak płakała?

— Ano w tej. Tu róże rosły. Już ich niema. O, dużo tu się zmieniło. Był tu krzak, co go pan Rukiewicz z Bukowa przysłał, zagraniczny. Pani tak kwiaty z niego lubiła, że nie dała ich obrywać do bukietów. Sam każdy opadł, to aż miękko było pod krzakiem od tego kwiecia.

Obchodził grzędy, uliczki niezgracowane, przyglądał się drzewom.

— Obrodziły. Tę gałąź to później podeprzeć trzeba, bo się obłamie. Niech przyjdzie burza, albo dobry wiatr, i drzewo niszczyje.

Rozległ się turkot przed domem. Z pewnością Rukiewicz. Nie wróciła jednak, chodziła dalej z Myszką po ogrodzie.

Nie Rukiewicz przyjechał, lecz Kubarski. Zdumiała, widząc go, idącego ku sobie z Gozmurem, bo wcale się nie znali. Czegóż on chce?

— Przyjechałem złożyć szanownemu państwu uszanowanie — mówił, gdy Gozmur go przedstawił. —

Miałem interes do policji, i za jednym razem. Do tego czasu nie wybrałem się, nie zdarzyło się jakoś i nie chciałem być natrętnym. A jesteśmy przecież najbliżsi sąsiedzi. Szanowna pani wśród kwiatów i drzew. Jak to zaraz poznać kobietę. Niech tylko kwiaty zakwitną, a cały dzień w ogrodzie. Ręczę, że cały dzień szanowna pani tu spaceruje — nieprawda, co? Z koneweczką, z nożyczkami. Stary kawaler jestem, ale to znam.

— Odwiedził mnie dawny tutejszy ogrodnik.

— Myszka! Ja go przecież znam. On jest z Gwizdowa.

Myszka, gdy Kubarskiego z Gozmurem zobaczył, skłonił się w pas i podreptał na koniec ścieżki.

— Myszka! Chodźcie bliżej! Nie bójcie się! Nic wam nie zrobię. On się mnie boi i ma czego. No, Myszka! Nie bójcie się!

— Czegóż jabym miał się bać, jaśnie panie?

— Nie macie się czego bać? A kto mi chojaka w lesie ściał? Niech no pani słucha — mrugał filutecznie na Annę.

— Przecież nie ja, jaśnie panie.

— Nie wy, ale wasz zięć.

— I nie mój zięć.

— A kto?

— Gajowy jaśnie pana powinien wiedzieć, nie ja. Skąd ja mogę wiedzieć.

— Wy pod lasem mieszkacie.

— Pod lasem mieszkamy, ale lasu nie pilnujemy.

— A wiecie, że ja rewizję u was miałem zrobić?!

Zapomniał się i krzyczał, aż po ogrodzie się rozlegało.

Annę zalała krew. Już, jużby się nie pohamowała i poprosiła go, aby zostawił ją w ogrodzie samą, już jej się słowa na to układały, gdy Myszka rzekł:

— Niechże jaśnie pan zrobi. Nikt się nie zdziwi, jak jaśnie pan rewizję będzie robił.

— Nikt się nie zdziwi, bo zięc wasz złodziej!

— Nikt się nie zdziwi, bo jaśnie pan nie brzydzi się takich rzeczy, jakich każdy panby się brzydził.

Kubarski stanął z otwartymi ustami, a Myszka skłonił się znowu wszystkim do pasa i pokuszył z ogrodu. Anna pobiegła za nim. Była zła, i aż łzy miała w oczach.

— Niech się Myszka nie gniewa. To nie moja wina.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Gdzieby to była wina wielmożnej pani! — Trzęsała mu się już i głowa, i ręce. — Czy to wielmożnej pani kuzyn, albo swat!

— Pierwszy raz tu jest.

— Interes jakiś musi mieć. Bez interesu onby tu nie przyjechał.

— Doskonale mu Myszka odpowiedział.

— Ano, bo obieżyświat. Osiemnaście lat tu siedzi, a obieżyświat. Myśli, że ma Gwizdów i że go się nokoło boją, bo potencje u siebie przyjmuje, to już jest pan. A żeby on miał i Gwizdów, i Małki, i Buków, to nie będzie pan, ino cham! Dobra pana nie robią. Na pana trzeba się urodzić, a nie dorobić. Ładnie to, żeby

on przy wielmożnej pani tak krzyczał! Zięc mu chojaka ściał! Nikt u nas w jego lesie nawet nie postał.

— Przecież ja wiem, Myszka.

— Jemu nic powiedzieć „złodziej”, bo sam taki. Ja tam nikomu nic nie ukradłem, a on Gwizdów skąd wziął? Jak do majątku doszedł?

— Niech się Myszka uspokoi i zajdzie jeszcze do mnie.

— Bardzo wielmożną panią przepraszam, że to przeze mnie taka nieprzyjemność.

— Gdzież przez Myszke! No, mój Myszk!

Posiedział jeszcze i gwarzył. Już w nim zatarły się słowa Kubarskiego. Tego, co było teraz, nie zatrzymywała jego pamięć. Dawny obraz ustępował przed nowym. Gdy patrzył na kwiaty, zapomniał, co widział, idąc zbożem, gdy patrzył na drzewa, zapomniał o kwiatkach. Powłókł się drogą, coś do siebie mamrocząc i pokaszlując.

Anna nie wróciła do Kubarskiego. Postanowiła nie wyjść już do niego. Gozmur jednak ją odnalazł.

— Gdzie ty siedzisz? Chodź, przyjechał z pierwszą wizytą. Nie mogę go zostawić samego.

— Nie zostawiaj go, a mnie daj spokój.

— Ja ciebie zupełnie nie rozumiem. Do czego to podobne? Co on sobie pomyśli?

— Czy to niezbędne jest dotrzymywanie mu przeze mnie towarzystwa?

— Niezbędne. Nie mamy pałacu, aby pozwalać sobie na takie kaprysy. Jeżeli nie chcesz teraz do nie-

go wychodzić, to przygotuj podwieczorek i pokaż się przy stole.

— Niechże będzie.

Nakryła stół odrazu, aby tylko odjechał najprędzej. Naturalnie, że Gozmur bez herbaty go nie puści.

— Narobiłem pani kłopotu — mówił Kubarski, rozkładając małą serwetkę na kolanach. — Ręczę, że rozpuściła pani służbę na niedzielę. Gość w dom — kłopot w dom. Tak zawsze powiadam. U mnie ciągle pełno warszawiaków, ale ja się nimi nie zajmuję. Jedzcie, pijcie, śpijcie — wszystkiego macie pod dostatkiem, i dajcie mi święty spokój. Wczoraj był podprokurator z bratem, który jest dyrektorem od monopolu, przedwczoraj wpadł wojewoda, ale tylko na godzinę. I tak ciągle. Znam tych naszych dygnitarzy, jak łyse konie. Żaden z nich mnie nie oszwabi. W oczy rzną najgorsze prawdy. Już tak się przyjęło, że mnie wszystko wolno. Te ciasteczka, to osobiste arcydzieło szanownej pani? Bardzo dobre.

Annę uderzyły jego oczy. Były przebiegłe, niepokojne i wypatrujące, a jednocześnie dziwnie głupie. Zalane jakby masłem. Nosił baczki, co wyrazistyszy dawało jeszcze rysunek jego kwadratowej twarzy. Śmiejąc się ustawicznie, wyszczerzał dwa żółte, jedyne na przodzie zęby.

— Więc jakżeż, szanowni państwo, będzie z wójtem? Bo pani także głosuje. Któż jest państwa kandydatem?

Nie wiedzieli nic o zbliżających się wyborach w swojej gminie.

— Ja też tak myślałem — śmiał się Kubarski — i dlatego przyjechałem po sąsiedzku poinformować. Starostwo popiera mojego kandydata, Witczaka. On kiedyś był u mnie parobkiem, ale już oddawna siedzi na swoim. Porządny chłop, o ile chłop może być porządny, szanowna pani — bo ja to demokratą nie jestem. Chłop albo pijak, albo złodziej. On trochę pijak i trochę złodziej, ale nie zanadto. Z drugiej strony ma wielkie zalety. Słucha. Jak mu pan powie — ma tak być, to tak będzie. Bo wie, od kogo żądanie pochodzi. Ma swój chłopski rozum. On przejdzie, bo choćby nie przeszedł, to ja w tem, że wybory będą unieważnione, i on tak czy inaczej zostanie wójtem. Ale lepiej, żeby się bez tego obyło. Najlepsza droga legalna, zawsze tak powiadam. Więc chodzi mi o to, żeby szanowny pan poparł swojemi wpływami tego mojego Witczaka.

— Ja tu wpływów nie posiadam — odpowiedział Gozmur. — Chłopów nie widuję, interesów do mnie nie mają, ani ja do nich.

— Wiem, że szanowni państwo żyją od wszystkich zdala. Nie dziwię się. Ale ze zdaniem szanownych państwa się liczą. Przy sposobności, gdy się z kimś mówi, bez nacisku, można go poprzeć. Szepnąć, że rządby go chciał mieć. I to jest prawda. Oni nie są za rządem, ale mają swój chłopski rozum. Wiedzą, że wójt dobrze widziany może coś wskórać przy podatkach, przy rozkładaniu ciężarów, a opozycjonista tylko kłopoty na gminę sprowadzi. Mają rację. Ja jestem za każdym rządem, to jest moja zasada. Żadnemu nie

wierzę, daję pani słowo honoru, bo ich wszystkich dobrze znam i w oczy im prawdę mówię, ale wiem, że najgorszy jest lepszy od takiego, którego wcale nie ma. Do opozycji nie pójdę, a ministrem nie zostanę, choćby nawet mnie mianowali. Lepiej znać ministra, niż być ministrem. Tak zawsze powiadam.

— Wiadomo, że pan ma ogromne stosunki — rzekł Gozmur.

— Ogromne! To też wszyscy tu drżą przede mną, i w starostwie, i w województwie. Wiedzą, że gdzie nikt nie trafi, ja trafię. Cóż pocznie taki urzędniczyna, gdy go wyrzucą? Kamienie pójdzie gryźć? Woli mieć spokój. Ale, wracając do wójta. Ważne jest, żeby wójt był swój. Miałem tu takiego, co mi się stawiał. Gdybym mu nie dał rady, życieby mi zatruł. Ale ze mną żartów nie ma. Przepędziłem huncwota, aż się za nim kurzyło. O mało do kryminału się nie dostał, takie o nim informacje pozbierałem. Ledwo się wymigał i to tylko dlatego, że nie chciałem doreszty go gubić. Oni mnie tu znają!

— Różnie o nim ludzie mówią — rzekł Gozmur po wyjeździe Kubarskiego — ale mnie wydaje się dośyć sympatyczny. Prosty, wychowania wielkiego nie ma, blagier, ale sympatyczny.

— Paskudna figura — wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Zaraz paskudna figura. Jak ci się ktoś nie podoba, to nie masz w stosunku do niego miary. Nie podoba ci się, powiedziałaś — niesympatyczny, nieprzyjemny, a ty odrazu: paskudna figura.

Rozdrażnił się i spochmurniał. Pochlebiało mu, że Kubarski przyjechał i polecał mu swego kandydata. Ktoś dbał o jego opinię, cenił jego wpływy, i ten ktoś w oczach jego żony był paskudną figurą. W takich chwilach czuł do niej nienawiść.

VIII.

Gozmur za Witczakiem nie agitował i do wewnętrznej polityki gminy się nie mieszał, kiedy jednak przyszedł dzień wyborów, pośpieszył oddać swój głos. Było mu zupełnie wszystko jedno, Witczak z Gwizdowa, czy przeciwnik jego, Ołdak z Małek, ale że mówił już z Kubarskim, postanowił głosować na Witczaka. Gdyby Kubarski do niego nie przyjeżdżał, nie głosowałby wcale.

Nie widział jeszcze wsi w takim ożywieniu. Nawet podczas Zielonych Świątek. Przed urzędem gminnym stały grupy gospodarzy z Małek i okolicznych wsi, przed chałupami wystawiali parobczaki i dziewczęta. Przedstawiciel starostwa już przybył, pojazd jego zatrzymał się na dziedzińcu, i przed dom wyniesiono już stół z kancelarji. Postawiono na nim urnę, pękaty garnek polewany, gdzie należało rzucać kartki w kopertach, zawczasu rozdane, białe za kandydatem, na którego odbywało się głosowanie, czerwone przeciwko niemu. Stół otaczali nauczyciele wiejscy, ławnicy, i co wybitniejsi politycy gminni. Roztrząsali mię-

dzy sobą kwestję, na kogo nasampierw głosowanie się odbędzie.

Od urzędu gminnego, od dziedzica, od drogi płynął szmer, jak brzęk pszczoł. Nagle uczynił się krzyk.

— Ołdak!

— Witczak!

— Ołdak!!

— Witczak!!

Na płoty wskakiwały parobczaki, drąc się z całych sił.

— Ołdak! Ołdak!

— Witczak! Witczak!

To przedstawiciel starostwa stanął na wyniesionym drugim stole. Rozpoczął jakiś wywód o wyborach, lecz słowa jego głużyło:

— Ołdak! Ołdak!

— Witczak! Witczak!

Mimo to mówił. Mówił niesłuchany przez nikogo, nierozumiany nawet przez tych, co stali obok niego i podtrzymywali stół, aby się nie wywrócił.

— Ołdak! Ołdak!

— Witczak! Witczak!

Drogą mknęła bryczka z Kubarskim. Ze wszystkich stron otoczyli go natychmiast jego ludzie. Policjanci salutowali. Tak był zaaferowany, że na powitania nie odpowiadał. Słuchał przekładanych sobie, jeden przez drugiego, raportów. Wbiegł do urzędu. Towarzyszył mu niechętny szept i złe spojrzenia nauczycieli. Po chwili wybiegł. Zebrała się koło niego falan-

ga parobków, chłopów butnych, gębaczów, wyróżniających się zadzierzystością.

— Witczak! — wrzeszczeli.

Przedstawiciel starostwa wciąż mówił.

— Witczak!!

— Ołdak!!

Zszedł wśród krzyku ze stołu, ocierając pot z czoła. Na stół gramolił się teraz jakiś nauczyciel, ale, nim mówić zaczął, ludzie Kubarskiego przepchali się do stołu i ściągnęli go za nogi. Wyrwał się, wskoczył znowu. Nakazywał ręką milczenie. Nanic. Ściągnęli go po raz drugi. Co chwila łysa jego głowa wyskakiwała ponad inne i kryła się w tłumie, jak w topieli.

— Witczak! Witczak!

Wyrwał się raz jeszcze. Kamizelkę miał rozpiętą, krawat rozwiązany.

— Korupcja!... — krzyknął.

— Witczak!! Witczak!!

— Korupcja!... — runął wraz ze stołem.

Kubarski ze swoimi przybliżał się coraz bardziej do mówcy. Jego ludzie opasali go tłumem, odrzucając wtył przeciwników. Byli i tacy, co potrzásali kijami.

Na podniesiony stół wszedł teraz Witczak. Miał pod pięćdziesiątkę, włosy czarne, lśniące, wysmarowane tłuszcem, wąsy przyszyżone. Odziany był odświętnie, w długich butach, wyszwarcowanych, w kurtce. Stalowy łańcuszek od zegarka lśnił na kamizelce.

Mówił rzewnie i płaczliwie, od serca. Jako że nie dla siebie, tylko dla dobra gminy o godność wójta się

ubiega. Te liche pieniądze, które dostanie, nie opłaca mu nawet parobka, jakiego sobie na czas urzędowania musi wynająć. Gospodarstwo swoje naraża. Żonę i dzieci musi same w domu ostawiać. Ale nie może odmówić tym sąsiadom, tym przyjaciółom, co wraz z nim chcą dobra dla tych biednych wsiów, przez podatki wyiskanych.

I do wrogiego sobie nauczycielstwa się zwrócił, jako że w sejmiku wykołata, aby szkoła została zbudowana, a nie w wynajętej chałupie się mieściła, i aby nauczyciel miał w niej mieszkanie, jak się patrzy. I do wszystkich gospodarzy, że u rządu pożyczkę rolniczą uzyska. I że kary administracyjne muszą być zmniejszone, albo zniesione całkowicie, i że stróżów nocnych być nie powinno. Bo naco jest policja? Cały tak program wyłuszczył.

Chciał teraz mówić Ołdak, lecz Kubarski zarządził, aby najpierw było głosowanie.

— Teraz głosowanie na Witczaka! Po głosowaniu niech Ołdak mówi, i na Ołdaka. Teraz na Witczaka!

— Głosowanie! Głosowanie!

Ci, którzy stół otoczyli, byli panami sytuacji. Stało się po jego myśli.

— A bab tu niema?! — Krzyknął. — Kobiety też głosują. Biegaj po swoją jeden i drugi!

Zaroilo się od kobiet, pędzonych z chałup od gotowania południowej strawy. Niektóre szły rezolutnie, inne przystawały, nie wiedząc, co z sobą robić, zasromane drwiącemi spojrzeniami parobków.

Gozmur rzucił swoją kartkę i zawrócił ku domowi. Wmieszany w tłum, bosy dzieciak krzyczał:

— Oldak! Oldak!

Wyszedł już na wolną drogę, gdy spotkał jadącego powozem Rukiewicza.

— Pan, widzę, z wyborów!

— Właśnie.

— I cóż tam?

— Głosują na Witczaka.

— Oddam swój głos i wpadnę do państwa. Jak się pani miewa?

— Dobrze, dziękuję.

Nie poszedł dalej, lecz zaczekał na drodze na Rukiewicza. Ten nadjechał za chwilę i razem weszli do dworu.

— Niech pani żałuje — mówił Rukiewicz — że nie widziała pani tych wyborów. Tu dopiero wyrabia się praktycznie pogląd na wartość powszechnego głosowania. Prościejby było, aby Kubarski poprostu sam wójta naznaczył.

— Nie lubi pan Kubarskiego?

— Niech pani sobie wyobrazi — nie odpowiedział wprost — że on, dzięki swoim fikcyjnym stosunkom, trzęsie całą okolicą i ma na swoje usługi władze miejscowe. Nawet w Warszawie z nim się liczą. Ma poprostu tupet podawania się za przyjaciela ludzi, których nigdy na oczy nie oglądał. Z tym jadł obiad, z tym grał w karty, u tego nocował. Gdy chce coś przeprowadzić, to oznajmia, że takie jest życzenie

ministra. Najważniejszego ministra — pani wie — albo premjera.

Od wsi dolatywał niemilknący gwar. Droga, wzdłuż sztachet, snuli się gospodarze, przyodziani odświętnie, kurząc zwijane z bibułki papierosy, albo siadali po kilku nad przydrożnym rowem, rajcując.

— Nie skończy się to prędko. Spełniłem swój obywatelski obowiązek, miałem przyjemność zobaczenia pani, i odjeżdżam.

— Niech pan zostanie na obiedzie — poprosiła.

— Nie należałoby poprosić tego pana ze starostwa? — zafrasował się Gozmur.

Odpowiedziała mu niechętnem spojrzeniem. Pochwycił je Rukiewicz i rzekł.

— Jego zabierze do siebie do Gwizdowa Kubarski. Niech pan nie psuje im zabawy.

Było już dobrze po obiedzie, gdy od wyborów przyszedł Miętus, prosząc Gozmura w imieniu komisji do obliczania głosów, aby wziął w niej udział. Głosy oddane na Witczaka już obliczone, teraz liczy się na Ołdaka. Jeden z tych, co liczyli na Witczaka, pojechał do domu i nie wrócił. Kubarski, który też znajduje się w komisji, zaproponował, aby poproszono Gozmura. Gozmur zapytał spojrzeniem Rukiewicza, i ten dał mu głową znak, że radzi, aby poszedł.

— A cóż wasze bociany?

— Poleciały, proszę pani. Nie chciały z gęsiami siedzieć. To nie dla nich kumoterstwo.

— Chłop nie ma w krwi nic demokratyzmu — rzekła Anna, gdy została sama z Rukiewiczem. — Na-

wet z takiej odpowiedzi, napozór nic nieznaczącej, to widać. A gdyby pan wiedział, jak Kubarskiemu się dostało. Opowiedziała o Mysze.

— Doskonałe! — Doskonałe! — wybuchnął śmiechem. — Bardzo dobre! A ja tego Myszkę pamiętam. Nie myślałem, że jeszcze żyje.

— Opowiadał mi o pani Barcicowej. Z tego, co mówił, wnoszę, że nie była szczęśliwa.

— Co mówił?

Powtórzyła, jak spotkał Barcicową płaczącą w ogrodzie. Rukiewicz słuchał, przechyliwszy głowę wtył krzesła. Patrzył daleko.

— Tak, ona nie była szczęśliwa — potwierdził.

— I dlaczego?

— Jakby to pani powiedzieć...

— Może on był przykry?

— On nie był dla niej, nie byli dobrani. Główną jednak przyczyną jej szarpaniny wewnętrznej była niemożność znalezienia harmonii między sobą, a tem, co nazywamy światem. Znalezienia dla siebie w nim miejsca. Nie była to istota zwykła. Bardzo szlachetna. O dużej duchowej skali. Miałem dla niej coś w rodzaju kultu. Nietylko mąż, ale i świat powinien być dla niej inny.

— Jaki?

Zamyślił się.

— Bardziej wolny, któryby nie wymagał, jak od innych kobiet, takiego przystosowania się do rzeczywistości, do celów społeczno-praktycznych. Któryby jej pozwolił żyć bardziej życiem dziecka i natury,

bezpośredniem, niekonwencjonalnem. Czasy były surowsze niż dzisiaj. Ja pani Barcicowej, gdy wyjechała, już nie widziałem. Nie przyjmowała nikogo. Robiła sobie, zdaje się, wyrzuty, że nie dała szczęścia mężowi dlatego, że wszystkiego się nie wyrzekła. Potem więc wyrzekła się wszystkiego dla syna. Nawet swoich dawnych przyjaciół. Wyrzekła się i zgasła.

— Według pana niczego nie należy się wyrzekać?

— Nie powiedziałem „niczego”. Są sytuacje, gdzie należy wszystkiego się wyrzec, są takie, gdzie niczego wyrzekać się nie potrzeba. Są ludzie, którzy, czy wyrzekają się czegoś, czy nie wyrzekają, pozostają tacy sami, bez zmiany. Nie czynię uogólnień. Mówię tylko o pani Barcicowej, o poszczególnym, indywidualnym przypadku. Natura pani Barcicowej warta była rozwinąć się w całej pełni. I świat nicby nie stracił, choćby jakiś tam konwenans lub zwyczaj został przy tem uszkodzony.

— Czyż nie każda natura warta jest rozwinąć się w całej pełni?

— Kubarskiego także? — zapytał z humorem. — Takich jak Kubarski nikt zresztą nie krępuje w ich rozwoju indywidualnym. Mają wszystkie warunki, aby osiągnąć go w całej pełni.

— Pan żartuje i zestawia pan krańcowości. Ale czyż nie szkoda mówić o Kubarskim! Mnie więcej interesuje pani Barcicowa. Jaką ona była?

— Pani Barcicowa była poetką.

— Pisała?

— Nie, ale w duszy była poetką. Rozmowa z nią miała nieporównany urok. Umiała z mowy wybrać słowo malujące rzecz i miała przenikliwe wejrzenie. Potrafiła odgadnąć smutek w człowieku, który się śmiał, i wiedziała, co jakie w nim echo budzi. Wielką posiadała intuicję. Była przytem bardzo żywotna. Poprostu ręce wyciągała do życia.

— Musiało jej być na tej wsi bardzo ciężko.

— Na wsi? Nie. Lubiła wieś. W mieście raczej trudnoby jej było wytrzymać. Ale ani w mieście, ani na wsi nie miała tego, czego jej było potrzeba — uznania dla swego gatunku.

Przypominać sobie począł różne zdarzenia z życia Małek z przed wielu lat, jakąś rozmowę, prowadzoną w tym samym pokoju. Uśmiechnął się zdaleka do tych wspomnień.

— Siedziała tu, gdzie teraz pani. Pytała o rzeczy podobne. Pytała także o moje podróże. Nigdy nie wyjeżdżała z Polski, choć przecież mieli na to.

— Czy była ładna?

— Była bardzo miła. Syn jest do niej podobny...

— Ołdak! — zawołał, wchodząc, Gozmur. — Wyobrażcie sobie państwo, Ołdak!

— Co Ołdak?!

— Ołdak wybrany wójtem.

— Nie może być?

— Daję panu słowo. Otrzymał więcej głosów. Ale gdyby nie ja, nicby mu z tego nie przyszło. Sfałszowanoby wybory.

Był bardzo kontent z siebie.

— Tylko dzięki temu, że ja tam byłem. Ale ten Kubarski to jest numer!

— No, ja wiem — rzekł Rukiewicz.

— Niech pan sobie wyobrazi. Siadamy do liczenia kartek. Liczyło nas czterech. Ja swoje przeliczyłem, zapisałem i patrzę, jak on liczy. Tamci dwaj także jeszcze nie przeliczyli. Białe kartki za, czerwone przeciw. Czerwone już przeliczył i zapisał, widzę, jak liczy białe. Wie pan jak? Bierze po trzy, po cztery, i liczy jakby była jedna. Bez żadnej ceremonii. Skończył, zapisał, tamci policzyli też, Ołdak przepadł. Mnie jednak djabli wzięli. Żarty ze mnie stroją, czy co? Pocóż mnie proszą do takiej komedji? Powiadam więc: — „Bardzo przepraszam, ale pan Kubarski się omylił”. — „Jakto się omyliłem?” — „Omylił się pan. Białych kartek jest u pana więcej niż pan narachował”.

— No i co?

— No i musiało nastąpić drugie przeliczenie. Wie pan, byłem taki zły, że doprowadziłbym do największego skandalu. Urzędnik ze starostwa to widział. Przeliczyliśmy po raz drugi i po raz trzeci. U wszystkich było dobrze, tylko u niego źle. Pięćdziesiąt głosów za Ołdakiem mniej narachował.

— Będzie pan miał w nim wroga do końca życia.

— Cóż mi to szkodzi? Przecież to zwykły oszust! Wściekły jest, że przeszedł Ołdak.

— I tak Ołdak nie będzie wójtem.

— Jakto nie będzie?

— Kubarski unieważni wybory.

— W jaki sposób?

— W jaki, nie wiem, ale jestem tego pewny, bo on się na tem dobrze zna.

IX.

Lato było już w całej pełni, gdy Barcie przyjechał do Małek. Przyjechał na jedną dobę, ale gdy odwiedził Rukiewicza, dał mu się zatrzymać i pozostał w Bukowie, nie śpiesząc z wyjazdem.

Codziennie był w Małkach. Przyjeżdżał zazwyczaj konno i często zostawał do późnego wieczora. Do rozmów w Warszawie Anna nie powracała, jednak czuł, że czeka, kiedy on o powziętych projektach mówić zacznie. Miał swój plan, nie obmyślił go jednak jeszcze w szczegółach. Zdał sobie sprawę, że nie nadawała się do pracy w Warszawie, i pracy tam dla niej nie widział. Gdyby była w nędzy ostatecznej, oczywiście, musiałyby sobie dać radę, lecz że coś mieli, więc na tem należało się oprzeć. Był człowiekiem praktycznym, sam życie swoje urządził tak, aby mu na niczem nie zbywało. Pojął, że życie w Małkach było niemożliwe, nie tylko z powodu nudy, braku celu i zajęcia, ale także z powodu materialnej prymitywności. Nie można przy takich komunikacjach obywać się parą marnych koni, trzęsącą bryczką, przebywać zimą w napół opalonym domu, byle jak umeblowanym, i nie mieć na nic. Teraz, latem, gdy kwitły kwia-

ty, gdy pełno było owoców w sadzie, nędzą była zartata, lecz pamiętał, jak było zimą. Człowiek powinien inaczej mieszkać, inaczej jeździć, korzystać z ułatwień technicznych i mieć na wszystkie swoje potrzeby.

Pragnął, aby Gozmurowie byli bliżej, nie zaszyli w tym kącie, do którego dostać się było trudno. Towarzystwo Anny stało się już jego potrzebą. Tego sobie nie mówił, ale mówił, że skoro przyrzekł, że ją stąd wyciągnie, to powinien przyrzeczenia dotrzymać. Umyślił, aby Gozmurowie kupili dochodowy ogród pod samą Warszawą, któryby im dał możliwość normalnej egzystencji i jej nie odcinał od życia. Na to nie mieli. Postanowił ofiarować się z pożyczką. Zastanawiał się jednak, czy kapitał będzie miał zagwarantowany dostatecznie i jak wysoką musi być ta pożyczka. Tego jeszcze nie wiedział. Tymczasem, przez rozmowy z Rukiewiczem, przez przyglądanie się wiejskiemu życiu, którego nie znał, orjentował się, jaki dochód taka posiadłość pod Warszawą dać może.

Podczas tego pobytu tajemnica małkowskiego dworu ustępowała z jego myśli, jak cienie nocy przed wschodzącym dniem.

Małkowski dwór, osłonięty roletami i okiennicami przed upalnym słońcem, otwierający naprzestrzał okna, gdy żar zelżał, zieleniejący werandą, zarosłą dzikim winem, uśmiechał się z podejrzeń, jakoby pod jego dachem działały się niedające wytłumaczyć się nieszczęścia. Zmieniał się stan psychiczny Barcica, i koszmary nie miały do niego przystępu. Niczego już nie

dociekał, nawet w odwiedziny do Myszki się nie śpieszył.

Jednak raz, na krótką chwilę, wszystko ponownie wróciło.

Udał się na grób ojca. Parafjalny kościół i cmentarz znajdowały się w Danowie, położonym dość daleko, bo o półtorej mili od Bukowa. Pojechał tam końmi rano, aby przed upałem wrócić do domu. Słońce jednak mocno zagrzało, gdy zatrzymał się przed cmentarzem. Cmentarz był stary, duży, zarosły drzewami, otoczony murem. Poprzez jego zielen białął murywany kościół.

Nie pamiętał tego cmentarza. Gdy jednak zapuścił się w głąb i gdy owiał go jego chłód, stanęło mu w oczach, jak jechał tu w powozie z matką za trumną ojca. Postać matki w opuszczonym czarnym welonie i on w czarnym ubranku. Przeszło wspomnienie, jak to ubranko nagwałt szyto pod okiem gospodyni, jak go wołano do przymierzenia i jak matka o niczem nie wiedziała. Jedna chwila za drugą odtwarzała się w pamięci. Krzyż, zatrzymujący się przed bramą, na który wciąż patrzył, jadąc w powozie, ksiądz w białej komży i czarnym birecie... Pochód stanął, do matki podchodzą znajomi z sąsiedztwa, którzy u nich nigdy nie bywali, lecz na pogrzeb się zjawili, chłopci biorą trumnę na ramiona, cmentarz zaludnia się tłumem kobiet i mężczyzn. Śpiewają pieśń pogrzebową. Modlitwa księdza, skrzyp sznurów, spuszcających trumnę, padanie grud ziemi.

Rozejrzał się. Krzyże, krzyżyki na małych mogiłkach, na niektórych fotografie, otoczone wianuszkami nieśmiertelników, omszałe kamienie, ziemia gdzieś gdzie zakłęsa pod zapadającym się grobem. Naokoło cisza zupełna. Nikogo na cmentarzu.

Stał koło jakiegoś grobu i patrzył na blaszany wianuszek, udający niezapominajki, zawieszony na krzyżu. Na tym małym, jak grządka, grobie, nie było napisu. Krzyż był niski, szczerbawy. Przyglądał się mu nader uważnie. I nagle pewnym krokiem poszedł w inną stronę, z głównej alei zbieżył w kierunku kościoła, stąpił po wąskich brózdach między grobami i stanął przed wielką płytą kamienną, przed grobem ojca.

„D. O. M. Jan Barcic. Właściciel Dóbr Małki, ur... um... Niech spoczywa w pokoju.”

Aż zdziwił się, jak trafił. Wlepił oczy w napis. W ten dziwny napis, którego każde słowo, każda litera uderzały o mózg, jakby nigdy przedtem nie były widziane i słyszane, jakby mieściły w sobie coś strasznie niepojętego.

„D. O. M. Jan Barcic, Właściciel Dóbr Małki”.

Płyta tu i owdzie zaciągnęła się plamami od słoty i kurzu, na jednym rogu była nieco obłupana. W Barcicu przeszła myśl, jakby mimochodem, jakby towarzysząca innym, że trzeba grób odnowić i złożyć na nim świeży wieniec. I znowu czytał:

„D. O. M. Jan Barcic, Właściciel Dóbr Małki, ur... um... Niech spoczywa w pokoju.”

Ukląkł nad grobem. Klęczał długo, i nagle najwyraźniej znalazł się w dworze małkowskim, w czasie poprzedzającym śmierć ojca.

Pora była tak samo letnia, ten sam dom, wewnątrz urządzony inaczej. Matka, służba, Mysza w ogrodzie, on w pokoju dzieciennym, głos ojca. Jęk niewyraźny, skarżący się, przejmujący. Trwało to chwilę, mgnienie oka. I po tej chwili znowu płyta kamienna, dookoła groby, drzewa wyrosłe, rozłożyste, biała poprzez nie wieża kościoła.

„D. O. M. Jan Barcic, Właściciel Dóbr Małki...”
Trzeba grób odnowić.

Napis stracił już swą wymowę. Obszedł go dookoła, postanowił jeszcze raz, że niedługo tu wróci, zajmie się odnowieniem — i wyszedł z cmentarza.

— Jedźmy — rzekł do stangreta.

Konie ruszyły wzdłuż muru, dobre konie Rukiewiczza. Słońce prażyło, za bryczką niósł się prześwietlany tuman kurzu. Przez chwilę był jak obudzony z długiego snu. Coś jeszcze śnił bardzo żywo, ale sen błyskawicznie zapadał się, ginał. Jechał między domami wsi Danów, dzieciaki napół gołe, w samych koszulinach, z odkrytymi głowami biegały po drodze. Na skrócie mimowoli spojrzął na drogowskaz: „Buków. — Km...”

Po powrocie pisał listy do swoich współpracowników, przejrzał gazety. Rukiewiczza zobaczył dopiero przy obiedzie.

— Wybiera się pan dziś do Małek?

— Wybieram się.

— Niech pan nie jedzie konno. Niech pan każe zaprząć. Straszny upał.

— Mnie to nic nie szkodzi — odparł Barcic.

W Bukowie zawsze przy stole usługiwał Stanisław. Choćby Rukiewicz był sam, stał uważny koło kredensu, bacząc, kiedy zmienić talerz, napełnić szklankę, zawsze w białych rękawiczkach i białym krawacie. I teraz, gdy dochodziło do trzydziestu stopni C., stał czarno odziany, wyprostowany i czujny. Jakaśkolwiek toczyła się przy nim rozmowa, słuchał jej, jakby w obcym toczyła się języku, a odpowiedzi na zapytania, sobie zadawane, ograniczał do zdań najkrótszych. Pomimo, że służył dawno, były kwestje, których Rukiewicz przy nim nie wszczynał. To też dopiero po obiedzie, gdy przeszli do gabinetu, gdy im tam podał czarną kawę i znikł bezszelestnymi krokami, Rukiewicz rzekł:

— Kiedy pan się ożeni, panie Kazimierzu?

— Nie myślę o tem.

— Dochodzę do przekonania — zaczął Rukiewicz — że porządny człowiek powinien być w pewnym wieku żonaty. Wzmacnia to jego stanowisko socjalne i daje mu wyraźną fizjonomję, co zawsze jest pożądane. Powiedziałbym nawet, że dla gentlemana ożenienie się jest konieczne. Pomiedzy starym kawalerem a społeczeństwem, w którym żyje, jest jakaś dysharmonja. I wie pan, nawet pod względem wartości indywidualnych ludzie żonaci stoją wyżej od starych kawalerów.

— Cóż pan czyni taki samosąd? — roześmiał się Barcic.

— Cóż pan chce! Ja też tworzę pewną dysharmonję, choćby dlatego, że na nic nikomu nie jestem potrzebny. Stanisław jest także starym kawalerem. Czasami, gdy spojrzymy na siebie, mamy ochotę obydwaj się rozśmiać. Oczywiście, nie śmiejemy się, ani on, ani ja. Wiemy jednak doskonale, że mamy taką ochotę i dlatego ją mamy. Dlatego, że obydwaj jesteśmy starymi kawalerami. Jeżeli jeden stary kawaler jest taki śmieszny w oczach drugiego, jak on musi wyglądać w oczach ogółu? A czyż człowiekowi, należącemu do pewnej sfery towarzyskiej, wypada być śmiesznym? Stanisław ma przynajmniej bratanka, któremu pomaga w szkołach. A ja, gdybym niewiem jak się biedził, nikogo nie mam, komu mógłbym pomóc. Daję panu słowo. Dawniej, tacy ludzie jak ja, tworzyli fundacje, ustanawiali stypendja, ale jakżeż to robić dzisiaj? Dajmy na to, że ufunduję jakąś instytucję — czyż wiem, w co się obróci i kto z niej skorzysta? Jak zostanie zreformowaną i na co będzie służyć?

— Pan jednak kiedyś zajmował się sprawami społecznymi.

— Słyszał pan o tem? Istotnie, zajmowałem się. Lecz to były inne czasy. Wiedziałem, że to, co robię, przyczynia się do utrzymania i obrony wartości, które z takich, czy innych powodów są mi drogie. A dziś? Pomagając w czemkolwiek dzisiejszemu społeczeństwu, przyczyniam się do rozwoju wartości, które co

najmniej są mi obce. W takim położeniu jedyną ostoją jest rodzina. Inaczej zupełnie niewiedomo, co robić. Gdybym był konsekwentny, powinienbym przed śmiercią wszystko zniszczyć i spalić. Ale tego nie zrobię. Coprawda, nie wiem dlaczego.

— Nie ma pan krewnych?

— Mam, ale ich nie znam i są mi obcy. I cóżby im z mego zapisu przyszło? Są to ludzie zamożni. Tak samo, co jabym zyskał, gdyby mi ktoś zapisał drugi Buków. Miałbym tylko kłopot, aby go wydzierżawiać, albo trzymać tam rządce. Tutaj tak szczęśliwie się urządziłem, że mam tego Gomulskiego, który o wszystkim pamięta i któremu zupełnie ufam. Lecz mógłbym takiego drugiego nie znaleźć. Tak, drogi panie. Dziś pana absorbuje praca, znajduje pan w niej zadowolenie. Ale gdy pan dożyje pewnego wieku i będzie pan miał duży majątek, postawi pan sobie pytanie — naco ja jestem i naco to wszystko mi potrzebne?

Pewnie, że on jest zupełnie nieużyteczny, myślał Barcic, jadąc do Małek. Ale czyż każdy koniecznie musi być użyteczny? Czyż społeczeństwo koniecznie musi być społeczeństwem termitów? Dziś wprawdzie ewolucja postępuje w tym kierunku. Propagowane są nawet praktyki chirurgiczne, przypominające mocno oślepienie owadów, przeznaczonych do roboty, i wrywanie matkom skrzydeł. Cóż z tego? Minie kiedyś ten szal socjalny, jak minął indywidualny.

Gozmur stał na werandzie. Barcic zeskoczył z konia i oddał go nadbiegającemu Wickowi. Wicek

zawsze czatował, aby odebrać konia i go przyprowadzić.

— Anny pan nie zastał — rzekł Gozmur, nim Barcic zdążył się z nim przywitać. — Jakieś dziecko zachorowało we wsi i poszła je odwiedzić. Powinna zaraz wrócić.

Nie wiedział, co robić z gościem, i Barcic też nie wiedział, co ma robić z sobą. Obydwaj poczuli się nieswojo.

— Może panby poszedł naprzeciw Anny — zaproponował Gozmur.

— Bardzo chętnie.

— Tylko nie będzie pan wiedział, gdzie. Ja wiem, w której to chacie, a pan może ją minąć, jeśli stamtąd jeszcze nie wyszła. Pokażę panu. Niech pan będzie łaskaw usiąść, natychmiast panu będę służył.

Powrócił, prowadząc Nerona na smyczy.

— Pies też przespaceruje się przy tej okazji. Ma pan psa?

— Nie.

— Za pana czasów musiało tu być psów dużo?

— O, naturalnie.

I szli, milcząc.

— Ja miałem psów kilka. Wziąłem tylko jednego, bo wyżłowił mi tu nie potrzeba. Miałem doskonałą sukę, ale zabierać jej nie chciałem. Psy zbiegają się z całej wsi, a potem jest kłopot ze szczeniętami.

Weszli w wieś, gdy ujrzeli Annę.

— Pan Barcic dopiero co przyjechał — rzekł Gozmur — i wyszliśmy naprzeciw. No, pójdę sobie

z psem dalej. Nie żegnam się, bo przecież pana zastanę.

Barcic się mieszał. Odjeżdżał zwykle późno, w ostatnich więc słowach Gozmura nie było nic dziwnego. Nie było dziwne, że odszedł z psem. Zawsze prowadził go o tej porze. A jednak usłyszał w nich: „Myślicie, że ja nic nie wiem? Ja wszystko wiem”. Co wie? Czego nie wiedział sam Barcic? Miał miłe uczucie, że Gozmura w jego własnym domu oszukuje i że Gozmur go na tem przychwycił. Na czem? Nie było to przecież prawdą, a jednak Gozmur powiedział prawdę. Gdyby było inaczej, to, domyśliwszy się podejrzeń Gozmura, powinienby odrazu wszystkiemu położyć koniec i wyjechać do Warszawy. A przecież nie wyjedzie. Nie wyjedzie właśnie dlatego, że jest tak, jak Gozmurowi się wydaje. Właśnie dlatego, że ona jest w Małkach.

Anna przez chwilę napół przymrużonemi, błyszczącemi oczami patrzyła za oddalającym się Gozmurowem i nagle uśmiechnęła się.

— Dlaczego tak późno? Komu mam zrobić scenę zazdrości?

Zmieszał się jeszcze bardziej: żart ten spłoszył w nim wszystkie myśli. Uderzyła mu nagle na zmysły tak, że krew nabiegła mu do skroni. Gdy zaczął mówić, nie mógł opanować drżenia łamiącego się w piersiach głosu.

Życie z niej promieniało. Była jakby częścią tego upalnego lata, co złoćiło się łąkami żyta, barwiło w kwiatkach, czerwieniło w wiśniach i malinach. Bez

kapelusza, w czerwonym szalu, narzuconym na ramiona i spływającym nisko na letniej, jasnej sukni, — tym samym, w którym widział ją po raz pierwszy — szła koło niego wsią. Na drodze i podwórzach domostw zaczynał się ruch, kończący dzienną pracę. Zaganiano bydło, od strony gminy piegowata dziewczucha, o grubych, spieczonych słońcem nogach, niosła wiadra z wodą.

Skrzypnęła ogrodowa furtka. Rozkwitłe piwonje pochylały się na łodygach nad opadającym z siebie kwieciem, czyniąc na ziemi ponsową, jedwabistą ściółkę. Zielony dach drzew ocieniał ogród, w świetle zapadającego słońca stał jeszcze dwór i klomby przed nim z nieskoszoną, pokładającą się trawą.

— Czuje pan, jak pachnie?

Wejściowe drzwi były zamknięte, na usilne stukanie nic wewnątrz nie drgnęło.

— Niech pan zaczeka, obejdę dookoła. Antoni pewnie jest w kuchni i nie słyszy.

Czekał na werandzie. Minuty przedłużały mu się w nieskończoność. Czuł krącenie krwi w żyłach.

— Antoniego niema! Coś podobnego! Myślał naturalnie, że prędko nie wrócimy, dom zamknął i poszedł. Jesteśmy bez dachu. Cóż teraz zrobimy? — mówiła śmiesznie zakłopotana.

— Chodźmy do ogrodu.

Ogród po drugiej stronie domu, sad z ulami, po którym chodziła z Myszką, zarosły był przy sztachetkach okwitłą już akacją, krzewami czarnego bzu, terek i ożyn, wilczem łykiem i zielskiem przeróżnem.

Wszystko rośło, co chciało, tworząc gąszcz nieprzeniknioną. Nawet paproć tu przywędrowała. Tańczyły się tam gniazda ptasie, tam szurgał spłoszony, obcy kot, gdy spostrzeżony był, że zakradł się do ogrodu.

— Ślicznie pana przyjmuję po takim konnym spacerze! Pan konno przyjechał? Nawet ławki niema. Chyba jednak usiądziemy — poszukała oczami miejsca i skierowała się w upatrzone. — Ja bo schodziłam się strasznie, ledwie żyję. Niechże pan raczy usiąść — mówiła żartobliwie, wskazując mu miejsce koło siebie.

Nie był w możności rzec słowa. Serce biło mu w piersi, jak dzwon. Nie widział nic, tylko ją, napół leżącą, z głową opartą na łokciu, w letniej sukni, odsłaniającej szyję, z której zsunął się szal. Wyciągnął ramiona. Przycisnął ją do siebie. Zbladła i zamknęła oczy. Usta miała zimne, nieruchome.

Nagle gwałtownym ruchem odepchnęła go. Przemieniła się cała w słuch. Zmarszczywszy brwi, wpatrzyła się daleko, uważnie w ogród.

— Bolek...

— Nie.

— Bolek. Niech pan wstanie.

Poprawiła włosy, owinęła szal na szyi.

— Chodźmy stąd — rzekła.

Nie widać już było na niej wzruszenia. Opanowała się w jednej chwili.

— To nie on. — Barcic nie mógł przyjść do siebie.

— Ależ mówię panu, że on — odparła napół z irytacją. — Nie słyszy pan psa?

I jakby chcąc mu nagrodzić tę ostrość głosu, uśmiechnęła się do niego spojrzeniem.

Uliczką szedł Gozmur z Neronem na smyczy.

— Spostrzegłem, że nie oddałem ci klucza, i wróciłem. Zamknąłem drzwi, wychodząc z panem Barcicem, i zabrałem klucz z sobą. Zapomniałem ci oddać. A Antoniego niema. Poszedł do Gwizdowa, wróci na sam wieczór. Nie mogliście dostać się do domu.

X.

Gozmur okazywał Barcicowi sympatię, witał go silnym uściskiem szorstkiej, porosłej włosami ręki, zjawiał się przed domem, gdy nadjeżdżał, klepał po szyi konia, którego Wicek odprowadzał do stajni, i mówił:

— Zgrzany!

W słowach tych, powtarzanych za każdym razem, Barcic począł dostrzegać ukrytą ironję. I nieraz wydawało się mu, że Gozmur z niego kpi. Spostrzegając przemykający się mu przez oczy zły błysk, ponury i drwiący. Ale tylko wtedy, gdy myślał, że nikt na niego nie patrzy, inaczej był zadowolony i pogodny.

Dla Anny stał się uprzejmy i uważający. Nie mówił jej rzeczy przykrych, nie wpadał także w rozpacz nad swym położeniem, nie biadał nad tem, co miał i niepowrotnie stracił. Przestał mówić o sobie.

Niepokoili ją ta poprawa humoru. Zbyt dobrze go znała. Nie była pewna, czy nie przejrzał jej sto-

sunku do Barcica. Zdawała sobie doskonale sprawę, że Barcica niecierpiał.

Dziś Barcic miał przyjechać powozem, aby razem odwiedzić Myszkę. Gozmur, założywszy ręce w tył, chodził po pokoju. Chodził tak całymi godzinami, paląc papierosa.

— Jakoś Barcic nie nadjeżdża — rzekł, widząc, że Anna wychodzi na ganek, aby spojrzeć na drogę.

— Powinien zaraz być.

— Powiedz mi, czy, gdybym umarł, wyszłabyś za niego?

Krew uderzyła jej do głowy. Ten człowiek nie mógł wytrzymać, aby jej nie zranić! Czuła w nim hamowaną złość.

— Co ty znowu opowiadasz!

— Ja tak pytam.

— Dlaczego tak pytasz?

— Bo mi się zdaje, że tylko o nimbyś wtedy pomyślała.

Nie przestawał chodzić po pokoju.

— Wątpię, abyś całe życie chciała zostać wdową.

— To wątpij!

Podeszła do okna.

— Dlaczego nie chcesz mi odpowiedzieć?

Odwrociła się ku niemu z pasją.

— Znowu zaczynasz mnie dręczyć temi swojami kwestjami! Jakiś czas dawałeś mi spokój i znowu zaczynasz!

— Nie myśl, że mnie nie obchodzi, co stałoby się z tobą po mojej śmierci.

— Skąd nagle takie rozmyślanie?

— Jestem w tym wieku, że wolno mi tak rozmyślać.

— Będziesz żył dłużej, niż ja i Barcic.

— Nie, nie będę żył dłużej. Poco mówisz rzeczy, w które nie wierzysz? Barcic nie poruszał z tobą tego tematu?

— Słuchaj! Daj mi spokój!

— Powinien był poruszyć. Ty nawet powinnaś zapytać go otwarcie, jakie są jego zamiary. Czy, gdy stąd wyjedzie, poprosi cię, abyś zamieszkała przy nim w Warszawie. Narazie on tutaj mieszka. Czy to jest tylko sezonowy stosunek, czy też urządzicie się jakoś inaczej i czekać będziecie, aż was od siebie uwolnię. Najlepiej jasno rzeczy stawiać. Ja go o to pytać nie będę...

— Bardzo cię proszę!

— Nie potrzebujesz mnie prosić, nie będę. On ze mną nie zacznie, bo nie ma odwagi. Dla ciebie nie-dobrze, że nie ma odwagi. Nie można oprzeć się na mężczyźnie, który nie ma odwagi. Ja z nim nie zacznę, bo skończyłoby się na tem, że strzeliłbym mu w łeb.

Zbladła. Znała niepoczytalność i zimne pasje Gozmura.

— Tobieby to nic nie szkodziło!

— Nicby mi nie szkodziło. Cóżby mi to mogło szkodzić? — wzruszył ramionami.

Przyszło jej do głowy, że nie wie nic, że niczego nie jest pewny i że ją bada. Inkwizytor! I gdyby ona

zdradziła się z czemkolwiek, to on pokaże, żeby mu nic nie szkodziło. Drżała o Barcica. Gozmur chodził po pokoju, bez wyrazu, z wyciągniętą naprzód szyją, jak mumja. Zdjął ją lek, żeby tu, w tej chwili, nie stało się coś strasznego.

— Dlaczego ty mnie obrażasz?

— Obraża cię przypuszczenie, że podoba ci się Barcic? On może się podobać.

— Ja nie przeczę, że mi się podoba. Bardzo wielu ludzi mi się podoba. Jeżeli przestają tylko w jego towarzystwie, to dlatego, że nikogo innego niema. Nie można wymagać, abym do nikogo nie przemówiła słowa. Jakikolwiek dla mnie byłeś, to jeszcze takich wymagań mi nie stawiałeś.

— Jaki ja dla ciebie byłem?

— Dajże spokój.

— Jakiż ja byłem? Powiedz.

— Dręczyłeś mnie całe życie.

— Ja ciebie?

— Ty mnie. Ale ja ci wymówek nie robię. Masz takie usposobienie. Zawsze ci się coś wydaje, zawsze tworzysz jakieś fikcje i zamęczasz niemi mnie i siebie. Zamurowałeś mnie w tych Małkach. Pamiętasz, jak prosiłam cię, abyśmy tutaj nie mieszkali, abyśmy dali sobie inaczej radę. Nie chciałeś, i ustąpiłam. Przekonałam się, że nie możesz żyć bez wsi, nawet bez takiej wsi, i ustąpiłam. Ale zostaw mi trochę wolności. Wierzysz mi chyba tyle, że jej nie nadużyję.

Mimo, że panowała nad sobą, zaczerwieniła się

Gozmur jednak nie dostrzegł tego rumieńca. Chodził, milcząc, po pokoju.

— Wybij więc sobie z głowy te przypuszczenia, w które sam nie wierzysz. Nie chciej, abym żyła, jak w trumnie.

— Ja cię w niczem nie krępuję.

— Jakżeż mnie w niczem nie krępujesz?

— W czem?

— To, co mówisz, to nie krępowanie?

— Przyjechał — rzekł Gozmur na turkot powozu przed domem i wyszedł w tej chwili naprzeciw.

— Anna czeka na pana i nie może się doczekać.

— Istotnie spóźniłem się trochę — odpowiedział Barcic, spoglądając na zegarek. — Jechaliśmy wolno, taki straszny piach.

— Proszę, niech pan będzie łaskaw.

Anna jednak już wyszła w kapeluszu i okryciu.

— Pojedziemy chyba zaraz — rzekła.

— Nie pozwolisz nawet panu odpocząć?

— Ja wcale nie jestem zmęczony. Cóżto za droga z Bukowa? — pomógł jej wejść do powozu.

— Wesołej zabawy — rzekł, kiwając im z uśmiechem głową Gozmur, gdy powóz ruszył.

Nie mogła przemówić słowa.

— Co pani jest? — spytał Barcic.

— Mnie? Nic.

— Jednak coś pani jest.

Łzy kręciły się jej w oczach. Wskazała wzrokiem furmana.

Całą drogę myślała nad rozmową z Gozmurem.

Pierwszym odruchem jej było powiedzieć wszystko Barcicowi. Teraz, po namyśle, wyrzekła się tego zamiaru. Barcic może pojąć rzecz tak, że powinien rozmówić się z Gozmurem, tem bardziej, gdy dowie się o jego groźbie. Wówczas Gozmur dotrzyma słowa. Złość w nim narosła i wezbrała. Aż go dusi. Zechce dać jej ujście. A gdyby zakłęła Barcica, żeby nic nie mówił, i gdyby Barcic jej usłuchał, to jakżeż będzie upokorzony! I ona, jak wyglądać będzie po tych słowach — „wierzysz mi chyba tyle“... Gozmur zamknął jej wszystkie drogi. Już teraz nic. Już teraz musi zostać tak, jak jest.

Barcic spoglądał na nią, chcąc wyczytać, co myśli. Podejrzewał, że miała scenę z mężem. Rozdrażniło go to „wesołej zabawy“. Czuł w tych słowach jakąś brutalną aluzję.

— Dojeżdżamy — rzekła Anna i dodała półgłosem: — Proszę się nie niepokoić. Naprawdę nic.

Nie było nikogo przed domem Myszki. Obeszli dookoła, zajrzeli do ogrodu i tam przy grządkach znaleźli dziewczynę, którą widziała, będąc tu po raz pierwszy.

— Dziadka niema?

— Dziadka? Dziadek umarł — odpowiedziała, podnosząc się z kolan.

— Kiedy?!

— Tydzień temu, jak pochowany. Pani z Małek?

— Z Małek.

— Mało co chorował. Myśleliśmy, że mu nic nie

będzie. Nieraz tak zapadał. Aż tu tak go wzięło, że nie wstał. Tydzień temu był pogrzeb.

— Ja nie wstąpię do Małek — rzekł Barcic, gdy jechali powrotną drogą. — Odwiozę panią i wrócę do Bukowa.

— Niech pan wstąpi — poprosiła. — Wiem, jak panu jest przykro, ale niech pan wstąpi, niech pan zrobi to dla mnie.

Niechby nie wstąpił, Gozmurby pomyślał, że wszystko mu powiedziała. I nie chciała zostawać teraz sama z Gozmurem.

XL

Barcic wyjechał do Warszawy i po powrocie zastał w Małkach Kądzielewskich. Byli sami, Hela bowiem wyjechała do koleżanki, a Tadzik na wakacje do krewnych. Podczas pobytu w Warszawie Barcic ostatecznie postanowił, że pomówi z Anną o opuszczeniu przez nią Małek. Miał upatrzony pod Warszawą ogród i dom do kupienia z wolnej ręki. Interesy rozwijały się mu pomyślnie, obliczył, że będzie mógł Gozmurom na kupienie tej posiadłości pożyczyc. Nie potrzeba było całej sumy wpłacać odrazu, część mogła zostać na hipotecę. Gdy teraz zobaczył Kądzielewskiego, pomyślał, że będzie mu pomocny przy zrobieniu transakcji.

Anna wysłuchiwała jego propozycji tak, jakby poddawała się losowi.

— Niech będzie, jak pan postanowi. Ale jak Bolek na to będzie się zapatrywał?

— Trzeba mu powiedzieć.

— A jeżeli się nie zgodzi?

— Nasamprzaw trzeba mu powiedzieć. Gdyby się nie zgodził, zobaczymy. W każdym razie pani tu nie zostanie. Dlaczego pani ma się powodować jego widzimisię, a nie on racjonalnie zrozumianym interesem?

— Myślałam, że pan mi znajdzie pracę w Warszawie.

— To też jest praca. I taka, której pani podjąć się może i która od nikogo nie czyni pani zależną.

Mówił stanowczo, nie dopuszczając nawet dyskusji. Trzymając ołówek w ręce, obliczał dochód, jaki stamtąd można otrzymać. Odciągnął od niego należny sobie procent. Wtedy się nieco rozjaśniła.

— Może i zgodzi się — rzekła.

Gdy po kolacji wszyscy wstali od stołu, Barcic zbliżył się do Gozmura.

— Niech mi pan użycz chwilę rozmowy.

Gozmur osowiał. Twarz mu stwardniała, wyraz stał się nieprzystępny.

— Proszę — rzekł. — Przejdźmy do gabinetu. Wskazał na krzesło.

— Czem mogę panu służyć?

— Panie Bolesławie — rzekł Barcic z odcieniem serdeczności w głosie — pan wie, jak jestem dla państwa przyjaźnie usposobiony.

— Nigdy o tem nie powątpiewałem.

— Przez czas mojego tu pobytu zżyłem się z domem państwa...

— Może dlatego, że to był kiedyś pana dom.

— Zżyłem się z państwem.

— Robi mi pan wielką przyjemność.

— Przyglądając się pobytowi państwa tutaj, przyszedłem do przekonania, że nie można było gorzej się ulokować, urządzić się mniej praktycznie. Pani Anna mówiła mi o interesach, w jakich państwo się znajdują, pan także mi o nich nadmieniał. Otóż z tem, co państwo mają, przy zaciągnięciu jakiejś takiej pożyczki, można żyć zupełnie inaczej, nie tak daleko od Warszawy i nie w takich warunkach, gdzie do kolei dostać się, kiedy drogi są popsute, nie można, gdzie nikogo się nie widzi i gdzie niema zupełnie zajęcia. Pan jest jeszcze człowiek czynny...

— Nie — przerwał Gozmur — ja wcale nie jestem czynny. Ale słucham pana.

Wówczas Barcic zaczął go namawiać, aby zaciągnął pożyczkę i kupił upatrzoną majątność. Gozmur zaciągnął się papierosem.

— Byłoby to bardzo dobrze, ale ja nie mam obiektu, na który mógłbym tak znaczną pożyczkę zaciągnąć. Pan chyba wie o tem. O jakiej więc gwarancji pan myślał? — I znowu zaciągnął się dymem.

— Ja panu pożyczę.

— Ach, bardzo pan jest dobry! Nie wiem, jak panu podziękować, jak wyrazić wdzięczność, że pan tak raczy zajmować się mojami interesami. Istotnie jest

pan przyjacielem domu. Długo żyję i różne robiłem interesy, a taka propozycja jeszcze mnie nie spotkała. Naprawdę nie wiem, jak panu podziękować. Mówił pan o tem z Anną?

— Mówiłem.

— Cóż ona?

— Pragnęła, abym przedewszystkiem przedstawił rzecz panu. Obawiała się, że pan będzie się opierał.

— Niepotrzebnie się obawiała.

— Że pan jest zbyt przywiązany do Małek, aby je chcieć opuścić.

— Wcale nie jestem do Małek przywiązany.

— Więc pan się zgadza?

— Na przyjęcie od pana pożyczki?

— Tak.

— Ileż pan chce na ten cel ofiarować?

— Sądzę, że nie potrzebuje obciążać pana większą sumą, niż pięćdziesięciu tysiącami.

— Pięćdziesiąt tysięcy! To duża suma.

— Nie tak znów bardzo.

— Bardzo duża. Pan jest młody, więc nie wie pan, co za to miało się kiedyś. To jakieś dwadzieścia tysięcy rubli! Widziałem dokument z przed 1848 r. po jednym z moich krewnych, który mieszkał na Litwie. Według tego dokumentu krewny mój kupił dziewczkę u swojego sąsiada za dwadzieścia pięć rubli. Za dwadzieścia pięć rubli, niech pan sobie wyobrazi. Bardzo zabawny dokument. Wystawiony po rosyjsku. Przez władze. „Diewku pakupił za dwadcat piat' rublej”.

Widzi pan, ja jestem do innych cen przyzwyczajony, więc taka suma mnie oszołamia. Ale prawda, że w dzisiejszych czasach, jeżeli ta majątność przedstawia się tak, jak pan ją opisuje, to dużo to nie jest.

— Wcale nie dużo.

— Więc pan pożyczylby pięćdziesiąt tysięcy złotych?

— Przyszedłem o to pana prosić.

— Bardzo panu dziękuję. A o procencie pan pomyślał?

— O procencie pomówimy później.

— I kiedyż tam Anna zamierza się przeprowadzić?

— Gdy tylko kupno będzie uskutecznione. Sądzę, że od jesieni.

— Już tak prędko? Zmienia pan zupełnie nasze położenie tą swoją szlachetną propozycją.

— Pani Anna bardzo się ucieszy, że pan nie robił trudności i że nie zależy panu na pozostaniu w Małkach.

— Zupełnie mi na tem nie zależy.

Odsunął się od biurka, przy którym siedział, i znowu zapalił papierosa.

Barcic nie przypuszczał, że tak odrazu da się namówić. Bardzo łatwo poszła ta sprawa. Jednak był zmieszany. Anegdota, którą musiał puścić mimo uszu, o dziewczce kupionej za dwadzieścia pięć rubli, uraziła go, pomimo że nie podejrzewał Gozmura o złośliwą intencję. Znał go o tyle, aby wiedzieć, że, gdyby w umyśle istotnie przeprowadził jakąś analogię, to

propozycji jegoby nie przyjął. Gozmur często wspominał o czasach ubiegłych i brał stamtąd przykłady ni w pięć, ni w dziewięć. Zresztą niechętny nastrój, w jakim zaczynał rozmowę, przemienił się w dobry humor. Oślanając się kłębami dymu, patrzył na Barcica śmiejącymi się oczami.

— Pan sam wynalazł tę posiadłość? — spytał.

— Sam.

— Tak niedawno pan jest w kraju i tak już doskonale daje pan sobie radę!

Przyznam się, że ja tak szybko nie potrafiłbym się zdecydować. Prawda, że pan jest młodszy i posiadał pan metodę, na której nam w Polsce zbywa. Pan nie zauważył, że wszędzie w Polsce jest brak metody? Jesteśmy bardzo niesystematyczni. Pan, o ile pana mogłem poznać, bardzo jest systematyczny. Prawda?

— Zdaże mi się, że tak — przyznał niechętnie Barcic.

— Posiadł pan największą zaletę, jaką może sobie Polak przyswoić zagranicą, metodę i praktyczność. I pomysłowość także. Potrzeba być bardzo pomysłowym, aby tak odrazu znaleźć wyjście z położenia, w jakim znaleźliśmy się. No, trzeba posiadać i środki. A przy tej praktyczności nie zatracił pan wrodzonego Polakom idealizmu. Rzadka jest taka przyjaźń, doprawdy!

Barcic ugiął się pod temi pochwałami i chciał już wstać, ale Gozmur mówił dalej.

— Połączenie tych niezwykłych zalet musiało

tak ująć Annę. Nie знаła ludzi podobnie niepospolitych. Nie obracaliśmy się nigdy w takim towarzystwie. Bo to, widzi pan, wśród ziemian ludzie naogół są prości. Ja z nich przecież jestem, a w tem się orjentuję. Nie razi mnie to, ale zdaję sobie sprawę, że co innego jest człowiek z takiego, jak pan, świata. Gdyby jakiś mój sąsiad, nie znam wprawdzie takiego, miał takie życziwe, jak pan, projekty, to nie umiałby ich urzeczywistnić tak subtelnie.

— Więc bardzo dziękuję panu, panie Bolesławie — przerwał Barcic.

— Mnie? Za co? To ja panu dziękuję. Bardzo panu dziękuję.

Nie wyciągnął jednak do niego ręki i, gdy wrócili do pokoju, gdzie zostawili Kądzielewskich i Annę, zaczął najspokojniej mówić o kwestjach politycznych. Zajmowało go ciągle jedno, czy w Polsce utrzyma się ustroj republikański, czy też nastąpi monarchja.

— I co? — spytała Anna, usuwając się nabok z Barcicem.

— Zgodził się.

— Bez protestu?

— Bez. Nawet mi dziękował.

— Jaki on bywa dziwny — zamyśliła się. — Nigdy niewiadomo, czego po nim można się spodziewać. Obojgu im było jakoś nieswojo.

Po odjeździe Barcica Gozmur udał się zaraz na spoczynek i, kiedy Anna, po długiej jeszcze rozmowie z Kądzielewską, przyszła się położyć, już spał. Była tak zmęczona dniem, że także zasnęła odrazu.

Obudziła się z rana. Gozmura nie było w sypialni, trochę ją to zdziwiło, bo miał zwyczaj długo wylegiwać się w łóżku. Ubrała się i poszła do stołowego pokoju. Zastała tam już Kądzielewskich.

— Bolek jeszcze nie wstał? — spytał Kądzielewski.

— Wstał. Nie było go tu?

— Nie.

— Nie widział Antoni pana? — spytała Antoniego, wnoszącego herbatę.

— Nie widziałem.

Zasiedzieli się przy stole, czekając na Gozmurę, gdy nie nadchodził, wyszli do ogrodu, potem w pola, i wrócili dopiero na obiad. Nie przyszło im nawet do głowy, aby go jeszcze nie było, i dopiero gdy zebrali się przy stole, Anna spytała Antoniego:

— A gdzie jest pan?

— Pana niema w domu.

— Gdzie pan poszedł? nie wie Antoni?

— Nie wiem, proszę pani. Nawet rano pana nie widziałem.

— Gdzież on jest? — Anna pytając spojrzała na Kądzielewskich.

— W każdym razie trzeba poczekać z obiedem — rzekła pani Zofja.

— Pojechał do Bukowa i tam został na obiedzie — domyślił się Kądzielewski, który był głodny.

— Pan nigdzie nie pojechał, konie są w stajni. Nie kazał pan zaprzęgać.

— No, to poszedł.

— Nigdy do Bukowa nie chodzi. Tak wcześniej i pieszo? — rzekła Anna.

— Widocznie dziś zdjęła go chętka na taką eskapadę — i Kądzielewski założył serwetę pod brodę. — Dzień taki ładny. Gdzież indziej mógł pójść?

— A pies jest? — spytała pani Zofja.

— Jest przy budzie — odpowiedział Antoni.

Wybiła czwarta. Gozmura nie było.

— Niech Wicek wsiądzie na konia — poleciła Anna — i dowie się, czy pana w Bukowie niema.

Poczuła jakiś dziwny niepokój. Wychodziła na drogę, patrząc, czy Wicek nie wraca.

Ujrzała jadący powóz. Siedział w nim Rukiewicz z Barcicem.

— A Bolek?

— Pana Bolesława u nas nie było — odpowiedział, wysiadając z powozu, Rukiewicz.

— Wyszedł rano przed ósmą, bo ja o ósmej wstałam.

— I do tego czasu nie wrócił? — zapytał Barcic.

— Nie wrócił!

Niepokój w niej rósł. Nagle pani Zofja zawołała:

— Przecież nic się nie stało! Cóż mogło stać się w biały dzień?

— Naturalnie, że nic się nie stało — rzekł Kądzielewski.

— A czy on gdzie nie zasłabł? — zastanowił się Rukiewicz.

— Gdzie?

— Gdzieś na drodze.

— Toby go przywieziono, danoby znać.

— Wejdźcie panowie do pokoju — prosił Kądzielewski. — Na pewno wróci.

— Ja wiem, że wróci, ale dlaczego do tego czasu nie wrócił? — rzekł Rukiewicz.

— On lubi czasem płać figle — Kądzielewski roześmiał się. — Chciał przekonać się, czy bardzo niepokoiliśmy się o niego. Trzeba mu pokazać, że wcale nie.

— Ja coprawda nie lubię takich głupich żartów — rzekła pani Zofja.

Siedzieli przy herbacie. Ciągłe ktoś wstawał od stołu i wyglądał przez okno — nadaremnie. Rukiewicz zasumowany był bardzo i, mimo wysiłku, nie mógł tego ukryć.

— Nic nie rozumiem — mówił do Kądzielewskiego. — Czy nie wyjechał do Warszawy?

— Pocóżby tam jeździł? Nie chodziłby pieszo na stację.

— Ja wiem. Jednak jabym pana prosił, panie Kazimierzu, żeby pan sam się przekonał, czy nie był na stacji i nie kupował biletu do Warszawy. Niech pan pojedzie naszymi końmi.

Barcic pojechał na stację, a Rukiewicz kazał Wickowi założyć do bryczki i udał się w drugą stronę. Przejechał koło stawów gwizdowskich, zsiadł, obszedł cały brzeg, pojechał do następnej wsi, rozpytał ludzi. Nikt Gozmura nie widział.

Wrócił pociemku, wrócił także Barcic. Kasjer ko-

lejowy Gozmura znał, zapewniał, że na stacji go nie było.

— Może jest w Gwizdowie? — Pani Zofja czuła niedorzeczność swego przypuszczenia, jednak nalegała, aby posłać do Kubarskiego. Posłano Wicka.

Neron wył na łańcuchu. Antoniemu żal było psa. Postanowił wziąć go do kuchni, ale gdy majstrował koło obroży, Neron szarpnął się, ściągnął ją przez kark, błysnął zębami, wyrwał się i pognął ku bramie, otwartej z powodu ciągłego ruchu. Sunął w pola.

— Neron! Neron! — Antoni biegł za nim — Neron!

Choć noc była widna, znikł z oczu. Antoni postął chwilę. Jeszcze raz krzyknął — Neron! — i zawrócił ku domowi.

— Pies uciekł!

Zgodzili się wszyscy, że Neron pobiegł za Gozmurem. Zapalili latarnie i szli za bramę, w pola, szukając śladu psa.

— Neron! Neron! — rozlegało się w ciszy.

W powietrzu było parno, księżyc nałożył lisią czapkę.

— Będzie deszcz — rzekł Kądzielewski.

Skierowali się ku wsi. Barcic szedł przodem, trzymając latarnię. Wdali ujadały psy.

Wieś spała, tylko za zasłoniętym oknem pisarza gminnego paliło się wąż światełko. Zgasło, gdy dochodzili. Nieco dalej, przyczajeni do płotu, umawiali się parobczak z dziewczuchą.

— Nie widzieliście psa?

— Psa? Nie. Tego ze dworu?
— Tak. Nie biegł tędy?
— Nie, nijakiego psa tu nie było.
Doszli do końca śpiącej wsi i zawrócili.
— Cóż będziemy chodzić dalej!
— Jak pan wczoraj rozmawiał z Bolkiem? —
spytała Anna Barcica, wyprzedzając Rukiewicza i
Kądzielewskich.

— Tak, jak pani mówiłem.
— Niech pan powie jeszcze raz. Niech pan po-
wie dokładnie, wszystko.

Barcic od kilku godzin czuł głuchy niepokój. Nie-
które słowa Gozmura i ich intonacja natrętnie przy-
chodziły na pamięć. Tych nie powtórzył Annie, opo-
wiedziały tylko, jak zaproponował pożyczkę, jak
przedstawił możliwość dochodów, jak Gozmur na
wszystko się zgodził i nawet praktycznie sprawę trak-
tował. Umawiał się prawie o procent.

Od Gwizdowa usłyszeli turkot kół, przyspieszyli
kroku.

Kubarski przyjechał.

— Że też pani nie przysłała odrazu do mnie —
zwrócił się z wymówką do Anny. — Trzeba to było zro-
bić natychmiast. Przetrasnąłbym całą okolicę. Bo nie-
wątpliwie coś się stało. Nie do pomyślenia, aby przez
cały dzień bez powodu nie wrócił do domu. Gdy fur-
man państwa mi powiedział, co się stało, ja na nic nie
czekając, chociaż jest noc, rozesłałem ludzi na
wszystkie strony. Dlatego nie przyjechałem odrazu.

— Dziękuję panu — rzekła Anna.

— O której wstałeś dzisiaj? — spytał Antoniego,
wchodząc do sieni i zdejmując biały kitel od kurzu.

— Koło szóstej.
— Czy drzwi wchodowe były zamknięte?
— Nie patrzyłem, proszę pana.
— Nie otwierałeś wcale drzwi?
— Otwierałem, ale nie jak wstałem.
— O której otwierałeś?
— Kiedy dobrze nie wiem.
— Były otwarte z klucza, czy zamknięte?
— Kiedy też dobrze nie wiem.
— Ty czyścisz panu rzeczy i obuwie?
— Ja.

— Czyściłeś panu dzisiaj rzeczy?
— Nie, bo ani rzeczy, ani buty nie były wysta-
wione. Pani buciki stały, to je wzięłem, ale pana rze-
czy nie było. Myślałem, że pan nie wystawił. Pan
czasem bierze drugie buty.

— O której poszedłeś po rzeczy?
— Zaraz jak wstałem.
— To jest koło szóstej?
— Tak, proszę pana.
Spojrzano po sobie.

— Zdaje mi się, że widziałam rzeczy na krze-
sełku wystawione, gdy szłam spać — przypomniała
sobie Anna.

— Zdaje się pani, czy pani jest pewna?
— Czy ja wiem?! Ja już nic nie wiem!
— Czy pani sprawdziła, jakie ubranie miał na

sobie pani mąż? Czy to, które zdjął z siebie, czy wziął inne?

— Muszę sprawdzić.

— Niech pani będzie łaskawa to zrobić i niech pani od razu zobaczy, czy zabrał z sobą rewolwer.

— Co pan przypuszcza? — zawołał przerażony Kądzielewski, gdy Anna pobiegła do sypialni.

— Jeszcze niczego nie przypuszczam, tylko chcę wszystko wiedzieć.

— Ubranie wziął to, które zdjął wieczorem, a rewolwer zostawił w szufladzie — rzekła Anna, wracając.

Wtedy Kubarski ujął pod ramię Rukiewicza i wyprowadził go do drugiego pokoju.

— Co pan o tem myśli?

Rukiewicz wzruszył ramionami.

— A pan?

— Ja myślę, że strzelił sobie w łeb.

— Słyszał pan przecież, że rewolwer zostawił w szufladzie.

— Miał drugi.

— Nie miał.

— Mógł mieć! Skąd pan wie?

— Któż ma dwa rewolwery? I jaki byłby powód?

— Różne są powody. Co tutaj ciągle robi ten pan Barcic?

— Pan Barcic jest moim gościem — odparł chłodno Rukiewicz.

— Ja wiem, że jest pańskim gościem. Ale co tutaj robi?

— Tutaj jest najbliższe nasze sąsiedztwo.

— Proszę pana — zawołał porywczo Kubarski — ja jestem ponad wszelki wyraz dyskretny i nie wtrącam się nigdy do tego, co do mnie nie należy. Nie możemy jednak dla jakichś delikatności zatajać przed sobą czegokolwiek w takiej chwili. Pan Barcic przebywa tu ciągle, na pewno nie dla pięknych oczu pana Gozmura. Chłopi już o tem mówią. Ja nie twierdzę, aby w tem gadaniu było coś prawdy. Niech pan mi nie przerywa i niech pan nie przeczy, bo, gdyby nawet była prawda, gdybym na własne oczy coś widział, daję panu słowo honoru, zaprzeczyłbym każdemu, kto by mi to powiedział, a może nawet, choć pani Gozmurowa specjalnie na mnie łaskawa nie była, — możebym nawet w pysk dał. Ja już taki jestem! Mam nadzieję, że tyle mi pan wierzy. To jednak jest inna para kaloszy! Nie chodzi o to, co myśli pan, ani co myślę ja, tylko co myślał Gozmur. Gozmur nie był człowiekiem otwartym. Znałem go mało, zaledwie dwa razy w życiu widziałem, ale zdałem sobie z niego sprawę. Mnie dość na kogoś spojrzeć, aby o nim wszystko wiedzieć. Gdyby był człowiekiem otwartym, jak ja, rozmówiłby się z tym Barcicem w cztery oczy, powiedziałby mu: — „Mój panie Kochany, droga z Małek do Warszawy, czy tam do Bukowa, prowadzi tędy, przez te drzwi i przez tę bramę, życzę panu szczęśliwej podróży”. — Szlus! Ale on nie pokazał po sobie nic, tylko węszył, wypatry-

wał, truł się i wreszcie strzelił sobie w łeb. Mówię panu!

— Ależ, mój panie — Rukiewicz bębnił niecierpliwie palcami po framudze okna — gdyby Gozmur popełnił samobójstwo, uczyniłby to gdzieś w pobliżu. Z tem daleko się nie chodzi. Pies zwęszyłby trupa.

— Tak, to prawda. — Kubarski się zamyślił.

— Widzi pan.

— Jednak to nie dowód. Nieprzyjemnie w takie sprawy mieszać policję, lecz, mojem zdaniem, musimy to zrobić. Jak pan uważa? Musimy policję zawiadomić. Im prędzej, tem lepiej, żeby nie żałować. Z tu-tejszą niema co gadać. Jest do niczego. Sobiebym ufał więcej. Przyjedzie agent z Warszawy. Już ja tem się zajmę. Bo przecież trzeba rzecz wykryć.

— Trzeba — zgodził się niechętnie Rukiewicz.

— Więc jeszcze dziś telefonicznie z poczty porozumiem się z Warszawą, i jutro policja tu będzie! Świtało.

XII.

Minął dzień jeden i drugi, mimo zapowiedzi Kubarskiego agent z Warszawy nie przyjechał. Wszelkie poszukiwania miejscowe pozostawały bez rezultatu.

Anna snuła się jak widmo.

Nikt ośwoić się nie mógł z myślą, że Gozmura niema. Zrywano się na każde skrzyknięcie drzwi, na

odgłos czyichś kroków. Kądzielewski wychodził daleko drogą i patrzył w pola.

— Chyba tylko Jaszowski powiedziałby, co się stało — rzekła raz pani Zofja.

Jasnowidz Jaszowski! Anna uchwyciła się tej myśli. Postanowiła jechać natychmiast do Warszawy. Kądzielewski rozkładał ręce.

— Może... Bo ja wiem. Mówią o nim takie dziwne rzeczy.

— Jestem przekonana, że prawdziwe — zapewniała pani Zofja.

Rukiewicz nie odradzał. Choć usposobiony był sceptycznie, tała się w nim przygłuszona wiara w objawy, stojące poza dostępnem ogólnie doświadczeniem.

Barcic chciał Annie towarzyszyć. Odmówiła stanowczo.

Dostać się do Jaszowskiego było podobno trudno, nie miała nikogo, ktoby ją polecił, jednak uwierzyła, że go zobaczy i że on wszystko jej powie. Zatrzymała się w pustem mieszkaniu Kądzielewskich. Z bijącym sercem zdjęła słuchawkę z aparatu.

— Czy jest pan Jaszowski?

— Kto mówi? — usłyszała męski głos.

— Jeżeli pan Jaszowski jest, czy mogę prosić do telefonu?

— Ale kto mówi?

— Ja tylko z panem Jaszowskim.

— Niech pani zaczeka, zobaczę.

— Kto mówi?! — usłyszała inny głos męski, podniesiony i niecierpliwy.

— Czy pan Jaszowski?

— Przy telefonie.

— Zdarzyło się tak wielkie, niewyjaśnione nieszczęście, że choć pana nie znam... — zaczęła.

— Dobrze. — Głos zabrzmiał mniej ostro, bardziej towarzysko. — Dziś o piątej. Dowidzenia.

Przyszła o piątej i czekała długo, cisnąc w rękę torebkę, w której znajdowały się rzeczy Gozmura, kawałek materji z jego ubrania, notes, krawat, fotografja. Usłyszała na korytarzu szybkie, ciężkie kroki. Serce w niej zabiło. To on!

Wstała na widok wysokiego, tęgiego mężczyzny, o wielkiej, okrągłej głowie, tak krótko ostrzyżonej że włosów prawie znać nie było. Był wygolony, usta miał pełne, szerokie, twarz jak księżyc.

— Pani telefonowała dziś do mnie. Nieszczęście w rodzinie? Proszę, niech pani zechce pójść ze mną.

Niech pani usiądzie. Niech pani odpocznie. Może herbaty? Niech się pani napije, dobrze pani to zrobi.

— Władysławie! — zawołał na służącego — przynieś nam tu herbatę.

Poczem wyszedł, i Anna znowu została sama.

W pokojach, przez które przeszła, i w tym, gdzie poprzednio czekała, był rozmach wygody i komfortu. Stoły wielkie i ciężkie, gościnne fotele jasno obite, kwiaty w wazonach; jakiś obraz symboliczny zajmował całą ścianę.

Słyszała jakieś głosy, telefony, dzwonki. Dom pełny był ruchu.

— Która godzina? — spytał, wchodząc wreszcie, Jaszowski.

— Trzy na szóstą.

— Już trzy na szóstą? Nie może być! Jak czas szybko leci. Nie pije pani herbaty? Proszę, niech pani usiądzie tu, koło mnie.

Położył szeroką dłoń na otomanie, pokazując miejsce, gdzie miała usiąść, i sam tak się zasiadł, że nogi zawisły mu w powietrzu.

— Cytryny pani nie bierze? Proszę. Cóżto się stało?

— Mąż mój wyszedł z domu przed trzema dniami i dotąd nie wrócił.

Jaszowski zamyślił się. Zamyślił się jakby tylko oczami. Stały się bardziej jeszcze szare, w zapatrzeniu znieruchomione.

— On żyje — rzekł. — Ma pani jakie jego rzeczy?

Wyjęła z torebki rzeczy Gozmura. Położył na nich rękę.

— Niedawno odszukałem ojca jednej młodej osoby. Stracili się z oczu podczas rewolucji w Rosji. Ona przyjechała tu, on został w Bolszewji. Myślała, że zginął. Zobaczyłem go na chińskim statku. Właśnie teraz to się sprawdziło. Odnaleźli się. Strasznie gorąco dzisiaj. Niech pani się nie niecierpliwi, że mówię o czem innem. Świadomość moja pracuje.

Drzwi się uchyliły, przez pół otwarte zajrzał jakiś młody człowiek.

— Panie Zygmuncie...

— Nie przeszkadzajcie mi. Proszę do mnie nikogo nie wpuszczać. Przecież prosiłem. Ciągłe pełno interesów!

Znowu się zamyślił.

— Żyje. Średniego wzrostu, szczupły, trochę łyśawy. Czyż to byłby mąż pani? Lat około czterdziestu...

— Ależ nie, zupełnie nie — przerwała.

Zdjęła ją odrazu nieufność. Nic nie wie, nic jej nie powie!

— Mój mąż jest...

— Niech pani nie mówi, jaki jest. Gdy mówię źle, niech pani zaprzeczy, ale niech mi pani nie podpowiada. Ma bardzo długie ręce. Zaniedbane paznokcie.

— Nie! — Jakby opisywał Antoniego.

— Państwo gdzie mieszkają? A więc to jest taka zakazana wieś? Od stacji daleko? A! pani mąż jest człowiek stary. Lat z górą sześćdziesiąt. Wysoki, barczysty, chudy. Tu, za uchem — wskazał na ucho — ma znak, jak ziarno kawy.

— Tak.

Cała zadrżała, olśniona.

— Już go mam. Troszyneczkę zarosły. Troszyneczkę. Nieogolony tego dnia. Duże wąsy. Widzę go. Idzie drogą szeroką, pełną, zdejmując czapkę. Ociera czoło. W kieszeni ma portmonetkę. Ma trochę pie-

niędzy. Zegarek nikłowy, czarny, lekko przetarty, tu, w tem miejscu. — Wyjął zegarek z fałdującej się na brzuchu jasnej kamizelki i pokazał. — Tu przetarty!

— Tak — rzekła.

Opisał dokładnie, bez błędu, ubranie Gozmura, łaskę i jego sztywny chód.

— Chodzi jakby na piętach.

Znowu drzwi się uchyliły, i jakiś inny mężczyzna oznajmił:

— Zygmuncie, pamiętaj, że o pół do siódmej czeka cię minister.

— Czy nie prosiłem, żeby nikt do mnie nie wchodził? Zostawcie mnie przez chwilę w spokoju. Ja teraz bardzo ciężko pracuję!

Odetchnął głęboko, otarł chustką kark, twarz i czoło.

— Ach, jak gorąco! Kościół, duży kościół. Czyż tam w okolicy jest taki kościół? Piękny biały kościół. Pani nie wie, gdzie to może być?

— Biały kościół?

— Tak. Pobielonny. Wielka wieża, jakby koło cmentarza. Nie wie pani? Na pewno!

— Nie wiem.

W miasteczku kościół był inny. Drugiego nie znała w okolicy.

— Duży, biały kościół. Jakby osada. Zdaje mi się, że tam są sklepy. Tam koło kościoła kupował papierosy.

— Zawsze palił swojej roboty.

— W drodze nie mógł ich robić. Kupił papiero-

sy i włożył je do papierošnicy srebrnej z monogramem.

— Tak.

— Dolega mu noga, tu.

— Chyba nie.

— Na pewno! — uczynił ruch ręką, jakby czemś szarpnął. — Na pewno! Nie myślę się. On wyszedł z domu — zaczął mówić silnie, z przekonaniem — po bardzo wielkiej przykrości. Miał wielką przykrość tego wieczora. Miał największą przykrość, jaka kiedykolwiek spotkała go w życiu. Wyszedł z wielkim żalem do pani. I jeszcze do kogoś. Był koło niego człowiek, którego nienawidzi. Ach, jak go strasznie nienawidził! Mąż pani jest bardzo nienawistny. Kryje to w sobie bardzo głęboko. Ach, jaki skryty! Jak trudno wejść w niego! Strasznie skryty. W tej chwili jest w chłopskiej chacie. Bosa baba podaje mu miszkę z siadłem mlekiem. Jest zdrożony. Mówi, że jest pod różnym. Dwoje dzieci. Jedno małe, niewiecej, niż cztery lata, o jasnych włosach. Drugie, chłopiec lat z dziesięć, w parcianych majtkach, przetartych na kolanach, w koszuli. Chata wiejska, przy drodze, ale trochę za wsią. Otwarta stodoła ze zbożem. Tam teraz jest. U nóg leży pies. Duży, płowy pies.

— Neron! — krzyknęła.

— Neron! Pewnie, że Neron. Miał takiego psa? No tak, to jest jego pies. Przestaje widzieć... Mąż pani żyje. Na pewno żyje! Zdrow. Bardzo zmęczony i bardzo przygnębiony. Ale o samobójstwie, ani o niczym złym nie myśli.

— Wróci? — spytała z drzeniem.

— Czy ja wiem! Ma pani fotografię?

— Proszę.

— Tak... ten sam — rzekł.

Wstał i uściśnął jej mocno rękę.

— Przepraszam panią, ale tam mnie znowu wołają. Każdą chwilę poprostu muszę wykradać. Coś okropnego! Na pewno żyje. Jak pani będzie miała jaką wiadomość, proszę mi dać znać. Bardzo proszę.

XIII.

Nazajutrz po powrocie Anny przyjechał pod zachód słońca Kubarski z komisarzem policji Mulikiem. Był Rukiewicz i Barcic.

— Dwóch wywiadowców zatrzymałem u siebie na noc. Nie chciałem państwu przysparzać kłopotu. I tak dosyć jest zamieszania. Oni dopiero jutro będą potrzebni.

Mulik odpasał szablę, zdjął płaszcz i, obciążając mundur, rzekł.

— Dobrze jechaliśmy. Upał zelżał, na powietrzu bardzo przyjemnie. Ale w pociągu duszno.

Mówił powoli, uśmiechając się. Na szerokiej, pozornie dobrodusznej, opalonej jego twarzy nikłoby nie wyczytał przebiegłości, ani sprytu. Oczy były obojętne, nic niewyrażające. Przelotnem spojrzeniem obrzucił gabinet, gdzie go wprowadzono. Pani Zofja prosiła na herbatę.

— Może pani pokazałaby mi przedtem pokój, z którego mąż pani wyszedł. Nie, ja z samą panią — wstrzymał Kubarskiego, chcącego iść razem.

— Niechże mi pani powie, jak to było — rzekł, siadając w pokoju sypialnym i wyjmując notes.

Słuchał, najmniejszym drgnięciem nie zdradzając domysłów. Obejrzał rewolwer, zbadał zawartość pozostawionego w teście szufladzie pugilaresie i zapytał:

- Pani mąż palił?
- Palił.
- Jakie papierosy?
- Papierosy sam robił, gotowych nie kupował.
- Papierosnicę miał?
- Miał.
- Jaką?
- Srebrną z monogramem.
- Nie zostawił jej?
- Nie.
- Czy obok pugilaresu nie używał portmonetki?
- Owszem.
- Portmonetkę zabrał?
- Zabrał.
- Jak wyglądała portmonetka?
- Skórzana, żółta, w kształcie podkowy.
- Taka? — pokazał swoją.
- Prawie.
- Nie wie pani, ile miał w niej pieniędzy?
- Doprawdy, nie wiem.
- Ale coś miał?
- Z pewnością.

— Laski używał?

— Używał.

— Także ją wziął z sobą?

— Tak.

— Z kim ostatnim mąż pani rozmawiał?

— Z państwem Kądzielewskimi, przedtem z panem Barcicem.

— Z tym panem inżynierem?

— Tak.

— Służby dużo jest w domu?

— Służący, którego pan widział, kucharka i człowiek w podwórze, od koni.

— Pan mył się tutaj? — spojrzał na umywalkę.

— Tutaj.

— Nie pamięta pani, czy woda była w miednicy, czy też była zlaną do kubelka?

Przypomniała sobie, że woda nietknięta została w dzbankach.

— A czy pan zawsze mył się rano? Bo to tak człowiek na wsi zachodzi się czasem do wieczora.

— Mój mąż mył się zaraz, gdy wstał.

— Golił się codzień?

— Gdy byliśmy sami, nie, ale teraz, gdy mieliśmy gości, golił się codziennie.

— Brzytwą, czy żyłką?

— Brzytwą.

— Brzytwa jest?

— Nie widziałam.

Otworzył szufladkę od umywalki i znalazł brzytwę.

— A zegarek?

— Zegarek wziął. Miał dwa zegarki. W ostatnich dniach nosił czarny, nikłowy, w srebrnym stłukłemu się szkiełko.

— Wziął z sobą ten nikłowy?

— Tak.

— Zostawił tytuń i gilzy?

— Zostawił.

— Gdy pani tu przyszła, mąż pani spał?

— Spał.

— Chrapał?

— Nie.

— A zazwyczaj, gdy spał, chrapał czy nie? Spał ciężko, czy lekko? Budził się łatwo?

— Sypiał ciężko i chrapał, gdy spał. Tym razem odwrócony był do ściany i nie chrapał wcale.

— Czy zawsze odwracał się do ściany?

— Przeciwnie. Leżał zawsze na prawym boku, do ściany plecami.

— No, to on nie spał, kiedy pani weszła.

— Co pan myśli? Co się stało?

— Myślę, że poszedł.

— Dokąd?

— Tego ja nie wiem.

— Znajdzie go się?

— Zobaczymy. Narazie dziękuję pani.

— Proszę pana, mnie się zdaje, że pies go odnalazł, że trzeba ludzi pytać, czy nie widzieli człowieka z dużym płowym psem.

— Dlaczego pani tak myśli?

— Takie mam przecucie. — Opowiedziała, jak Neron urwał się i uciekł.

Nie chciała mówić, że była u Jaszowskiego. Rukiewicz ją przestrzegał, aby policji informacjami temi nie myliła, i Mulik na pewno wziąłby je za bajkę.

— Może go odnalazł, a może gdzieś w polach go zabili, jako wściekłego, i dlatego nie wrócił.

Zanotował kolor ubrania Gozmura, wziął jego fotografię i wrócił do gabinetu.

— Jeszcze ciemno nie jest, to herbatę może wypilibyśmy później, a teraz niech pan inżynier oprowadzi mnie po ogrodzie. Weźmy płaszcze, bo chłodno.

— I co? — spytał Barcic.

— Jeszcze nic. W którą stronę pobiegł pies? Wyjdźmy za bramę.

Szli polem między ułożonemi snopkami ściętego zboża.

— To jest chłopskie?

— Chłopskie.

— Co za rosa! Tam jest wieś, tam Gwizdów, a droga, jak się jedzie z miasteczka od karczmy, prowadzi do Bukowa?

— Do Bukowa, majątku pana Rukiewicza.

— Pan inżynier u pana Rukiewicza bawi?

— Tak.

Zawrócili ku domowi.

— Z panem inżynierem pan Gozmur ostatnio rozmawiał? — spytał Mulik, przechadzając się po ogrodzie. — Czy może mi pan powiedzieć, jaki był przedmiot rozmowy?

— Omawialiśmy wspólnie projekt kupienia posiadłości pod Warszawą.

— To państwo Gozmurowie mają tyle, aby kupić posiadłość? Pan Kubarski mówił, że oni są zrujnowani.

— Niezupełnie. Coś im zostało. Myśleliśmy o zaciągnięciu pożyczki.

— Od kogo?

— W jakimś banku.

— Pan Gozmur oddawna myślał o kupieniu tej posiadłości?

— Nie. Ja mu ten projekt podałem.

— Pierwszy raz pan inżynier z nim o tem mówił?

— Pierwszy raz. Właściwie nie pierwszy raz. Napomykałem już o tem, mówiłem już o tem z panią Gozmurową.

— Samobójstwa on nie popełnił—rzekł Mulik.— Wypadek także bardzo wątpliwy. Dawno musiał powziąć to postanowienie. Gdy pani weszła do pokoju, udawał, że śpi. Rozmyślał nad tem w ostatniej chwili i z nikim nie chciał już mówić. Nie umył się przed odejściem. Bardzo był zdenerwowany. Wyszedł pewnie nie nad ranem, lecz w nocy, gdy żona zasnęła.

Gdy siedli przy stole, i Antoni po nowe nakrycie wyszedł do kuchni, Mulik wstał.

— Zostawiłem chustkę w płaszczu.

— Poświęcę panu — porwał się Kubarski.

— Dziękuję, trafię pociemku.

— W sieni się świeci — rzekła pani Zofja.

Mulik w sieni obejrzał się i szybko sięgnął do

kieszeni płaszcza Barcica. Wyjął z niej rewolwer, sprawdził, czy nabity, pośpiesznie zanotował numer i kaliber.

— Właśnie mówię, że jeżeli kto, to pan wyjaśni tę zagadkę — rzekł Kubarski, gdy Mulik ukazał się we drzwiach. — Pan Mulik ma sławę europejską.

— Prawda, że niektóre rzeczy mi się udały.

— Pan jest przekonany, że panu Gozmurowi nic się nie stało? — upewniała się pani Zofja.

— Przekonany o niczem nie jestem, ale takich zniknięć jest dużo.

— Co pan mówi! — zawołał Kądzielewski. — Ja o tem nic nie wiem.

— Ludzie z tem się nie wydają. Są rzeczy, o których wie tylko policja. Starszych wychodzi wprawdzie mniej. Zato młodych! — Co tego wychodzi!

— O tem wie się z gazet — rzekł Rukiewicz.

— Nie o wszystkich gazety piszą. Dziewczyny zwłaszcza dużo ucieka. Młode to, po piętnaście, sześćnaście lat. Uciekają bez celu, do Warszawy, do Lwowa, same nie wiedząc, poco? Z dziewczynami naturalnie największe zmartwienie i największy niepokój. Chłopcy zwykle dają sobie radę. Gdybym miał syna, a poszedłby mi z domu, tobym się nie martwił. Dobra jest taka szkoła. Wyrobi się.

— Albo zginie — rzekła pani Zofja

— Zginać też można. Tak, jak gdzie indziej. Wszędzie człowiek może zginąć. To zależy głównie od jego charakteru. Wypadek też wszędzie może się zdarzyć — i na równej drodze.

— Z jakiej sfery są ci młodzi ludzie? — spytał Rukiewicz.

— Z inteligencji. Robotnik, ani chłop nie ucieknie. Teraz przypadkiem odnalazł się syn jednego wysokiego urzędnika. Trzy lata nie dał znać o sobie. Pracował w kopalni. Jak chłopiec ma osiemnaście, dziewiętnaście lat, to już chce być samodzielny. Chce mieć swoje pieniądze, chce pohulać. Kobieta nieraz jest przyczyną.

— Kobieta zawsze w takich razach jest przyczyną — zaśmiał się Kubarski.

— Zawsze nie.

— Ręczę panu, że przynajmniej w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

— Za moich czasów tego nie było — zauważył Rukiewicz.

— Było i za pańskich, tylko mniej, i o tem, co było, pan nie wiedział. Teraz jest więcej, bo te aeroplany, te automobile wprowadziły wszędzie taki ruch. Świat coraz bardziej nęci. A w kraju ciasno. Mało kto przyszłość przed sobą widzi. Kino rozbudza fantazję. Chłopakowi takiemu się zdaje, że wszystko odrazu zdobędzie i nie potrzebuje całego życia czekać na to, czego chce.

— To jednak nie tyczy się ludzi starszych — odezwał się Kądzielewski.

— To też ze starszymi jest gorzej. Pod tem zawsze się kryje jakaś tragedia, przeświadczenie, że jest się ciężarem, że zawadza się dzieciom. Różne rzeczy. Czasami obłąd.

— Bolesław był zupełnie przytomny, miał nawet bardzo przenikliwą inteligencję. Ostatniego wieczora żartował z nami. Pamiętasz? — zwróciła się pani Zofja do męża.

— To on po rozmowie z panem inżynierem rozmawiał z państwem?

— Z nami. Nam ostatnim powiedział dobranoc. Potem zostaliśmy jeszcze z panią Gozmurową. Długośmy rozmawiali.

— I nie przypuszczali państwo niczego?

— Niczego! Był w doskonałym humorze.

Anna nie mówiła nic. Czuła się strasznie wyczerpana.

— Jabym radził, żeby pani się położyła — spojrział na nią Rukiewicz. — Pani przecież czwartą noc nie śpi.

— Kiedy pan komisarz będzie może chciał jeszcze o coś zapytać?

— Nie, ja już nic. Tylko pana Kubarskiego poproszę, żeby ci moi ludzie koniecznie tu już byli o szóstej.

— Niech pan będzie spokojny.

— I bardzo panią proszę, niech pani mi każe zrobić ze czterdzieści takich papierosów, jakie zabrał z sobą pani mąż.

— Antoni przyniesie je do pańskiego pokoju.

— I co pan o tem wszystkim myśli? — zwrócili się wszyscy do niego, sądząc, że coś powie, gdy Anny już nie było w pokoju.

— Ja ciągle trwam przy swoim, że strzelił sobie w łeb — odpowiedział za niego Kubarski.

— Nie — zaprzeczył Mulik.

— Założmy się!

— Cóż się mamy zakładać? Wziął laskę, zegarek, portmonetkę, papieróśnicę. Wyszedł tak, jak wychodzi się na spacer.

— Dlaczegożby miał do siebie strzelać? Co pan opowiada! — zirytowała się pani Zofja.

— A dlaczegoż miał wychodzić? Czy to jest bardziej zrozumiałe? Według mnie sprzykrzyło mu się poprostu żyć. On nawet robił wrażenie bardzo przynębionego.

— Wydaje się panu.

— Mnie rzadko kiedy źle się wydaje, niech mi pani wierzy, rzadko kiedy!

— A może pan inżynierby został — rzekł Mulik, widząc, że Rukiewicz, Barcic i Kubarski zabierają się do odjazdu. — Chciałbym trochę przestudjować charakter pana Gozmura. Jeszczebyśmy z sobą pogadali.

— Niech pan zostanie, każę panu tu posłać — zaprosiła Barcica pani Zofja.

— W takim razie ja też jeszcze zostanę — oświadczył Rukiewicz. — Znam Gozmura lepiej, niż pan Kazimierz. Do rana gadać nie będziemy. Może panu na coś się przydam.

— Ja nic specjalnego nie mam, ale chciałem jeszcze trochę pomówić, dowiedzieć się, jakie pan Gozmur miał przyzwyczajenia, jaki był w zachowaniu.

Przysłano im herbatę, usiedli we trzech i zapalili papierosy. Bryczka z Kubarskim odjeżdżała.

— Chciałem zdać sobie sprawę z jednej rzeczy — zaczął Mulik. — Nie chcę o nią pytać pana Kubarskiego, bo on, jak widzę, państwa Gozmurów znał mało i zanadto jest gadatliwy. Państwo Kądzielewscy znowu krewni. Ale my chyba możemy pomówić szczerze. Czy panowie nie mogą mi powiedzieć, jakie było małżeńskie pożycie państwa Gozmurów.

— Bardzo dobre — odpowiedział Rukiewicz.

— Ja tak przyglądam się tej fotografii — wyjął z kieszeni przywiezioną sobie przez Kubarskiego fotografię Gozmura — i sędzę, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby miał powody zazdrości o żonę. Toć to człowiek stary, a ona kobieta młoda i ładna. Bardzo szykowna! Może poznała kogoś.

— Rozumiem — przerwał Rukiewicz — że pan musi o to zapytać. Śledztwo jest śledztwem. Mogę jednak pana zapewnić, że pożycie państwa Gozmurów było doskonałe. Tu zresztą jest pustka, tu nikt nie bywa.

— Czy pani Gozmurowa nie wyjeżdżała stąd nigdzie?

— Czasem do Warszawy i to bardzo rzadko.

— Ostatni raz była tam na wiosnę — rzekł Barcic.

— Widział ją wtedy pan inżynier?

— Widziałem.

Rukiewicz spojrzał na niego. Nigdy mu o tem nie mówił, Anna nie wspominała także.

— Nie wie pan inżynier, czy pani Gozmurowa nie miała tam jakich znajomości?

— Nie znała, zdaje się, nikogo prócz państwa Kądzielewskich, u których mieszkała.

— Pan inżynier widywał ją u państwa Kądzielewskich?

— Nie. Spotkałem panią Gozmurową w księgarni, gdy kupowała książki.

Był wzburzony, ale panował nad sobą. Nie będąc indagowany, podlegał indagacji. Już musiał powiedzieć rzeczy, które taił. Nie uszło mu uwagi spojrzenie Rukiewicza. Odpowiedzi nieprawdziwych dawać nie chciał, aby nie zaciemniać sprawy, i obawiał się, ażeby Anna, zapytana przez Mulika, nie powiedziała czego innego. Wiedział, że nie zawaha się przed niczem, że wyzna wszystko, gdyby od tego zależało odnalezienie Gozmura. Czuł w tej chwili całe jej poníženie.

— Musi być jakaś przyczyna tego odejścia — mówił Mulik — jeżeli nie zdarzył się wypadek. A w wypadek uwierzyć trudno. Przypuśćmy, że pan Gozmur miał jakieś strapienie, nie mógł spać, może miał głowę nabitą kupnem tej posiadłości, i wyszedł się przejść. Ktoś napadł go i zabił. Jużby to się wykryło. Daleko przecieżyby nie poszedł. Czy byłby mord, czy samobójstwo, czy wypadek, atak apopleksji, sercowy, czy coś podobnego — trupby się znalazł. Najprawdopodobniejsze pozostaje porzucenie domu. Ale jaki powód?

— Czyż to wreszcie nie wszystko jedno? — spytał Rukiewicz.

— Nie wszystko jedno.

— Czy poznanie powodu może panu ułatwić odnalezienie pana Gozmura?

— Może ułatwić.

— Mówmy szczerze. Pan stawia hipotezę...

— Nie, ja nie stawiam takiej hipotezy — przerwał Mulik. — Ja stawiam dopiero hipotezę, że taką hipotezę mogę postawić.

— Pan wie, co chciałem powiedzieć?

— Wiem, że pan Gozmur udał się na spotkanie z kimś, na tem spotkaniu został zabity, i zabójca ciało ukrył.

— Tak. Ale tu nikogo takiego niema w całej okolicy!

— O tem właśnie chciałem od panów się dowiedzieć.

XIV.

W południowym skwarze dwaj wywiadowcy rozgarniali na klęczkach piasek na drodze do Danowa. Na polach bukowskich, pod wznoszonymi stertami, w skąpym ich cieniu, siadali ludzie, jedząc z przyniesionych dwojaków. Zjeżdżały z rżyska ostatnie wozy. Rukiewicz przybył bryczką. Stał z Mulikiem w cieniu przydrożnego drzewa, wypytując, w jaki sposób prowadzone jest poszukiwanie.

— Pan Gozmur wziął z sobą papierosy — o, takie — mówił Mulik. — Wychodząc z Małek, dałem je wywiadowcom, aby zapalili i szukali ustników, gdy papieros im się skończy. Pomysł nie zawiódł. Znajdowaliśmy ustniki i doszliśmy aż tutaj. Mogły to być wprawdzie ustniki dawniejsze, bo pan Gozmur często wychodził z psem na drogę, wychodził jednak zwykle w stronę lasu, a poza Gwizdów nigdy się nie zapuszczał. A właśnie za Gwizdowem znaleźliśmy niedopałek. Potem zaraz drugi. Palił szybko, nerwowo, nie kończąc papierosa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa tylko on znalezione niedopałki rzucał. Chłopi takich papierosów nie palą, pan i pan Barcic palą „Triumfy”, a pan Kubarski „Ergo”.

— I to pan zauważył?

— Wszyscy panowie częstowaliście mnie papierosami.

— Dlaczego pan komisarz skierował się od razu w tę stronę, a nie w stronę lasu?

— Trzeba było jakiś kierunek obrać. Gdybyśmy na tej drodze nic nie znaleźli, poszlibyśmy ku lasowi. I teraz, jeśli tu nie znajdziemy nic, udamy się w drugą stronę.

Jeden z wywiadowców, który podniósł się z kolan i szedł powoli przed siebie, przystanął.

— Jest! — zawołał.

— Jest?! — krzyknęli wszyscy jednocześnie.

— Jest!

Pośpieszyli ku niemu. Trzymał niedopałek, spłaszczony przez koło od wozu, Mulik obejrzał go, po-

równał z papierosami, zabranymi z Małek, i pokazał Rukiewiczowi.

— Niech pan się przyjrzy. Taki sam?

— Taki sam.

— Niema prawie wątpliwości, że poszedł do Danowa — rzekł Mulik.

— A czy rządca pana dziedzica nie pali takich papierosów? — spytał wywiadowca.

— Mój rządca wcale nie pali.

— Idziemy więc do Danowa.

Rukiewicz chciał, aby zjedli w Bukowie obiad, a potem do Danowa końmi jego pojechali, ale Mulik na obiad się nie zgodził. Konie — owszem.

— Więc ja pojedę z wami! — zawołał Rukiewicz. — Nie doczekałbym się was. Pojedziemy od razu tą bryczką, pomieścimy się.

Gdy przejeżdżali koło cmentarza, Mulik spostrzegł pod murami trawę wyleżącą. Kazał przystanąć. Obejrzał uważnie miejsce. Deszcz tu już padał, ale w gęstwinie wybujałych paproci znać było dokładnie, że ktoś tu wypoczywał. Łodygi były połamane, przgniecione do ziemi. Mulik rozgarniał je, macał palcami. Nagle drgnął. Twarz mu się zmieniła, oczy stały się bardziej jeszcze okrągłe, wytężone. Trzymał w ręku zmiętą, zbrukaną, mokrą od wilgoci chustkę do nosa. Rozwinął ją i ujrział monogram: „B. G.”. Wyprostował się, szeroki uśmiech oblał go, jak słońce.

— Patrzcie!

Już byli pewni. Ślad namacalny. Gozmur żył. Je-

den przez drugiego oglądali chustkę, odczytywali monogram.

— Winszuję, panie komisarzu — rzekł Rukiewicz — winszuję!

Promieniał. Mulik w oczach jego wyrastał na geniusza. Powziął do niego zaufanie bezgraniczne. Jakby ślad ptaka odnalazł w powietrzu.

— Pan go znajdzie; jestem przekonany, że pan go znajdzie.

— Sądzę, że tak — skinął głową Mulik.

— Gdy pan go znajdzie — gorączkował się Rukiewicz — trzeba z nim poczynać bardzo delikatnie. Stary jest pyszny, uparty i rozzłoszczony na cały świat. Licho wie, co mu strzeliło do głowy. Niech pan nie wydaje się z tem, że go pan szuka. Niech pan się do niego zbliży poprostu, jakgdyby nic, niech pan o czemś zagada, niech pan go już nie odstępować i mnie natychmiast da znać. Ja już z nim trafię do ładu. A może go nawet dzisiaj razem odnajdziemy.

— No, jedźmy dalej.

W karczmie, na której widniał napis „restauracja“, nikt Gozmura nie widział, ale widziano go w sąsiednim sklepiku spożywczym, gdzie wstąpił po papierosy. Tak przynajmniej zdawało się sklepikarce, gdy Mulik pokazywał jej fotografię Gozmura.

— Był tu taki?

— Był — przypominała sobie. — Antoś! — zawezwała męża.

Przyglądali się fotografii oboje.

— Pamiętasz?

Mąż jej obracał w rękach fotografię, nic nie mówiąc.

— Już wiem! — zawołała — Był taki.

Liczyła dni. Wypadało na dzień wyjścia Gozmura.

— Był taki. Pamiętam, bo zażądał „Damesów“, a takich papierosów my nie trzymamy, i nikt tu po takie nie przychodzi. Nie było, wziął „Płaskie“, kupił jeszcze dwie bułki i pół funta kielbasy. I poszedł. Wyrzłałam za nim. Poszedł tamtędy, drogą koło kościoła.

— Nie pamięta pani — zapytał Mulik — czy płacił z portmonetki, czy z pugilaresu?

— Z portmonetki. Drobnymi płacił.

— Może mi pani powiedzieć, jaka to była portmonetka?

— Bo ja wiem?

— Czy nie taka?

— Może i taka. Bo ja wiem? A kogo to panowie tak szukają. Złodziej to był jaki? Włóczęga?

— Nie — odparł Mulik — ani złodziej, ani włóczęga.

— A co zrobił, że go panowie tak szukają?

— Więc pani mówi, że poszedł tamtędy, drogą koło kościoła?

— Tamtędy, koło kościoła.

Zaszli jeszcze na plebanję. Ksiądz o tem, co stało się, wiedział, ale Gozmura nie znał i nikogo podobnego do niego nie widział. Natomiast we wsi ludzie zauważyli starszego człowieka o kiju, zakurzonego.

jakby z dalekiej drogi. Pokazywali, jak szedł, jak głowę miał pochyloną. Podróżny był jakiś, jak to są tacy — z pana dziad.

Oglądali fotografię, zapewniali, że to on, że na pewno on. To znowu, że nie on. Na fotografii jest z gołą głową, a ten szedł w kaszkiecie. Poznać trudno.

— Niech pan wraca — zwrócił się do Rukiewicza Mulik — i zawiadomi panią Gozmurową, że mąż żyje. My rozejdziemy się i przeszukamy wsie dokoła. Mam nadzieję, że niedługo dowiemy się, gdzie jest.

— Jestem o tem zupełnie przekonany, panie komisarzu.

— Więc dowidzenia!

Poszli.

XV.

Człowiek zginął!

Myśl ta torturowała Barcica, rznąła mu mózg, jak nożem.

Zginął, przepadł — przez niego. Poniżył go przez swoją głupotę, przez swój brak wnikliwości, przez swoją inżynierską prostolinijność i kalkulację. Ludzie nie są kamienie, cegły, ani sztaby żelaza. Brał rzeczy z nadto poprostu. Chcą wyprowadzić się z Małek, muszą znaleźć inny dom, ażeby go znaleźć, muszą się zadłużyć, pomoc jakąś przyjąć. I nadstawił się z temi swojemi głupimi pieniędzmi. Wiedząc, że stosunek jego do Anny może podać w podejrzenie jego

uczynność, brał pod uwagę procenty. Starał się rzecz traktować handlowo i sądził, że w ten sposób wszystko doskonale będzie załatwione. Doskonale załatwił! Handlowo! Gozmur też rzecz pojął poprostu, tylko w handel nie chciał się wdawać. Chcesz kupić ode mnie żonę, masz ją darmo. I poszedł.

Barcic z przerażeniem myślał, że zgubił człowieka, i że jest tak straszliwie głupi i nikczemny. Dotąd szanował siebie, swoją duchową skalę, swój moralny poziom. Teraz doświadczenie powiedziało, że się mylił, że jego skala duchowa i jego poziom moralny nic nie są warte. Gdyby było inaczej, nie postąpiłby, jak ostatni cham. Anna odczuła tę brutalność, gdy bez radości przyjęła jego propozycję i gdy powiedziała, że liczyła raczej na znalezienie dla siebie pracy. Aby pojąć te rzeczy proste, trzeba było aż tego, co się stało.

Zdawał sobie sprawę, że przez chwilę zawisło nad nim podejrzenie o zbrodnię. Podejrzenie nieprawdziwe, ale sprawiedliwe. Nie popełnił zbrodni prymitywnej, przewidzianej kodeksem karnym, nie popełnił jej na ciele, lecz na duszy człowieka. Jak siekiera w nią rąbnął. Teraz dopiero to pojął. Czyż aż gardło trzeba było poderżnąć, aby wiedzieć, że krew popłynęła?

Przez niego człowiek zginął. I w imię czego? W imię tego, że żona jego mu się podobała? Bo tylko tyle. Nie było między nimi ani miłości wielkiej, ani żywiołowej pasji, — niczego, co od nich byłoby silniejsze. Podobała się mu fizycznie, i jednocześnie sym-

patja dla niej w nim rosła, przechodziła w stan, zwany zakochaniem, lecz głowy nie tracił. Prawdą było, że chciał ją kupić. Pomoc ofiarował bezinteresownie, z uczucia przyjaźni, wiedział jednak dobrze, że daje mu to możliwość zatrzymania jej przy sobie, zdobycia jej dla siebie.

I przez to człowiek zginął.

On podobał się jej także, i także miała dla niego sympatię. Lecz tylko tyle. A człowiek zginął.

Gdyby istniało między nimi wielkie uczucie, nie staliby się sobie dziś obcy. Razem podnieśli by ciężar, lub razemby pod nim upadli. Tymczasem on nie wie, jak do niej przemówić, a ona postępuje tak, aby sama z nim nigdy nie zostać. Boją się spojrzeć na św uczucia przy wielkiej męce tamtego człowieka.

Ślad się zatarł. Mulik natrafił jeszcze na jakąś chatę, w której Gozmur jakoby nocował, na jakąś stacyjkę, gdzie jakoby kupował bilet, nie pamiętano dokąd, i od tej chwili już nikt go nie widział. Przeszukano jego strony rodzinne. Nic. Ślad, uważany z początku za bardzo ważny, prawie nieomylny, stawał się przy dalszem rozpatrywaniu nędznie wątplym. Ktoś inny też mógł palić takie papierosy. Mógł dla siebie i Wicka podbierać je Antoni, i Wicek je palił, jadąc do Bukowa. Któż mógł wiedzieć? Najsilniejszy dowód, chustka z monogramem, nie był niezawodny. Annę z początku zupełnie przekonał, lecz później, gdy wieści nie nadchodziły, zauważyła, że pozostałe po Gozmurze chustki z innego były płótna i innych rozmiarów. Monogram też inaczej był wyszyty. Może ta

chustka pozostała jako jedyna z wygubionego już tuzina, a może do kogo innego należała. Niejeden człowiek ma te same litery. Któż mógł wiedzieć?

Mulik ostatecznie zdał raport, że ma się do czynienia z faktem ucieczki, a nie samobójstwa, wypadku lub mordu. Poczem poszukiwań zaprzestał. Fakt zniknięcia Gozmura wprowadzono do statystyki policyjnej, i śledztwo zostało ukończone. Nie można było po całej Polsce szukać, nie wiedzieć jak długo, Gozmura i jego psa. Zadowolono się tem, że znaleziono chustkę do nosa.

Noc parna była i duszna. Barcic w pokoju wytrzymał, nie mógł. Dusił się. Wyszedł do parku i, pomimo niemal materjalnej, rozprażonej jak roztopiony ołów, ciemności, błakał się po alejach. Czuł ciężar udręczonych liści nad głową. Cisza w powietrzu była śmiertelna i zalekła. Nie drgnęła gałązka, nie zabrzęczał komar.

Przeszedł park wszecz i ujrzał światło w oficynie, w mieszkaniu Gomulskiego. Nigdy do Gomulskiego nie chodził, lecz tak w tej chwili samotność mu ciążyła, że, spostrzegłszy nieomknięte drzwi od ganuku, zapukał do jego pokoju. Gomulski siedział w koszuli nad książkami rachunkowymi. Podniósł głowę i przyjrzał się mu pod światło, jakby pytając, co się stało.

— Al pan inżynier.

— Parno — rzekł Barcic.

— Będzie burza — odparł Gomulski.

Podniósł okulary na czoło i wielką chustą wytarł z potu łysinę.

— Ja też spać nie mogę, a okna nie otwieram, bo ćmy. Niechże pan inżynier mi wybaczy, że w takim jestem negliżu.

Nawet obuwia nie miał na nogach, a przez rozpiętą koszulę wyglądała pierś, porośła siwym włosem.

— Chwalić Boga, pszenica zwieziona. Skończyliśmy na sam czas. A cóż tam o Gozmurze, wiadomości żadnych?

— Żadnych.

— Policja, panie inżynierze, nigdy niczego nie znajdzie, ani niczego nie wykryje. Ja nie wierzę ani w policjanta, ani w doktora. Dlatego też mnie nikt w życiu jeszcze nie okradł, ani nigdy nie chorowałem. Najgorzej wdawać się z takimi, co mają z tem wciąż do czynienia. Zawsze człowiek wtedy ściągnie na siebie nieszczęście.

— Nigdy pan nie chorował?

— Nigdy — roześmiał się, ukazując białe, mocne zęby. — Coś tam musiało być przy urodzeniu i coś tam będzie przy śmierci. Inaczej nie. Czasu, panie inżynierze, nie mam. Cóżby się stało, gdybym położył się do łóżka? Wszystkoby stało. Pan Rukiewicz radyby nie dał. Nie wiem, coby robił, gdyby mnie nie było. On myśli, książki czyta, opowiada dawne historie, a ja gospodaruję i na wszystko mam oko. Taki jest między nami podział pracy. Pan Rukiewicz to bardzo mądry i bardzo dobry człowiek, lecz nie do gospodarstwa. Niech mi pan inżynier wierzy.

Łysnęło tak, że cały ogród stanął w świetle. Gomulski zasłonił okno.

— Nigdy do gospodarstwa głowy nie miał. To jest, głowę możeby miał, ale niem się nie zajmował. Zamłodu podróże i kobiety, potem polowania, na starość książki. Są tacy, co zaczynają w odwrotnym porządku. On nie. Zawsze był akuratny. Wszystko w swoim czasie. Dlatego, choć na gospodarstwie się nie znał, majątku nie stracił, a nawet go sobie przysporzył. Znał się na ludziach. Umiał dobierać takich, jakich mu było potrzeba. To jest najważniejsze. Gozmur, jak miarkowałem, na gospodarstwie znał się lepiej, ale na ludziach nie znał się wcale. Dlatego wszystko puścił przez palce.

Podskoczyli na krzesłach od ogłuszającego huku.

— Blisko gdzieś. W ogrodzie trzasło — rzekł Gomulski.

— Co z Gozmurem się stało? jak pan myśli? — spytał Barcic.

— Z Gozmurem? Poszedł na żebry.

— Co też pan mówi?

— Zapewniam pana inżyniera. Coś przecież musiało się z nim stać. Ale burza, niech Bóg broni! Czy aby wszystkie drzwi pozamykane? Przepraszam pana, zaraz wrócę.

— Poszedł na żebry — mówił, usiadłszy zpowrotem naprzeciw Barcica. — Szlachcic polski, panie inżynierze, przy każdej okazji powtarza: „pójdę z kijem, pójdę z torbami”. Choćby mu niczego nie brakowało, to gdy mu przyjdzie najmniejszy weksel płacić,

podatki uiścić, zaraz ma w myśli kij i torbę. Tak się do tej myśli i tego gadania przyzwyczai, że, jak co do czego przyjdzie, to mu nawet nie dziw. Ma zajęcie gotowe! Za moich dawnych lat znałem takiego. Był hrabią. Prawdziwym hrabią. Chodził po dworach. Gdy go zobaczono, dziedzic albo dziedziczka wybiegali i wtykali mu w rękę rubla. Mniej nie brał. Poczęstować go też niczem nie było można — niech Bóg broni. Tylko rubla. Ani się nie przywitał, ani nie pożegnał, ani nie podziękował. Strasznie był hardy. Górmur też. W okolicy on się nie pokaże, żebrze gdzieś dalej. No, bo i w jakim innym celu, pytam pana inżyniera, człowiek w ten sposób wychodziłby z domu?

— Co tak za oknem się świeci? — rzekł nagle Barcic.

Gomulski podniósł roletę.

— Pali się! Jezus Marja! Pali się!!

I jak stał, boso, wyleciał z domu.

— Pali się! Sterty się palą!!

Pożar zwyciężył ciemność nocy. Park i ogród zalały się światłem. Znać było każdy listek, każdy kwiat, żwir przed domem. Jasne słupy ognia buchały w niebo. Od wsi rozległ się gwałtowny, alarmujący dźwięk — to w sztabę żelazną, na ten cel przeznaczoną, walono młotem, zwołując wiejską ochotniczą straż pożarną. Co żyło, porywało się na nogi. Rukiewicz wybiegł przed dom w białiznie, Stanisław za nim z ubraniem. Nadziewał je, stojąc. Barcic i Gomulski biegli w stronę ognia.

— Nie lećcie tak wszyscy! — krzyczał Gomulski,

zatrzymując się w podwórzu. — Zostać przy budynkach! Wyprowadzić bydło i konie do parku! Wiatr może ogień roznieść. Wadulski! — wołał do karbowego — pilnować podwórza!

I biegł boso ku polu, nie zważając, że rani nogi o kamienie.

Burza się przewalała, grzmiało woddali. Sterty zapalały się jedna od drugiej, pole stało w płomieniach. Zdźbła palącej się słomy, snopy wyrzucanych iskieł niosły się i osiadały na drzewach, broniących im przystępu do dworu. Od wsi, siepiąc bezprzerastku konie, nadjeżdżała straż wiejska, kilkunastu ludzi w kaskach, sikawka, bosaki i drabinki. Ludzie ciągnęli ze wszystkich stron. Gomulski dopiero teraz spostrzegł, że Rukiewicz stoi koło niego.

— Zboża nie uratuje się — rzekł. — Żeby tylko na podwórzu słoma się nie zajęła! Chłopcy, nie macie tu czego stać! — wołał. — W podwórze! Płachty mokre rozciągnąć na dachach! A pilnować, żeby kłoni koni nie wyprowadził!

Rukiewicz otoczyli chłopci.

— Ciężką stratę poniósł pan dziedzic.

— Od pioruna.

— To nie od pioruna, panie dziedzicu — rzekł stary chłop w parcianych portkach, przepasanych rzemieennym paskiem, spadających mu na bosc nogi.

— A od czego?

— Podpalone.

— Kto podpalił?

— On.

— Kto?

— On. Z Małek. Gozmur.

— Nie gadajcie byle czego — rzekł drugi, ale z taką miną, jakby wierzył, tylko osądził, że mówić nie trzeba.

— Gadam, co wiem.

— Kto?! — krzyknął Barcic.

Zdawało mu się, że nie dosłyszał.

— Gozmur z Małek, co go policja szuka. Chodzi po wsiach i pali. Od pana dziedzica zaczął.

— Ale co wy mówicie! — zachnął się Rukiewicz. — Niewiadomo nawet, czy pan Gozmur żyje.

— Żyje, panie dziedzicu, żyje.

— Może żyje, ale nie podpala na pewno. Co wam w głowie! Piorun trzasł. Wypadki chodzą po ludziach.

Zawrócił z Barcicem i Gomulskim do podwórza, zostawiając za sobą morze płomieni.

Wśród ryku wyprowadzanego, niechącego opuścić obór bydła, zgiełku ludzi, rozciągających kordon, huczał donośny głos Kubarskiego. Komenderował i rządził, nie zwracając uwagi na przybyłych. Na dachach, z konwiami wody, rozciągając mokre płachty, siedziała służba dworska i chłopci ze wsi. Iskry dolaływały wciąż.

— Wszystko pójdzie z dymem — rzekł Rukiewicz.

— Nie pójdzie! — odparł stanowczo Gomulski.

— Na dużo ma sąsiad budynki zaasekurowane? — doskoczył do nich Kubarski.

— Wie pan, że nawet nie pamiętam.

— Drzwi w domu pozamykałem, bo gdy przyjechałem, wszystko było pootwierane. Żywego ducha! Rozkradliby sąsiadowi wszystko przy tej okazji.

— Niema tu znowu takich złodziei.

— Niech mi sąsiad wierzy, że są. Ja wiem, co mówię! A ty, psiakrew, czego się wleciesz z wodą, jak krowa na ocieleniu? — krzyknął na parobka, uginającego się pod brzemieniem dwóch wiader wody. — Pośpiesz się, żebym ci kości nie porachował, gamoniu jeden! Pali się, a on mi tu będzie palcem w nosie dłubał! Patrzyć nie mogę na takie ślamazarstwo — zwrócił się do Rukiewicza. — Za dobry jesteś sąsiad dla ludzi.

— Niekażdy z panem może się porównać — uśmiechnął się nieoczekiwanie Rukiewicz. — Pańskiego temperamentu i beczką wodyby nie ugasił.

— Co prawda, to prawda. Ja już taki jestem! Masz sąsiad klucz od drzwi wchodowych. Wszystko pozamykałem własną ręką. Ale się pali!

— Byle budynkom nic się nie stało.

— Budynki masz sąsiad zaasekurowane...

Umilkł, ujrzawszy przed sobą Annę i Kądzielewskiego. Zjawili się tak, że ich nikt nie spostrzegł, jakby wyrosli z pod ziemi.

Z wnętrza stert dobywały się nowe słupy ognia. Dym płynął, przeświecany iskrami. Anna, Kądzielewski, Gomulski, Kubarski, Rukiewicz, Barcic patrzyli, milcząc. Pożarna jasność, w czernie nocy zachodząca daleko, przeświecłała ich ostro rysujące się sylwety, jakby utkane z promieni. Nagle Anna zbliżyła się do

Barcica. Poczuł ramię jej wzdłuż swojego, gorący uścisk ręki. Chciał rękę jej przytrzymać, ale już się odsunęła. Ucisnęła mu rękę i odwróciła głowę. Od zniknięcia Gozmura podniecona i rozgorączkowana. oczy jeszcze bardziej miała rozgorzałe, a na policzkach chorobliwe wypieki.

Ogień zmniejszał się, gasł. Na szerniałych rżyskach, nad tlejącymi kupami słomy posiadali chłopci. aby strażować resztę nocy i nie dać pożarowi wszcząć się na nowo. Nadchodziły kobiety, niektóre z drobnymi dziećmi, kolebiąc je w ramionach.

— Gozmur, nie kto inny, ino on — podawano sobie z ust do ust.

— Nie bajcie byle czego.

— A kto inny, kiejś taki mądry?

— Piorun.

— A ino! Piorun!

— Złość miał na Rukiewicza, czy co, żeby mu zboże palił?

— On taką złość nosi w sobie, że ją zrzuci, nie patrząc na kogo. Na Rukiewicza ją zrzuci, albo na mnie, albo na ciebie.

— Poczekajcie, pokaże wam się niejeden raz.

— Skąd on się tu wziął?

— Ze świata przyszedł i w świat poszedł. Takie jest jego pomyślenie. Chodzi z jednego miejsca w drugie, nigdzie długo nie zagrzeje. Chodzi i nieszczęścia na ludzi ciska, jako te pioruny. Policja go szuka, a on tu jest. On nie z takich, nad którymi policja ma siłę.

— Prawdę gadacie, on tu jest.

— Widzicie!

— Jest! Koło chałup dziś w nocy chodził.

— Prawda. Dzieci mi w nocy krzyczały.

— Nie miały ta krzyczeć!

— Co na takiego poredzi?

Tak gadali do rana.

XVI.

Jaszowski rad przestawał z tymi, o których mówiono i których nazwiska pojawiały się w druku, przynosili bowiem z sobą smugę wielkiego życia, atmosferę toczących się spraw publicznych, co nęciło i fascynowało jego naturę. Lubił słońce, morze, kwiaty, teatr i ludzi świetnych. Dziś zebrał się u niego świat najróżniejszy. Byli też artyści, literaci i politycy. Barcica wprowadził Zuborzycki. Gospodarz niktogo nie przedstawiał, ci, którzy się nie znali, radzili sobie sami.

— Któż tu jest? — Zuborzycki nałożył binokle. Witał się już dookoła. Pociągnął Barcica tam, gdzie gwar był największy, i skupiły się kobiety.

— Panie Zygmuncie, pan Barcic.

— A jakże mi przyjemnie! Pan podobno prosto z Paryża?

— Niezupełnie, już dosyć dawno jestem w Polsce.

Zuborzycki, uśmiechnięty łaskawie, pośpieszył

do kłaniającego się mu zdaleka Skrzyckiego, koło którego też uczyniło się małe kółko.

— Siadaj. Jasiu, między nami.

— Usiadłbym, lecz z pewnością mówicie o pięknej Helenie.

Aktualnością literacką były szkice Skrzyckiego o Troi, podpalone nowoczesną sensacją, za co rzucił się na niego erudyta, klasyk Chomentowski.

— Nie bój się, w tem gronie nikt tego nie czytał.

— A wiesz, że Chomentowski jest tutaj — rzekł Zuborzycki. — Raczy się jakimś napojem w tamtym pokoju. Spozrzegłem go, wchodząc.

— A jakże, widziałem go. Wyobraź sobie, że mi się nie kłania. Tak się o piękną Helenę obraził. Syczy z furji i ma taką minę, jakby mnie chciał przywiązać do ogona szkapy dorożkarskiej i wlec, jak Achilles Hektora, przez całą Marszałkowską.

— E, zdaje ci się! — roześmiał się Zuborzycki. — Ty syczysz z furji, udając, że się śmiesz, a on śmieje się, udając, że wpada w furję. Ja znam się na literaturze.

Witarski, łysy olbrzym, z siwą, szeroką brodą, tłumaczył Lubinieckiemu, na czym polegają nadprzyrodzone właściwości Jaszowskiego. Lubiniecki przymrużył oczy, jakby wpatrywał się w daleki przedmiot.

— Niema właściwości nadprzyrodzonych, są tylko właściwości niedostatecznie przez naukę zbadane i określone.

— Mnie osobiście — odparł Witarski — opowiedział dokładnie całą podróż, jaką odbyłem z Irkucka do Warszawy.

— To co innego. Ja pytam, czy pan widział fakt spostrzeżenia rzeczy materialnej, dla wzroku ukrytej, przeczytania na odległość jakiegoś napisu, jakiegoś zdania w zamkniętej książce.

— Wszyscy wiedzą, jak znalazł zagubiony klejnot pani Zabrzeskiej, tej, która tam siedzi. Widzi pan ją? Tej właśnie.

Wskazał trzydziestokilkuletnią blondynkę w czarnej, dekolowanej sukni, rozmawiającą z pięćdziesięcioletnim mężczyzną, ale bez jednego jeszcze siwego włosa, z lśniącą, jak jedwab czarną, kozią bródką.

— Hrabia Chwalibóg Kołoborski — objaśnił. — Bardzo ciekawa osobistość. Z dawnej rosyjskiej służby dyplomatycznej. Mam mu dużo do zawdzięczenia. Przed dwudziestu pięciu laty, zaczynał wtedy swą karierę dyplomatyczną, postarał się o skrócenie mego pobytu na Syberji.

Zabrzeska i Kołoborski mówili z sobą, nie wiedząc czemu, po angielsku, o wyższości Hindusów nad Europejczykami — potem o zebraniem tutaj towarzystwie.

— ... dziecinnie prosty i naiwny — jak wiedeński walc... — usłyszał Jaszowski słowa Zabrzeskiej, przechodząc przez salon.

— To o mnie, pani?

— Uspokój się, nie o tobie, o Chomentowskim — odparł Kołoborski.

— O Chomentowskim! Też porównanie! On i walc! No, niech się pani przyzna, o mnie — prawda?

— Jeżelibym pana porównywała do tańca, to już chyba do tego, który tańczono przed Dionizosem.

— Ha! Ha! Ha! I to od pani takie rzeczy słyszę! Taka spokojna, zrównoważona, łagodna, a takie ziółko! Proszę mi dać rączkę do pocałowania. Więc ja — to Dionizos?

— Dionizos łączył niebo z ziemią.

— Wykpiła się. Ha! Ha! Ha! To niby o tem pani myślała? Niech pani wierzy, niesłusznie mnie obgadują. Tęsknię do spartańskiego życia.

— Ty?

— Ja. Tylko, widzisz, jest różnica między Spartą a nudą. Znasz Witarskiego?

— Oczywiście.

— Więc wiesz, jaki jest. Pani go nie zna? Zaczny, pocziwy, głęboki, sybirak, chodzi za mną i prawi: powinienes żyć życiem twardem, prostem, pokonywać materję, wyzwalać ducha — dopiero z ciebie coś będzie. Boleje nade mną, że sypiam na łóżku, nie na tapczanie. Każe mi książki czytać i rozmyślać. Dobrze mu tak gadać, a sam uciekał z Syberji.

— Niech go pan nie słucha.

— Niech pani będzie spokojna, nie będzie go słuchał — rzekł Kołoborski.

— Zauważyła pani tego młodego paryskiego inżyniera, pana Barcica? — zapytał Jaszowski.

— Nie.

— Zaraz go pani przedstawię. Wyobraźcie sobie, co za tragedia. Zakochał się na śmierć w żonie jednego starego obywatela. Jakżeż on się nazywa? Dali-bóg zapomniałem! Gro... Go...

— No, wszystko jedno — przerwał Kołoborski.

— Naturalnie, że wszystko jedno. Zakochał się na śmierć, i wyobraźcie sobie, ten starzec poszedł w świat.

— Dokąd?

— Właśnie, że nikt nie wie. Nie dał znaku o sobie.

— Może zabił się?

— Nie zabił się, żyje.

— Nie odnalazłeś go?

— Nie. A bardzobym pragnął, żeby poprostu tej kobiecie nie pozwolić się męczyć. Ani mężatka, ani wdowa. Stary był zły, zemścił się. Okropny dziad. Zrobił na złość. A tych dwoje męczy się i gryzie, i sumienie ich zabija. Chodźcie do stołowego pokoju. Pamiętaj trochę o pani.

— Przemiły człowiek i niesłychanie dobry — rzekł Kołoborski — ale wszystko o wszystkich opowie.

— Wie pan, co mnie zdumiewa? On ma ogromną intuicję, a zdaje się, że zupełnie nie zna się na ludziach.

— Ma pani rację. Każdy go oszuka. I taka dziwna rzecz: niech pani da mu kawałek materji z czyjegoś ubrania, a określi doskonale człowieka, który je nosił, jego charakter i temperament, gdy jednak tego

samego człowieka zobaczy, nic o nim nie będzie wiedział. Każdy jest zacny, szlachetny, szczery, poczywy.

Barcic w pewnej chwili pozostał sam. Rozejrzał się po salonie. Wrażenie egzotyizmu. Nikogo, ktoby nie był mu obcy; nikogo, ktoby przypominał ludzi z Małek, Bukowa, kolegów i podwładnych biurowych, osoby spotykane w Warszawie. Mężczyźni pewni siebie, jeszcze pewniejsze kobiety. Indywidualności zarysowane ostro, wyraźne, jak bransolety, błyszczące, jak jedwabne pończochy. Skrzycki, arogancki i przymilny, drwiący i melancholijny, śliski jak węgorz. Chomentowski kanciasty, niezdarny i sarkastyczny. Chwalibóg Kołoborski, dyndający wiedzą wschodnią, jak orderem przy fraku, grzeczny i pogardliwy. Zabrzeńska pastelowa, w półtonach, rozświetlająca się w nagłym, przeszywającym wejrzeniu jasno - niebieskich oczów. Pod migoczącą złotem frendzlami lampą, ustawioną za kanapą na wysokim, marmurowym postumencie, Romana Ślaska z odrzuconą wtył uhenowaną głową, ustami, jakby umaczanymi w krwi, w sukni obcisłej, mieniającej się jak łuska, groteskowo tragiczna, jakby z epoki Przybyszewskiego, skupiła koło siebie polityczną część salonu. Literatura już od niej uciekła.

Mężowie byli bez żon, żony bez mężów.

Gwar brzęczał skandaliczną plotką, polityką, modą, sportem, wybuchał rakietami śmiechu. Śmiech inny, rubaszny, wyrrywający się z podniesionych głosów, dobiegał z pokoju, gdzie palono i gdzie ustawio-

ny był butef. Tam Ola Wielska, napół omdlała od dymu, zaciagała się papierosem, tam radny Kolatowicz, pochłaniając jedną kanapkę po drugiej, sypał anegdotami, a redaktor Rojewski opowiadał o polowaniu na dziki.

Barcic był oszołomiony. Ekscytujący nastrój wytrącał go z równowagi. Nie rozumiał, jak można tu osiągnąć najmniejszy stopień skupienia, nie wierzył w jasnowidztwo Jaszowskiego. Nie wierzył, nim tu przyszedł. Przyszedł, bo Anna od kilku dni nadaremnie do Jaszowskiego telefonowała, chciał więc oświadczyć prosić go o audjencję i zarazem zdać sobie z niego sprawę, Jaszowski od pierwszego słowa przypominał sobie całą rzecz, zamiast jednak naznaczyć spotkanie Annie, jak o to prosił Barcic, jemu przyjąć kazał nazajutrz wieczorem.

Gdy Barcic wychodził, Kołoborski, choć dopiero była wczesna jesień, otulał troskliwie futrem Zabrzeńską. Ukłonili się sobie sztywno.

Na zupełnie pustej ulicy minął Chomentowski. Erudyta trzymał laskę pod pachą i maszerował, gwizdząc.

Było już pusto, a salon kotłował się jeszcze, jeszcze drżał i dyszał obecnością ludzkiego rojowiska. Jaszowski otworzył naocież drzwi na balkon. Roztoczył się daleko widok na Wisłę. Żarzyła się światłami. Był wyczerpany. Ludzie nie męczyli go wówczas, gdy był między nimi, lecz gdy odeszli. Męczył go nastrój, który po nich zostawał. Słowa, z których się

się śmiał, nieubrane w gesty, nieopromienione spojrzeniem, stawały się jak zgaszone robaczki świętojańskie, obsiadające mu mózg czarną, ruchomą masą. Kłębiły się lepkie, cyniczne uśmiechy. Wyglądzone farbą, rozmarszczone, jak ulepione z wosku, o trupim połysku twarze kobiet. Uhennowane włosy, wyszlifowane, różowe paznokcie. Podpuchłe powieki mężczyzn. Siłą woli odganiał te widziadła, ciszył w sobie ten jarmark uczuć, tanich i jaskrawych, jak chusty i wstażki, rozłożone na straganach.

Patrzył na Wisłę. Położyłby się na trawie i popłynął nią, aby nic nie widzieć prócz wody, gwiazd i powietrza. I wiedział, że, nim świtby zabłysnął, wróciłby do miasta i zabłądził do jakiegoś dancingu. Natura kontemplacyjna, ciemżona w nim była przez drugą, zmysłową i żadną użycia. Nie mógł między nimi stworzyć harmonji. Raz jedna, raz druga panowała niepodzielnie.

„Co ty robisz z sobą, Jaszowski, co ty z sobą robisz!”

Krzyk ten rozsadzał mu piersi, gdy zostawał sam. Masz wielki dar i co z nim robisz? Stroisz się w niego, jak Kołoborski w wiedzę wschodnią, jak Śląska w świecidła. Nie umiesz odpędzić tych, co przychodzą do ciebie, aby dowiedzieć się, co znajduje się w zamkniętej szufladzie, w zapieczętowanej kopercie, nie umiesz odpędzić tych, co chcą mieć jedną sensację, jeden dreszcz więcej.

Są pracownicy w winnicy pańskiej, co wciąż świadczą o istnieniu nieba, przebóstwiając materjał,

wychodzący z pod młota, huczącego w ludzkich kuźniach. Czy trzeba wyrzec się ziemi, żeby pracownikiem takim zostać? Nie potrzeba. Człowiek żyje pełnią natury swojej, gdy żyje religią, sztuką i chlebem.

Harmonji brak ci — nie wyrzeczenia. Brak ci jej, jak całemu społeczeństwu, co w ścianach swoich czyni wyłomy i dziurami świeci. I wiatr przez te dziury wieje.

Oby być, jak Wisła, co dźwiga łódź, tratwę i statek, a nigdy w swoich głębiach nie jest zakłócona. Statek dźwiga i niebo w sobie odbija. Jest życiem pełnem.

Powrócił do salonu.

*Służący zagaszył już światła — paliła się tylko jedna lampa. Dywan odgięty, fotele i krzesła rozstawione, poduszki na kanapach rozrzucone, wytłoczone od opartych o nie ramion. Ludzie odeszli, a zostawili siebie. Myśli ich jeszcze tu zasypiały, jak nietoperze.

Zgasił ostatnią lampę i przeszedł do swego pokoju. Znowu był rozdrażniony. Zły był, że opowiedział o Barcicu i Gozmurowej. Przez wylewność towarzyską zrobił plotkę. Szczęściem, Kołoborski i Zabrzeska są dyskretni. Gdyby powiedział Skrzyckiemu, rozniosłoby się po całym mieście. Skąd wiedział, że tak jest z Barcicem i Gozmurową? Zamyślił się. Przypomnił sobie, że mu to do głowy przyszło dopiero wtedy, gdy zaczął o nich mówić. Zawsze tak wypowiadał obrazy jednocześnie, gdy mu przez oczy płynęły.

XVII.

— Przyjechała do Warszawy Weronika Morawiec, aby poznać się ze mną — powitał Jaszowski Barcica. — Zdaje mi się, że ma silny dar jasnowidzenia. Poprosiłem ją na dziś wieczór. Może powie coś ciekawego. Choć ja się nie myślę. Gozmur żyje. Ma pan coś jego?

Wziął do ręki kawałek materji z ubrania Gozmura.

— Widzę go — rzekł. — Siedzi przy stole. Stół, biały obrus. Nabiera w tej chwili z półmiska. Jakaś stara baba przy nim w czarnym czepku. Czarny czeppek koronkowy na samym czubku głowy. Tak, jakby z sobą dawno się znali. Kredens, krzesła wysokie, umeblowanie zwyczajne, jakie bywa w średnich domach.

— Wieś, czy miasto?

— Chyba wieś. Dużo drzew. Nie, raczej jakaś osada. Może miasteczko. Dom, gdzie on jest, stoi na uboczu, dalej domy murowane, z cegły.

— No, to miasteczko.

— Chyba miasteczko — zastanowił się.

— Daleko?

— Daleko. Nie w okolicach Warszawy w każdym razie.

— Gozmura pan już nie widzi?

— Widzę. Odsuwa talerz, zapala papierosa.

— Można notować?

— Niech pan notuje. Zapala papierosa. Ta stara dama pali także.

— To może pani tego domu?

— Nie wiem. Szkaradna jakaś baba. Surowa, z marsem. Tak, to jest pani tego domu.

Zadzwoił telefon, Jaszowski porwał się.

— Właśnie pani Morawiec telefonowała. Zaraz tu będzie. Ja jakoś dzisiaj źle widzę. Tyle mam kłopotów, że nie mogę od nich się oderwać. Więcej jestem tu, z wami, niż gdzie indziej.

— Jak pan widzi, jeżeli można o to zapytać? Czy materialnie, czy też jest w panu jakaś udoskonalona forma przeczucia?

— Zwyczajnie widzę. Raz lepiej, raz gorzej, ale zwyczajnie. Pan chciałby wiedzieć, czy widzę jakiś przedmiot, czy, że wiem, jakim jest bez widzenia go? Ja widzę. Tych, którzy widzą, jest coraz więcej. Widzi się jednak różnie. Mam znajomego cudzoziemca, który napół zasypia, kreśli machinalnie jakieś rysunki, zygzaki, pisze jakieś zdania, poczem to tłumaczy. Czuje też w sobie fizyczne cierpienia człowieka, o którym mówi. Inny widzi doskonale najskrytsze tajemnice, a nie dostrzeże nic materialnego. Bywa i odwrotnie. Ja byłem bardzo młody, gdy zacząłem spostrzegać przedmioty, których inni nie widzieli. Myślałem, że jestem chory na oczy. Chodziłem do okulisty. Kazał mi przebywać w ciemnym pokoju i przepisał okulary. Nie pomagało. Sądzone, że oślepnę. Aż spotkałem człowieka, który wiedział, co to jest. Okulary zdjąłem. Pan je także kiedyś zdejmie!

Ale to nieprawda, abym ja tylko widział rzeczy materialne — wydał wargi. Są tacy, którzy mi zarzucają, że nie znam się na ludziach, że w każdym dostrzegam coś dobrego, co w nim nie istnieje. A to nieprawda! To fałsz! — Zaperzył się i uderzył dłonią w otomanę. — Oni nie znają się na ludziach, nie ja! Dusza każdego człowieka, różnemi drogami, dąży do Boga. Tęskni do Boga — rozumie pan? Musi połączyć się z Bogiem. A?! To, co w niej jest złego, to jest zbroczeniem, chorobą, nieszczęściem, przypadkiem, a co dobre, jej istotą. Tę istotę ja widzę i dlatego tak o ludziach mówię, dlatego mam taki do nich stosunek. Rozumie mnie pan? A?! Wy widzicie zło, naleciałość, to jest rzecz zewnętrzna, łatwo dostrzegalna. Ja także ją widzę, i gdy czuję koło siebie złodzieja, zapnę surdut. Lecz wiem, że w tym złodzieju jest także coś innego, ważniejszego od tego, że kradnie, coś wiecznego — rozumie pan?

Rozległ się ostry dźwięk dzwonka i jazgot pokojowych psiaków. Jaszowski znowu się zerwał i wybiegł do przedpokoju.

— A! witam panią. Czekamy! Pani Morawiec — prawda? Wreszcie poznajemy się. Pani umyślnie dla mnie przyjechała do Warszawy! Przepraszam, że u pani nie byłem i że dopiero teraz mogłem panią poprosić. Nie ma pani wyobrażenia, jak jestem zajęty. Proszę! Proszę! Zobaczy pani kogoś u mnie. Bardzo ciekawa sprawa!

Weronika Morawiec czyniła wrażenie osoby prostej, Ubrana niemodnie, w dużym kapeluszu z aksa-

mitną na przodzie kokardą, w żółtych nicianych rękawiczkach, sukni po kostki. W wieku średnim, nieładna, uśmiech miała miły, ożywiający szeroką twarz o bardzo świeżej cerze. Duże, czarne, głęboko osadzone oczy. Poruszała się niezgrabnie, nie umiała zacząć rozmowy. Jaszowski przedstawił Barcica.

— Chciałem, żeby pan Barcic panią poznał; z domu, w którym przebywał, wyszedł przed trzema miesiącami człowiek i dotychczas niema o nim wieści. Może pani coś o nim powie.

— Jak mu na imię? — spytała.

— Bolesław.

— Kiedy urodzony?

Barcic tak już wszystko o Gozmurze wiedział, że choć na pytanie to nie był przygotowany, podał dzień i rok. Przed tygodniem mówiono u Kądzielewskich o rocznicy urodzin Gozmura.

— Czy pani chce wziąć do ręki jakiś jego przedmiot? — zapytał.

— Nie — odparła.

— Ona ma inną, niż ja, metodę — szepnął mu do ucha Jaszowski.

Weronika zakryła oczy i siedziała bez ruchu dość długo.

— Są tacy, którzy mówią, że on nie żyje. Nie wierzcie im. — Widziałam go. Widziałam nasamprzaw, jako trupa, ukrytego w gęstwinie, z raną w sercu od kuli — a potem widziałam go błądzącego po nocy w łachmanach, z ogniem w ręku. Poznałam jednak, że to są ludzkie myśli o nim. Musiałam prze-

drzeć się przez te zwały obcych myśli, z trudem musiałam się przedrzeć. Wtedy ujrzałam jego samego. To już człowiek stary, skamieniały ze starości i z gniewu. On już do was nie wróci. Nie myśli o was, nic wśród was nie zostawił, co by mu kazało o was myśleć. Do nikogo z pośród was nie tęskni, jest bardzo zawzięty, bo jego pycha była upokorzona.

— Tak — potwierdził Jaszowski.

— Gdy kto z was przed oczami mu stanie, gdy kogo z was mimowoli sobie wyobrazi, ciska w niego myślą, jak kamieniem, jak w psa, żeby odszedł. Burczy, spluwa. Przykro jest z nim się połączyć, taka w nim jest złość. Gdy teraz z nim się połączyłam, uczułam złość w sobie.

— Gdzie on jest? — spytał Barcic.

Uczyniła ten sam ruch zasłonięcia oczów i chwyciła w usta powietrze, jakby piła ze szklanki.

Zboku głęboko zasiadł się Jaszowski. Barcic naprzeciw, śledząc każdy jej gest. Zaczynał wierzyć, że kobieta ta widzi. Zaczynał wierzyć, nim dała mu tego przekonywający dowód.

Opisała bardzo dokładnie wygląd Gozmura, kolor ubrania, w którym opuścił dom, jego łaskę, chód.

— Złości się, bo chustkę zgubił, jedyną, którą wziął z sobą.

— Ach! — rzekł Barcic.

Wielka elektryczna lampa, przysłonięta zielonym abażurem, oświecała pokój. Jaszowski nie zrywał się na dzwonienie telefonu. Odgłos czyichś kroków nie zdołał zmącić ciszy.

— Trzy czarne krety — trzech ludzie. Szukają w ziemi, rozgarniają piasek. Czego oni tak szukają? Idą za nim, węszą. Idą dobrym śladem, zupełnie dobrym. Przesunęli się tuż koło niego, lecz go nie zobaczyli. Ślad im zginął.

— Gdzie on jest teraz? — spytał powtórnie Barcic.

— Wiejski dom, dwór. Na wsi jest, w wiejskim dworze.

— Nie w miasteczku? Tam są czerwone, murywane budynki — rzekł Jaszowski.

— Zabudowania dworskie. Wielki śpichrz, wyglądający, jak kamienica. Dom dla służby z czerwonej cegły, pokryty dachówką. To są dworskie zabudowania.

— Ma pani rację — skinął głową Jaszowski — ja też tak to teraz widzę.

— Przyszedł tam, jak człowiek nieszczęśliwy, uciekający od nieszczęścia. Tam go poznali, dostał kąpiel i strawę. Jest jakby na rezydencji.

— U tej szkaradnej baby? — spytał Jaszowski.

— Koło niego jest jakaś stara kobieta. Dlaczego pan mówi, że szkaradna?

— Jakaś zła, obrzydliwa baba.

— Ona tylko tak ostro wygląda. Jest mu życzliwa. Niech pan w to wejrzy lepiej — zobaczy pan. Znała go bardzo dawno, w młodości. Nie widzieli się odtąd. Przesłonięci byli czarną, zimną chmurą. Pamiętali jednak o sobie. Czerwona róża. To wspomnienie o niej tak w nim rozkwitło, jak czerwona róża.

Owiał ją zapach tego kwiatu, gdy go zobaczyła. Szedł przed jej dom o kiju, zakurzony, zdrożony, z psem. Pies płakał. Zwierzęta płaczą, często zwierzęta płaczą. Szedł potulny. Zły pies, a można go było obić bezkarnie. Dałby się obić, skopać, byle ich nie wypędzono. Drżał na całej skórze. Błagał, aby ich przyjęto. Męczył się, że tego błagania wypowiedzieć nie może. Ta pani... jak jej na imię? Na jot zaczyna się jej imię, na jot... Ta pani podniosła ręce do głowy, ot tak. O mało nie upadła. Oparła się, aby nie upaść. On stoi przed nią. Nie mówi nic. Zdjął czapkę i stoi. Nie mówi nic, tylko patrzy. Oczy ma zakrwawione, bolesne. Pies ją liże po rękach. Ona nie jest zła, tylko bardzo surowa i skąpa. Też w życiu stwardniała, jeszcze bardziej, niż on. Wysoka, chuda. Włosy białe pod czarnym koronkowym czepeczkiem. Czarno ubrana.

— Tak — potwierdził Jaszowski.

— Jest właścicielką tej wsi. Gospodaruje sama. Boją się jej wszyscy. Bardzo w sobie harda, pyszna. O tak... tak... Za nią wiele kwiatów poschniętych, połamanych. Nagie łodygi. Od tych łodyg taka twardość poszła na nią i takie skąpstwo. Za swoich młodych lat cała była w ognjach, w pożądaniach. Dziś nikomu tego samego nie wybaczy. Żadnej z tych dworskich dziewczyn. W zimną noc, na głód, na poniewierkę wypędziłaby bez litości. Bardzo bogata, ale, choć skąpa, bogactwa nie kocha i radości z niego nie ma.

— Nie zna pan takiej kobiety z jego otoczenia? — zapytał Jaszowski Barcica.

— Nie.

— Może zna pani Gozmurowa?

Weronika wstrząsnęła przecząco głową.

— On jest ukryty dobrze. Niczyja myśl koło tego domu się nie oplątuje. Tam wchodzi się prosto. Waszych myśli tam niema. Wy staliście się mu obojętni. I pan, i żona. Gdy odchodził, gniew w nim aż kipiał — teraz w nim sam lód. Gdy ktoś z tych ludzi, których opuścił, zarysuje się przed nim, zżyma się i psem szczuje to widziadło. „Weź go! — mruczy — weź go!”

— Ale gdzie on jest? — dopytywał Barcic.

— Ja geograficznie określić tego panu nie potrafię.

Jaszowski zgasił zieloną lampę, przekręcił guzik, i białe światło żyrandola uczyniło pokój jasnym, jak dzień. Chciał mówić już o czemś innym. Weronika jednak pozostała przy Gozmurze.

— Ten dom, w którym teraz się znajduje, innym jest, niż ten, z którego wyszedł. Woli ten dom. Tamtego nie lubił.

Przysłoniła oczy.

— Zupełnie inny dom. Niema w nim takiego ucisku dawnych spraw. W tamtym, który opuścił, było mu ciężko i źle. Nie rozumiał prawdziwego powodu. Powód, dla którego zdawało mu się, że dom ten opuszcza, nie był istotnym powodem. Przepraszam pana, że tego w panu dotknęłam.

Wstrząsnęła się i jęknęła jak z bólu.

— Zdawało się mu, gdy odchodził, że musi opuścić raz na zawsze ludzi, którzy z nim byli, a on mu-

siał opuścić dom. Gdyby to, co przeżył, spotkało go w innym domu, toby został, toby inaczej rzeczy te rozstrzygnął. A ten dawny dom, gdyby nawet wszystko inaczej się toczyło, byłby też opuścił. Myślał, że od ludzi ucieka, a od domu uciekł. Uciekł od tych, którzy tam umarli.

Po Barcicu przebiegł dreszcz. Nie był zdolny przemówić słowa, dech zamierał mu w piersiach.

— W tym domu umarł człowiek taki jak on. Tak samo stary. Widzę go z raną na sercu. On kazał mu iść — ten duch — on nim trząś i nie pozwolił pozostać pod jednym z sobą dachem. Ścianami go cisnął i wyganiał. Ten, który odszedł, obecnością swoją przed tym zmarłym piekło otwierał. Ten zmarły wszystko wiedział. Patrzeć nie mógł, bo męka życia do niego wracała, bo widział siebie, jak umierał...

— Niech pani przestanie! Niech pani nie mówi już nic! — krzyknął Barcic.

Otworzyła oczy, zbudzona, oślepiąca przez światło, mrugając powiekami.

— Czy powiedziałaś coś złego, coś przykrego?

— Niech pani już nie mówi — ujął ją za rękę Jaszowski. — Niech pani się rozejrzy. Niech pani spojrz na te kwiaty.

Wzruszony był bardzo. Zbliżył się do Barcica i silnie go uściśnął.

— No, nic, duszko moja, strząśnij to pan z siebie. Napijcie się herbaty?

Zadzwonił.

— Jakżeż pani podoba się Warszawa? Bardzo jestem szczęśliwy, że panią poznałem. Pogadamy sobie jeszcze nieraz — nie wyjeżdża pani odrazu?

Barcic znowu widział tylko otaczającą go rzeczywistość. Stan, przez który przeszedł, został w nim, jak delikatne muśnięcie. Nie rozpoznałby już ptaka, który skrzydłami go dotknął.

— Podaj herbatę do stołowego pokoju — rzekł Jaszowski do służącego. — Przejdźmy tam. Ktoś dzwoni...

— Jestem w domu! jestem! — zawołał, usłyszawszy głos Chomentowskiego. — To Chomentowski. Zobaczy pani, co za nadzwyczajna figura. Pan poznał się z nim wczoraj?

Chomentowski niedbale podał rękę Barcicowi, ledwo uklonił się Weronice i, jakby ich nie było w pokoju, zaczął mówić do samego Jaszowskiego:

— Czytałeś świeżą książkę Zielińskiego? Nie? No, to przeczytaj. Gdyby ode mnie zależało, przywróciłbym grekę nie tylko w gimnazjach, ale wprowadziłbym ją do szkół powszechnych. Świat w oczachby się zmienił. Jedyna rada na odrodzenie społeczeństwa.

— Rekomenduję ci te sardynki — Jaszowski przysunął mu pudełko z sardynkami.

— Wszyscy teraz mówią w Polsce o odrodzeniu społeczeństwa — rzekł Barcic.

— Nie teraz, bo od piętnastego wieku — odparł Chomentowski. — Pochodzi to stąd, że nie odbyliśmy normalnej historycznej ewolucji i zawsze nam czegoś brakuje. W kulturze naszej są olbrzymie luki. Dopóki

się ich nie wypełni, wszystko będzie się wykoshlawiało, jak wykoshlawiało się dotychczas.

— Pan Chomentowski jest... A nie, nie powiem pani, sama pani powinna powiedzieć — przerwał mu Jaszowski. — Pani Morawiec — zwrócił się do Chomentowskiego — ma nadzwyczajną zdolność widzenia.

— A, więc pani ma także... to samo, co Jaszowski? Szósty zmysł. Ja się jednak nie zgadzam, aby tę właściwość nazywać szóstym zmysłem.

— Jednak to jest z pewnością szósty zmysł — oponował Barcic.

— Co pan nazywa zmysłem? To, co oni nazywają jasnowidzeniem, nie wprowadza nas w nowy kontakt z rzeczywistością. Gdyby jasnowidz odkrywał nową jej stronę, tak, jak odkrywa ją dla siebie ślepy od urodzenia, gdy nagle odzyska wzrok, albo od urodzenia głuchy, gdy odzyska słuch, to miałby nowy zmysł, a tak ma ich tyle, co pan i ja. Szósty zmysł, to, zresztą, najgłupsze określenie.

— A pan jakiego jest zdania? — spytał Barcic Jaszowskiego.

— Co on może o tem wiedzieć? — wzruszył ramionami Chomentowski. — Nie zajmuje się przecież fizjologią.

— Pan Jaszowski posiada jednak dar...

— Co innego posiadać dar, a co innego wiedzieć, czem on jest. Pan też może jasnowidzem?

— Nie, ja jestem inżynierem.

— To nie ma znaczenia. Można być inżynierem

i jasnowidzem. Jaszowski jest matematykiem. Boehme był szewcem. Więc pan jest inżynierem? Wszyscy dzisiaj pchają się do zawodów praktycznych. Nikt nauce nie poświęca się dla samej nauki. Ciekawy jestem, z czego czerpać będzie ta praktyczna wiedza, gdy źródła powysychają? Ja nie widzę istotnej różnicy pomiędzy inżynierem a cieślą, lub murarzem. Jeden i drugi jest tylko praktykiem. Zakres jest wyższy i większy, treść ta sama.

— Więc kimże ja jestem? — zapytał Weroniki, gdy wstał od stołu.

— Pan jest posłem...

— A, to pani się nie udało! — zawołał z satysfakcją.

— Posłem nietylko jest ten, który posłuje do parlamentu — odparła. — Posłowie są różni.

Jaszowski odciągnął od nich Barcica.

— Nie przeszkadzajmy im. Niech ją Chomentowski studjuje. Zobaczysz pan, że przeczytamy niedługo studjum o Pytji. Znajdzie nowe światła. To jest nadzwyczajny człowiek. Wie pan, jaką on ma metodę? Według tego, co widzi, pisze o tem, co było. Czyta wszystko. Niema dzieła, którego by nie znał. Ale o tem, co było, pisze według tego, co widzi. Dajmy na to, odkryje w panu podobieństwo do Archimedesza, albo sobie powie: taki musiał być Archimedes, albo nawet — wszystko jedno, jakim był Archimedes, a ja według niego zrobię Archimedesza. Przyczepi się wtedy do pana tak, że pan będzie go miał wciąż przy so-

bie. Wypyta pana, wybada, wymaca, wystudjuje, i kropnie studjum o Archimedesie, które będzie właściwie studjum o panu. Potem przestanie pana znać, już go pan nie będzie interesował. Miał wielu przyjaciół, których nie pamięta. Nie rozumieją, dlaczego się od nich oddalił. Nie zdają sobie sprawy, że stali się mu niepotrzebni. Pisze o wszystkim, i wszystko go obchodzi, nietylko starożytność. Człowiek dobry, a zarazem okrutny. Gdy trzyma pióro w ręku, to z przeciwnika skórę zedrze. Co on z tym Skrzyckim za hece wyrabia! Dobrze ma serce, lecz gdyby wiedział, że człowiek, z którym polemizuje, z powodu jego artykułów w łeb sobie palnie, słowa jednego nie wykreśli i rzecz doprowadzi do ostatniego punktu. Taka dziwna kombinacja!

Rozkołysał się, wpadł w zapał, tysiące myśli tłoczyło się mu do głowy, mówił odrazu o ludziach, sztuce, matematyce, polityce, filozofji, o grze w szachy. Inteligencja jego była duża, poglądy oryginalne, posiadał prawdziwą zdolność improwizacji. Mówiąc o teatrze, zaimprowizował cały dramat. Zdawało się, że weźmie pióro i zacznie go pisać. Ale czuć także było, że nigdy tego nie zrobi, że konsolidacji w nim niema i wszystko rozplywa się w powietrzu. Był, jak żywiół, jak wicher, niedający ująć się w formę.

— Pani już odchodzi?! — zawołał, zobaczywszy, że Weronika nakłada kapelusz. — Naprawdę? Ale zostaje pani jeszcze w Warszawie? Więc się jeszcze zobaczymy. Bardzo pani dziękuję, bardzo — pocałował ją w rękę.

Jaszowski powiedział, że Gozmur umarł. Tak samo-by wierzyła i tak samo innego szukałaby dowodu.

Nie mogła pozostać w Małkach. Uległa namowom Kądzielewskich, aby zamieszkać u nich w Warszawie. Nie myślała jeszcze o swojej sytuacji życiowej, problem ten jednak wyrastał przed nią coraz wyraźniej. Gozmur odszedł. Odpędził ją, taką znalazł formę przegnania jej — a ona korzystała i żyła z tego, co po nim zostało. Z jego pieniędzy, które po ruinie majątkowej sam, jako jej własność, zabezpieczył, z dobroci jego krewnych, z tego wszystkiego, co po sobie zostawił. Materjalnie nic jej nie odebrał, wszystko jej oddał, i wyszedł o kiju. Nie mogła unieść brzemienia tej pogardy. Powinnaby żyć tak, aby nie tknąć nic, co jego. Propozycja Barcica nie istniała już dla niej. Barcic ją powtórzył, lecz ona nie mogła podejmować małego kapitaliku Gozmura dla kupowania sobie domu, nie mogła na ten dom zaciągnąć pożyczki u Barcica, nie była zresztą w możności urządzać ogrodu, hodować kwiatów, sprzedawać owoców, żyć tak, jakby nic się nie stało. Mogła jedynie wywalczać sobie prawo do każdego dnia zosobna, żyć z pracy codziennej. Takiej nie miała i pozostawała ciągle na łasce Gozmura.

Od ostatecznej pogardy do samej siebie ratowało ją przywiązanie Barcica. Instynktem kobiecym poznała nieomylnie wszystkie nieujawnione fazy tego uczucia. Najsamprzód podobała mu się, potem nastąpiło jakby zmęczenie i zubożenie, jakby chęć wydobycia się z atmosfery, stworzonej przez zniknięcie

Gozmura. Miała wtedy do niego wielki żal. Nagle, podczas pożaru w Bukowie, porwało ją niepojęte wzruszenie ponad wszystkimi uniesieniami i rozczarowaniami miłości. I stało się tak, że wytworzyła się między nimi wielka wspólność. Mogła się o wszystko do niego zwrócić, jak do najbliższego człowieka, wiedząc, że wszystko, co robi, to nie dla towarzyskiej poprawności, ale dla niej, jedynie dla niej. Mogła go była prosić, aby poszedł do Jaszowskiego, nie obawiając się jego sceptycyzmu, wiedząc, że nic nie wzbudzi w nim niechęci.

Bardzo dobrzy byli Kądzielewscy, wiedzieli wszystko i nigdy ani jednym niezręcznym nie urazili jej słowem, dotkliwa była natomiast obecność Tadzi-ka i Heli. Choć Tadzik nic nie mówił i o nic nie pytał, choć Hela zajęta była swoim narzeczeństwem, czuła ich ciekawość i ich sąd. Wzdrygała się, gdy słyszała cieniutki głos Heli.

— Ciociu, pan Barcic.

Przyjechał Rukiewicz i wprost z hotelu przyszedł do niej. O Gozmurze nie wspomniał, aż go zagadnęła. Wtedy rozłożył ręce i rzekł:

— Według mnie, nie żyje. Sądzę, że pani powinna przyzwyczaić się do tej myśli. Nas zmyliły poszukiwania Mulika. Może nawet Mulik szedł dobrym śladem, lecz czyż wiemy, co stało się dalej, za Danowem! Pan Gozmur może wyszedł podczas jakiegoś ataku moralnego, uciekał przed zbliżającą się śmiercią. Takie stany przychodzą na ludzi starych, właśnie w ostatnich godzinach.

Opowiedział o jakiejś staruszce ze wsi, która, umierając, wyskoczyła z łóżka, wyrwała się, wybiła okno i uciekała w pola. To samo prawdopodobnie stało się z Gozmurem.

— Znalazłoby się ciało — rzekła.

— Nie wiemy, gdzie to się stało. Za Danowem jest rzeka. Most bez barjery. Przypuśćmy, że poślizgnął się i wpadł do wody. Ciało mogło wypłynąć w okolicy, gdzie go nikt nie znał. Jest także rzeczą możliwą, że śmierć spotkała go gdzieś na drodze — nie wiemy przecież, dokąd zawędrował. Nie znaleziono przy nim papierów i pochowano jako nieznane-go. O jego zniknięciu wiedzą tylko w Małkach, Bukowie i Gwizdowie. Już w Danowie wie mało kto, a za Danowem nikt. Do tej myśli musi pani się przyzwyczaić — nalegał.

Powiedziała mu o Jaszowskim i o Weronice.

— Ani na chwilę nie przypuszczam, aby Jaszowski i ta pani mówili nieprawdę — rzekł — ale na ich widzeniach polegać nie można. Czyż możemy być pewni, że Jaszowski, dostrzegając jakiś obraz, dostrzega go we właściwym czasie? Czy to, co widzi teraz, nie działa się kiedy indziej? Ta pani spostrzega Mulika, szukającego w piasku, spostrzega go dobrze, ale obraz, który widzi, znajduje się w myślach pana Barcica. Powiedziała sama, że musi przedzierać się przez cudze myśli. Czyż podczas tego przedzierania nie zaskoczyła ją po drodze myśl inna, o tej skąpej pani i o tym dworze?

— O tem nikt nigdy nie myślał, Nikomu nie przychodziło to do głowy — odparła.

— Skądże może pani o tem wiedzieć? My nie znamy dostatecznie tej właściwości, ani jej mechanizmu, ani jej istoty. Może to jest coś, jak fala radjowa, którą odbiera ich organizm.

— Fala radjowa przynosi rzeczywistość.

— Tak, lecz aparat w tym przypadku doskonalszy jest z pewnością od człowieka. Nie wprowadza swoich myśli i swoich przypuszczeń, nie podlega telepatji. Przecież w tych ludziach w formie obrazów występować mogą cudze myśli i cudze przypuszczenia. Każdemu z nas to się zdarza, choć nie w tak plastycznej formie. Przypuszczam, że ona łądzi ich samych, zwłaszcza, gdy się okaże, że to, co mówią, zgadza się z rzeczywistością.

— Ja w to jednak wierzę.

— Bo chce pani wierzyć. Niech pani jednak niezależni się od swoich chęci i od tych wrażeń, a dojdzie pani do wniosku, że nieszczęście się stało. Jest rzeczą zupełnie niemożliwą, aby o nim nic nie wiadziało, gdyby żył.

— Najgorszą jest rzeczą, że do tego, co się stało, nie można się przyzwyczaić — mówił później do Kądzielewskiej. — Nie można przyzwyczaić się do niepewności. Według mnie, nie żyje. Powinniście wszyscy to sobie powiedzieć.

— A co o tem mówią w Małkach? — spytał Kądzielewski.

— W Małkach i w okolicy utworzyła się o nim legenda. Na własne oczy ujrzałem, jak legenda się tworzy. Wiemy, jakim był Gozmur. Nie było w nim pierwiastków na bohatera dla fantastycznej opowieści. Chłopi nasi nie są poetami, a Gozmura mieli za nic. Ani ich ziębił, ani parzył. Lokator na resztówce — coś mogło być dla nich bardziej pospolitego? I oto stał się duchem okolicy. Złym duchem. Przeobraził się w coś nierealnego. Krowa padnie, mówią — to Gozmur! Pies się wścieknie — Gozmur! O nim zapomną, a imię jego oznaczać będzie wypadki i nieszczęścia. Taki tam sobie pomnik postawił.

Nie dał zatrzymać się na obiedzie. Wymówił się interesami. Interesów nie miał, bo wszystkie załatwiał Gomulski, ale w Warszawie dawno nie był i chciał się odświeżyć.

Mimo swego wieku, starości nie chciał się poddać. Usiłował wszystkim się interesować. Wstąpił do księgarni, przejrzał nowości. Masa nazwisk, których nie znał. Nie wiedział, co wybrać. Orjentował się według tytułów, przerzucał kartki i wzruszał ramionami. Zakupił kilkanaście tomów i kazał je odesłać do hotelu. Na wystawie przeszedł sale współczesnego malarstwa, ani jednym obrazem nieporuszony. Żadnego nie zawiesiłby w Bukowie. Nie rozumiał nowych kierunków i nowych form. Zmęczył się wielką ilością płócien. Odetchnął przy matejkowskich obrazach. Tu umiałby siedzieć godzinami.

Barcica mógł zobaczyć dopiero wieczorem. po obiedzie więc, nie wiedząc, co z sobą robić, wybrał się

w odwiedzin do Trzemeskiego. Kiedyś, za lat młodych, nieodstępni byli towarzyszami, potem widywali się coraz rzadziej, aż prawie zapomnieli o sobie. Trzemescy mieli mieszkanie w Warszawie, przesiadywali jednak więcej zagranicą, lub u siebie na wsi. — Może będzie. — Zastał go samego. Ona nie wróciła jeszcze z nad morza.

Choć byli w jednym wieku, Trzemeski nie miał siwych włosów. Zawsze takie same, kasztanowate, tylko przerzedzone, nieżywe, jakby przyklejone do czaszki. Twarz zato pomarszczyła się mu i skurczyła, była jak upieczone jabłko, bardzo blada, z centkami czerwonymi. Z trudem podniósł się z nad pasjansa.

— Charles! Cóż się stało, żeś przyszedł?

— Rzadko jestem w Warszawie, a jak jestem, to ciebie niema.

— I dziś przypadkiem mnie zastałeś. Ale ty strasznie się zadomowiłeś. Nigdzie cię nie widać. Jakżeż znajdujesz Warszawę? Zmieniła się, co?

— Wiesz, co mnie w niej uderza — rzekł Rukiewicz — to brak genjalności.

— Czego?

— Genjalności.

— A tak, to prawda — potwierdził Trzemeski i machinalnie przełożył karty. — A gdzieś zauważyłeś ten brak?

— Wszędzie. Przeglądałem książki...

— No i niczego się nie nauczyłeś. Głupstwa pisać, wiem

— Byłem na wystawie.

— Wcale tam nie chodzę. Dzisiaj nie umieją zupełnie malować. Córka moja obstalowała portret. Żadnego podobieństwa; nie poznałbyś. Do teatru też chodzić nie można, bo dają same sztuki nieprzyzwoite.

— Gdybyś był młodszy, to możeby ci się podobały.

— Nigdyby mi się nie podobały. Ja zawsze wiedziałem, gdzie mam po co iść. A teraz nie wiem, daję ci słowo.

— A jakże zagranicą?

— Drogo — zakaszał.

— Wyobraź sobie — zaczął Rukiewicz — co stało się u nas w okolicy. — I opowiedział o Gozmurze.

— Szczególna historia! Gozmur Bolesław? Toć ja go znałem.

— Znałeś go? Nie mówiłeś mi nigdy.

— Cóż ci miałem mówić. Nie zgadło się. Znałem go, a jakże. Zginął bez wieści? Szczególna historia. No, warjat to on był zawsze.

— Cóż wiesz o nim?

— Wiem, że był warjat. Gdyby był młodszy, toby teraz karierę zrobił. Pojedynekowicz. Ciągłe się z kimś o coś strzelał. Awanturnik. On miał ładny majątek. Podobno puścił.

— Zbankrutował zupełnie.

— Jakżeż nie miał zbankrutować? Czekajno... sławna była jego historia o tę pannę — dalibóg, zapomniałem.

— O jaką?

— No, kiedy zapomniałem. To przecież ze czter-

dzieści lat temu. Mniejsza o to. Słowem, była taka panna, o którą się strzelał. Ale nie chciał strzelać się na pistolety, tylko z dubeltówek, na polowaniu. On takie miewał pomysły. Stanęli na stanowiskach i mieli do siebie kropnąć, gdy trąbka zagrała. Ale, przedstaw sobie, gajowy biegnie i widzi, że tamten do Gozmura mierzy. Więc w krzyk: „To nie świnia, to pan Gozmur!” Myślał, że tamten niedowidzi i że mu się zdaje, jakoby tam w krzakach dzika świnia się ruszała. Gozmur w taką wpadł pasję, że doskoczył do tego gajowego i go poturbował. W ten sposób skończyło się na niczem, bo zrobił się śmiech. Mówiono, że ten gajowy był nasłany. I ja tak myślę, bo skądby mu taki koncept przyszedł do głowy.

— A jak się nazywał ten jego rywal? — spytał Rukiewicz.

— Kiedy nie pamiętam. Gdybyś mi powiedział, tobym sobie odrazu przypomniał.

— A ta panna, z jakich była stron?

— Ona? Nie wiem. Nie znałem jej, tylko mi opowiadano. Cóż ci tak na tem zależy?

— Bo widzisz, jest podejrzenie, że on się udał do jakiejs swojej dawnej znajomej.

— No to nie do niej. Gdzieżby go po czterdziestu latach pamiętała! Zwarjował i go zamknęli. Zapomniał nazwiska, więc nikt o nim nie daje znać. Jakżeż ta panna się nazywała...

— Może sobie przypominisz?

— Nie przypomnę sobie, bo jej nie znałem. Ja mam doskonałą pamięć, ale pamiętam tylko to, co sam

mówię i co sam widzę. Tego, co inni mówią, nawet nie staram się pamiętać, bo ludzie takie głupstwa plotą.

— Z jakiego domu była ta panna — nie wiesz?

— Z szlacheckiego, naturalnie. O dziewczęby się nie strzelał i do tego z dubeltówki.

Trzemeski gada sam nie wie, co. W głowie mu się płacze. Anegdotkę tę pewnie ktoś zmyślił, i może nie Gozmura się tyczyła. Kto wie jednak, czy nie ma racji, że Gozmur zwarjował. Gdyby się sprawdziło, przypisanoby mu własności nadprzyrodzone. Trzemeski jasnowidzem! Mimo przejęcia się sprawą Gozmura, Rukiewicz roześmiał się do tej myśli.

XIX.

Rukiewicz miał w oczach smutek i litość. Od go dziny daremnie przekonywał Barcica, że Gozmur nie żyje. Barcic trwał przy swoim. Oparłszy głowę na ręce, tak, że oczy zasłonił i nie dostrzegał wrażenia, malującego się na twarzy Rukiewicza, mówił o Weronice. Z początku zwyczajnie, nie pozwalając przeniknąć swej myśli, nie zdradzając swojego sądu. Opisał jej wygląd, powtórzył swoje pytania i jej odpowiedzi. Potem jakby sam do siebie, jakby zapomniał, że go ktoś słucha.

— Ona widzi, jak widzą ludzie umarli, jak duchy. Poza czasem i poza materją. Wiem, nie zdaje mi się, ale wiem, że przekonała mnie nie opisem Gozmura, nie tym szczegółem o znalezieniu chustki, nie żadnym dającym sprawdzić się dowodem, lecz siłą wewnętr-

na, która z niej promieniuje i którą, rzecz dziwna, czuję teraz bardziej, niż tam, w mieszkaniu Jaszowskiego, gdy koło niej siedziałem. Gdyby była inna, a opowiedziała jeszcze dokładniej tysiące rzeczy, nie przekonałaby mnie. Gozmur? Cóż Gozmur? Chciałbym go odnaleźć ze względu na panią Annę, oddać jej spokój, ale sam przez się fakt jego zniknięcia jest mniejszy, niż to, z czym się łączy, i to, co oświeca. To jedynie jest ważne w tej sprawie. Gdyby Gozmur się odnalazł, gdyby jego zniknięcie skończyło się farsą, to ja zrozumiałbym wiele rzeczy, przed zrozumieniem których się broniłem. Zrozumiała je i pani Anna. Losy ludzkie nietylko tu się zawiązują i nietylko tu się rozwiązują, jak panu się zdaje.

— Panie Kazimierzu — przerwał Rukiewicz.

— Co? — Barcic podniósł głowę.

— Niech pan nie dopuszcza takich myśli do siebie, niech pan się nie zabija.

— Pan mówi tak — odrzekł Barcic — jak ludzie, którzy się chlubią, że nie mają przesądów. Niech pan nie gniewa się, gdy powiem, że ludzie ci mi nie imponują.

— Nie gniewam się, bo do nich nie należę. Wiem, że to, co nazywa się brakiem przesądów, jest często właśnie przesądem. Materializm też tworzy swoje przesady, a nauka ma ich bodaj najwięcej.

— Więc?

— Więc nie dlatego tak mówię. Mówię tak dlatego, że znałem pana matkę. Pan jest taki, jak ona, taki sam. Pan po niej odziedziczył, po niej pan wziął

te skłonności mistyczne, tę wiarę w interwencję nadprzyrodzoną, to wsłuchiwanie się w świat duchów. — Wskazał na fotografię matki Barcica. — I niech pan mi wierzy, bo przecież nie byłem człowiekiem obcym w waszym domu, że śmierć jej przedwczesna nastąpiła z tego powodu. Zrujnowała się. Straciła naturalną wesołość, naturalną pogodę ducha. Nie potrafiła żyć życiem własnym, spletały ją widzenia i przecucia, zabiły ją, zamęczyły się.

— Pan nie widział przecież mojej matki od czasu, gdy opuściła Małki.

— Nie widziałem, ale wiem.

— Moja matka nie zamęczyła się i nie zgasła dlatego, że miała skłonności mistyczne, ale dlatego, że straciła ufność do ludzi — i Barcic zatrzymał wzrok na Rukiewiczu. — Zbyt skwapliwie spełniono jej życzenie samotności. Nie było przy niej człowieka, który powinien był przy niej być i przy niej zostać, który powinien był zdjąć z niej ciężar, albo przynajmniej nieść go wspólnie, że mąż jej umarł, widząc jej miłość dla kogo innego. Ten człowiek uciekł przed ciężarem i przed wspomnieniem. Dlatego zamęczyła się moja matka.

Rukiewicz pochylił się w fotelu. Wyglądał bardzo staro.

— Kto był ten człowiek?

— Pan — odpowiedział Barcic.

Rukiewicz pochylił się jeszcze bardziej, ręce drżały mu, jak z zimna, a Barcic patrzył zamyślony na fotografię matki, uśmiechniętą w złotych ramkach.

— Czy matka panu o tem mówiła? — zapytał Rukiewicz.

— Nie. Matka nigdy nie mówiła o panu.

— Więc skąd pan wie, jak to było?

— Wszystko wiem. A skąd? Nie mogę panu odpowiedzieć, bo nikt mi o tem nie mówił. Sam wiem. Ojciec mój był stary, a pan nie tylko był człowiekiem młodym, ale wysoko wykształconym, znającym świat, umiejącym mówić pięknie i zajmująco. Nudził się pan trochę w Bukowie. Poznał pan młodą kobietę, która panu się podobała. To była moja matka. Rzecz ludzka, ja nie sądzę pana, ani jej. Tylko, widzi pan, słowa nie powinny być większe od uczuć i nie powinny wyrażać uczuć nieistniejących. Nie wolno mówić kobiecie — „kocham cię” — gdy ona się tylko podoba. Powinno się powiedzieć — „podobasz mi się”. Nie wolno jej zwodzić mową romantyczną, każąc jej wierzyć, że bez niej żyć się nie może, przywiązywać ją do słów, pod którymi niema uczuć. Trzeba mówić tak, jak jest. Może ktoś mi zarzucić, że brzmiałoby to czasem zbyt brutalnie. Gdyby nawet, to lepsza brutalność, niż oszustwo. Pan matki mojej nie kochał. Wiem to stąd, że pan przy niej nie został. Ale przywiązał ją pan do siebie i tak widocznie, że zabiło to mego ojca. A z nią, co pan zrobił? Uwierzyła w pana miłość, i gdy została sama, zrozumiała, że miłości nie było, że zastępowały ją słowa bez treści. Czem to musiało być dla niej! Czy pan kiedykolwiek nad tem się zastanowił? Czy pan zastanowił się kiedykolwiek, jakie musiało być jej uczucie, że dla takiej mizerji,

dla takiego pospolitego fałszu człowiek umarł? Zastanowił się pan kiedykolwiek nad tem?

— Niech pan mówi dalej.

— Nie mam panu już nic do powiedzenia. Pan jest z tych, którzy odbierają z rąk kobiecie pakunek, otwierają przed nią drzwi, pomagają jej wsiąść do powozu, ale nie pomogą nieść istotnego ciężaru, jak ten, który pan rzucił na jej sumienie.

— Ona chciała zostać sama.

— I pan w to uwierzył! Gdyby to panu powiedziała za życia mego ojca, to panby nie uwierzył, ale po jego śmierci pan uwierzył. — I Barcic znowu wzrok zwrócił na fotografię.

— Panie Kazimierzu, pan nie każe się mi spowiadać przed sobą...

— Nie.

— Ale niech mi pan powie, czy pan sam nigdy nie wypowiadał słów większych, niż były pańskie uczucia?

Barcic podniósł się z krzesła.

— Nie! Niechże pan wie, że nie. Ja jestem uczciwy człowiek. Nie mam pańskiej elegancji, pańskiego szyku — jestem człowiek prosty. Ludzie proszą się uczciwi. Nigdy żadnej kobiety nie oszukałem.

— To pan nigdy żadnej kobiety nie kochał — rzekł Rukiewicz.

Uśmiechnął się ni to z melancholją, ni to z ironją, i po chwili:

— Byłoby bardzo pospolite i bardzo niewłaściwe,

gdybym na pana obraził się, albo oburzył. I nie mam zamiaru bronić Rukiewicza z przed laty trzydziestu. Rukiewicz z przed laty trzydziestu jest mi bardziej obcy, niż mój rządca Gomulski, niż mój służący, Stanisław. Jednak zbyt surowo sądzi pan tego Rukiewicza, zbyt pochopnie nazywa go pan oszustem. Nie ożeniłem się i po dziś dzień zachowałem kult dla pańskiej matki — to może coś znaczy. Nawet teraz trudno mi wszystko powiedzieć, aby odeprzeć pana zarzuty — obowiązuje mnie jakaś dyskrecja względem Rukiewicza i względem niej — ale to, co powiedziałem, niech panu wystarczy.

Zaczerwienił się i bębnił palcami o poręcz fotelu.

— Ja pana nie chciałem obrazić.

— Niech panu to wystarczy! — podniósł głos.

— Niech pan pozwoli mi skończyć. Nie chciałem pana obrazić. Mój ojciec — Barcic zmienił się na twarzy — męczył się tam... — Głos mu się załamał, opanował go i mówił już spokojnie. — Mój ojciec męczył się tam, że panu tego nikt dotąd nie powiedział, że nie zostało to spełnione. Teraz, w tej chwili męczyć się przestaje. Może już odejść z małkowskiego dworu. Czyż nie nato mnie wołał, abym panu wszystko powiedział? Nato! Pan mówi, że pan się nie ożenił, że zachował pan kult dla mojej matki. Mnie to bardzo wzrusza i jestem za to bardzo wdzięczny, ale pan matkę moją oszukał. Oszukał ją pan tak, jak oszukuje się kobietę, w której się jest zakochanym. Pan to w tej chwili przyznał, mówiąc jej rzeczy wielkie, stwarzające pozory, że wszystko i zawsze gotowym się jest

dla niej uczynić. Wszystko i zawsze! Jakież jest jej uczucie, gdy z tego raju słów ocknie się w pustce? Moja matka ocknęła się w pustce. Pan względem niej popełnił zbrodnię. To pan musi wiedzieć. Ja pana nie obrażam, nazywam tylko rzeczy po imieniu. Gdyby pan przy niej został, gdyby pan nie kazał dźwigać jej samej ciężaru, że stała się przyczyną śmierci swego męża, ojciec nie męczyłby się i mnieby nie wołał. I wiele rzeczy nie stałoby się, które się stały. Pan jest esteta. Został pan dla niej z kultem, jak z bukietem pięknych kwiatów. Ustroił się pan w te kwiaty. Niech one panu nie przysłaniają prawdy. Niech pan przez nie dojrzy swoje oszustwo i swoją zbrodnię — śmierć mego ojca i mojej matki.

— Pan może ma prawo mówić to wszystko, jako syn, ale to nie jest tak.

— To jest tak! Niech pan nie kłamie przed sobą samym. Nie okłamie się pan. Szliście razem. Oni wzięli ciężar, a pan wziął kwiaty. Usunął pan ramiona z pod ciężaru.

— Więc czegoż pan chce od mnie?! Cóż ja mam zrobić?! — zawołał Rukiewicz.

— Niczego od pana nie chcę. Cóż pan może zrobić?

— Więc poco pan mówi to wszystko? Gdy ktoś w średniowieczu był tak grzesznym, za jakiego pan mnie ma, to mógł odrodzić się w porywach żalu i srogościach pokuty. Na pytanie, co ma zrobić, nie otrzymywał odpowiedzi: nic. Gdy targnął mu sumieniem świątobliwy mnich, to powiedział jednocześnie: idź

pieszo do Ziemi Świętej, pokutuj w klasztorze, leż krzyżem w kościele. Pan na pytanie, co mam zrobić, odpowiada: nic. Więc jakież sens mają pańskie słowa? I pan inaczej nigdy nie odpowie, bo przy duszy średniowiecznej ma pan umysł nowożytny. Lękam się, że z tego powodu pan i sobie nigdy na nic nie odpowie.

— O czym pan myśli? — zapytał Barcic.

Egzaltacja z niego ustąpiła, wyglądał na zmęczonego, pytanie zadał obojętnie.

— Myślę — odpowiedział Rukiewicz — że jeżeli życie tak zmieniło dla pana swój sens, to i pan stanie przed pytaniem: „Co ja mam zrobić?”

Spojrzał na zegarek.

— Dobranoc, panie Kazimierzu.

— Odprowadzę pana — rzekł Barcic.

— Znajdę automobil i pojedę do hotelu.

— Odprowadzę pana do automobilu.

Odprowadził go i poszedł w kierunku domu Kądzielewskich. Brama była jeszcze otwarta. Zastał wszystkich przy stole, przy herbacie. Byli Bulewiczowie i narzeczony Heli. Kądzielewski wskazał mu krzeselko koło siebie i, nachyliwszy się, zapytał:

— Widział pan Rukiewicza?

— W tej chwili wyszedł ode mnie.

— On przekonany jest, że Gozmur nie żyje.

— A ja przekonany jestem, że żyje — odparł ze stłumioną irytacją Barcic.

I, zwróciwszy się przez stół do Anny, opowiedział jej o nowym artykule Chomentowskiego przeciw Skrzyckiemu. Roześmiała się samymi ustami, oczy po-

zostały jednakowo smutne i na wszystko, co działo się dookoła, zobojętniałe.

— Dobrzy są ci literaci — rzekł Bulewicz — kłócą się publicznie o rzeczy, które nic nikogo nie obchodzą.

— Byle tylko zwrócić na siebie uwagę — zdecydowała Bulewiczowa.

Barcic poczuł czczość, ale mówił, pytał i odpowiadał. Tylko gdy głośno mówił ze wszystkimi, myślami o czym innym rozmawiał sam z sobą. Rosła w nim irytacja na ludzi, co przez dobre serce chcieli w niego i w Annę wmówić śmierć Gozmura. Dobre serce tych ludzi! Jacy głupi, gdy myślą, że dla niej byłoby to najlepiej. Jacy głupi, gdy myślą, że przyczyną udreki ich obojga jest niepewność o losach Gozmura, że dręczą się, bo o niego się trapią. Tak może było w pierwszych dniach, gdy żyli ruchem policyjnych poszukiwań. Później, w chwilach zmęczenia, obojgu im mogło się zdawać, że wszystko byłoby lepsze od niepewności, że nawet wiadomość o śmierci wróciłaby im spokój. Nie było to prawdą. Nie o Gozmura im chodzi, lecz o siebie samych, i nie w tem rozumieniu, aby wiadomość o Gozmurze dała im wolność w budowaniu swego życia, lecz w tem, aby na wszystko, co było między nimi, mogli patrzeć, jak patrzyli, nim on zginął.

— Prawda, że to jest interesujące? — usłyszał pytanie Bulewicza.

— Nadzwyczajnie — odpowiedział i dostrzegł uśmiech Tadzika. Spojrzeli na siebie i zrozumieli się.

Tadzik dostrzegł, że ludzie ci są mu najzupełniej obcy i że mówi tylko dlatego, aby mówić.

Co uczyniłaby Anna, gdyby nadeszła wiadomość o jego życiu i miejscu pobytu? Czy uradowałaby się, w tej radości zapomniała o wszystkim i wróciła do niego, jak wierna żona? Nie! Nikt zresztą nie może przewidzieć, jaka fala uczuć uderza w decydującej chwili, jakie uczucie nad innem bierze górę. Nie wróciłaby, ale odzyskałaby spokój. Jeśli teraz bez wiadomości o mężu żyć nie może, to dzieje się to siłą instynktu samozachowawczego, mówiącego jej, że zginełaby moralnie, gdyby przypuszczenia o śmierci się sprawdziły. Nie zabiła Gozmura, a będzie się miała za jego morderczynię. Tylko życie Gozmura może ją ocalić.

On dziś jednego tylko pragnie — nie widzieć jego wzroku. Oczy Gozmura spoglądają na niego, gdy pracuje, gdy myśli o czem innem. Widzi jego oczy i przypomina sobie jego słowa: „Mój kuzyn kupił dziewczkę za dwadzieścia pięć rubli”. Uderzają w niego te oczy i giną, i pozostawiają nieznośny niepokój, niechęć do pracy, do przyszłości, do wszystkiego.

Pani Zofja przysunęła mu kosz z owocami, Hela parsknęła śmiechem, przekomarzając się z Witoldem. Słyszał poszczególne zdania ogólnej rozmowy, nie łącząc ich w całość. Stół, ludzie przy stole, stracili swą formę, migotały mu przed oczami szklanki, talerzyki, głowy odcięte od szyi, spinki, pierścionki, mankiety, ręce poruszające palcami. W uszach i oczach miał chaos, a w myślach porządek zupełny, zapadał w nie

coraz głębiej. To, co go otaczało, traciło swój byt, stawało się nierealne, jak sen. Prawdziwy i realny był Rukiewicz, ojciec, Gozmur, nierealni, utkani z mgły, Bulewiczowie, Kądzielewscy, Hela, Witold.

Trzeba odegnąć od siebie oczy Gozmura, te oczy, co nie pytają o winę, nie mierzą jej wielkości, tylko patrzą, jak wtedy, ostatni raz. — Dziewka za dwadzieścia pięć rubli. Jakie inne były ceny! — Gozmur go nie potępia, tylko na niego patrzy, i on siebie nie potępia, tylko w siebie patrzy. Nie czuje wyrzutów sumienia. Nie z wyrzutów sumienia rodzi się to straszne spojrzenie, niedające się odpędzić wysiłkiem woli. Od woli jego jest niezależne. Gdy szuka Gozmura, to nie z powodu jakiegś o niego troski, lecz aby nie mieć koło siebie upiора, wampira, zmory. Gdzieś, kiedyś słyszał o zabijaniu upiórów. Jakieś bajki! Na Rusi, tak, na Rusi — chłopci zabijają upiory. Osikowym drągiem. Widzą je, jak on oczy Gozmura. Tak samo. Osikowym drągiem. I on szuka osikowego drąga! Chce zabić upiора! Dlatego szuka Gozmura. Życie Gozmura, to śmierć upiора. Śmierć Gozmura, to życie upiора!

Rukiewicz wmawiał w niego, że upiór żyje. Dlatego zmiążdżył Rukiewicza, zmiążdżył go z taką samą nieobliczalną pasją, z jaką względem niego postąpił Gozmur. Zdjął z ust pieczęć milczenia, postawił go pod oskarżeniem. Postawił go pod oskarżeniem z tem większą mocą, że czuł w sobie mękę ojca. Nie Gozmura, ale ojca! Zamiast bukietu poetycznych wspomnień o dawnej miłości będzie miał teraz Rukiewicz przy sobie patrzące z fotografii oczy kobiety

opuszczonej i zniszczonej. Za to, że wmawiał w niego śmierć Gozmura, że odbierał mu siłę do walki z upiorem. Za to! On właśnie, on, Rukiewicz powinien wiedzieć, że Gozmur musi żyć, bo wie, doskonale wie, dlaczego odszedł z Małek! Stracił czas Rukiewicz, wpatrując się w bukiety wspomnień, on kazał mu odzyskać stracony czas!

— Co panu jest? Czy nie stało się coś złego? — spytała Anna, gdy odchodził. Wyszła za nim do przedpokoju.

— Pani Anno — ujął ją za rękę — my zabijemy upiora.

— O czym pan mówi? — zamrużyła powiekami.

— On żyje i ja go znajduję.

— Znajdzie go pan?

— Znajdę.

Zamknęła za nim drzwi. Miała szloch w piersiach. Otrząsnęła się i uśmiechnięta wróciła do salonu.

XX.

Było koło czwartej po południu, gdy Barcic wysiadł z pociągu na małej stacji w Poznańskim. Powiedziano mu odrazu, gdzie mieszka Weronika Morawiec. Drogą przez las, opodal jeziora, w leśniczówce. Znano ją dobrze, mąż jej leśniczym był w tych lasach.

Przed stacją było pusto. Wziął walizkę i poszedł we wskazanym kierunku. Nie wiedział, gdzie przenie-

cuje, o tem jednak myślał najmniej. Okolica miała wygląd, pozwalający przypuszczać, że nietrudno będzie o jakąś czystą oberżę, albo o wynajęcie pokoju w jednym z tych rozsypanych domków, widniejących na linii odchodzącego pociągu.

Na drodze, choć musiała być potrzebną arterją komunikacyjną, bo doskonale była utrzymana, ubita i gładka, nie spotykał ani pieszych, ani furmanek. Szła w górę, w las, rozrzucone domki zostawały w dole. Liście pożółkły, paliły się w jesiennem słońcu nad czarną, zoraną już ziemią. Okolica była wilgotna, i na polach widniały kępy wierzby, obrastające moczary. Dyszało lisią jamą, zajęczką kotliną i ptasiem stadem.

Wszedł w las gęsty, podszyty mchem i paprocią. Niebawem ujrzał jezioro, dość rozległe, lśniąco w obręczy sosen, zieleniejące sitowiem i trzciną. Ni to ludzi, ni to zwierząt niesły się echem głosy niewiadomo skąd. Szedł wzdłuż wody, aż spotkał człowieka, śpieszącego na kolej, i dowiedział się, że do leśniczówki musi zawrócić na drugą stronę jeziora. Teraz trafił łatwo, bo znalazł drogowskaz z napisem i perć. W górę wspinała się stroma ścieżka ze schodami, wyrąbanymi w ziemi. Prowadziła do polanki, skąd rozciągał się widok na całe jezioro i na której stał nieduży, pobielony dom. W oknach doniczki kwiatów. Barcic zapukał i czekał chwilę. Otworzyła mu dwunastoletnia dziewczynka, z jasnymi, spuszczone na plecy warkoczykami. Dygnęła.

— Czy tu mieszka pani Weronika Morawiec?

— Pan do mamy?

— Jeżeli pani Morawiec jest matką panienki, to do mamy.

Dygnęła raz jeszcze.

— Proszę.

Otworzyła drzwi do pokoju. Pod ścianą, między dwoma oknami, wielka, rzeźbiona, czarna ława, nad nią obraz, przedstawiający chustę Weroniki z twarzą Chrystusa. Stół długi, dzbanek z bukietem paproci i wrzosów. Klecznik, na którym leżała książka do nabożeństwa. Krzesła, naokoło stołu ustawione, i dwa fotele, obite skórą. Oszklona szafka z książkami. Barcic odczytał ciekawe tytuły książek — same prawie dzieła poetyckie: — Kochanowskiego „Psałterz Dawidowy”, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, a także po niemiecku Schiller i Goethe. Zobaczył dalej Tomasza à Kempis, Pismo Święte, „Żywoty” i „Kazania” Skargi.

Odwrócił się szybko na skrzypnięcie drzwi i zobaczył Weronikę, która wyciągnęła do niego rękę bez zdziwienia, choć nie zapowiedział swego przybycia.

— Jakżeż pan do mnie trafił?

— Adres pani dał mi pan Jaszowski, a gdzie pani mieszka, wskazano mi na stacji.

Podeszła do okna, otworzyła je i, wskazując na jezioro, spytała.

— Widział pan?

Wielka cisza i zaduma biła od wody i od sosen na wysokim brzegu.

— Pięknie tu jest — rzekł Barcic.

— Trzeba, żeby pan wyszedł wieczorem, gdy

gwiazdy zaświecą. O panu Gozmurze niema wiadomości?

— Niema.

— Pan po nie przyjechał, prawda?

— Tak — potwierdził.

— Gdyby pani wiedziała — zaczął — wie pani na pewno, ile niepokoju, ile rozpacz spowodowało zniknięcie tego człowieka, nie dziwiłaby się pani, że ośmielałam się panią najeżdżać i dręczyć. Nikt mi o nim nie powie, prócz pani. Pani wie, nie potrzebuję pani tłumaczyć, że są ludzie, którzy bez pewności, co z nim się dzieje, żyć nie potrafią. Przyjechałem do pani z wielką prośbą. Niech pani mi opisz dokładnie miejscowość, okolicę, w której się znajduje, wsie czy miasto, które tam są, a może ja według tego dojdę, gdzie on jest.

Wielkie współczucie osiadło w jej rysach. Wydała się bardzo zatroskaną.

— Niech pan przedewszystkiem odpocznie. Jest pan porządnie zmęczony. Zaraz podadzą kawę. Przecnuje pan u nas — jakby odpowiedziała na jego myśli. — Po tej hałaśliwej Warszawie dobrze będzie odetchnąć panu naszą ciszą. Mnie bardzo Warszawa zmęczyła. Dużo tam jest ludzi dobrych, ale zgłuszonych.

— Żona pana Gozmura bardzo przygnębiona? — zapytała, gdy Barcic wypił kawę i gdy sprzątnięto ze stołu.

— Straszliwie.

— Ciężka to rzecz dla niej.

I, jakby zapatrzona w obraz, który w niej się wytworzał, mówiła.

— Po nocach płacze. Budzi się i płacze. Albo zrywa się i chodzi po pokoju taka zła, żeby rozszarpała wszystko, coby pod rękę jej wpadło. Tylko przegarnia ręką te swoje miedziane włosy, głową rzuca i pięści zaciska. Rozszarpałaby go, gdyby w takiej chwili wszedł do jej pokoju. Na przywitanie trzasnęłaby go w twarz, tak jak onby trzasnął parobka. Dusi ją złość. To znowu woła do siebie, że jest podła i nikczemna, że wszystko z jej winy, że człowieka zgubiła, że kiedy tak klnie, tak się złości, klnie umarłego, złości się na trupa. Wtedy rady dać sobie nie może. W łańcuchach jest cała. Na rękach, na nogach, łańcuchy takie ciężkie, ani ich unieść, ani się z nich wyzwolić! Złe duchy śmieją się z niej i krzyczą: Zdechnij, łotrzycu! Przepadnij! Powieś się! Otruj! Będziesz miała spokój, o jakim nie marzysz! Biedna ona jest. Całe szczęście, że ludzie koło niej dobrzy. Czerpie z nich lepsze myśli. Co z nią się stało przez tak krótki czas! Dobrze ją widzę i dobrze czuję ją w sobie. Taka była mocna, zdrowa, stęskniona do życia, tak życie w niej grało, taka była dobra, jak dobrem jest zdrowie. Przechodziły przez nią burze, gniewy, ale wnet się rozpraszały. Była, jak lato. A teraz cała w jednej chmurze. Niech się pan jednak nie boi, ona to zniesie. Przyjdzie taka chwila, gdy powie: nie jestem winna nic; jeśli umarł, czy się zabił, trudno, nie przykuję się na całe życie do trupa. Przyjdzie na nią taka chwila. Wyjdzie wtedy z tej chmury, roztraçi

ją. Nie zaraz przyjdzie, ale przyjdzie. Ona od tego nie zginie. Z panem jest gorzej.

Oparła czoło na rękę.

— Z panem jest gorzej. Pan jest inny, niż ona. Nie otwiera pan piersi uczuciom, więzi je pan w sobie. Z jej piersi lecą one, jak z gniazd ptaki, siadają na drzewach, śpiewają, świergocą, a w panu są, jak orły w klatkach. Rozkrwawia panu piersi i serce dziobami, ale nie wylecą. Ona wybuchnie, rozplacze się, rozzłości, a pan nic. Pan w walce wyjmuje nóż z pochwy spokojnie, uderza pan, i spokojnie napowrót do pochwy go pan chowa. Ona, gdy uderzy, to w szale, i rozpacza, że uderzyła, jednak jej serce nigdy nie pęknie, a pan może bicia swojego nie wytrzymać.

Podniosła nagle głowę i spojrzała na niego bystro i przenikliwie. Cofnął się na krześle. Poczuł jej wzrok we wszystkich włóknach mózgu.

— Pan jest z nas — rzekła stłumionym szeptem — pan widzi. Dlatego w panu jest taka męka, takie podwójne życie, dlatego pan takie na siebie nakłada jarzmo, tak się pan terroryzuje, aby życie w panu było jedno, takie, jakiego pan chce, jakiego się pan nauczył. Bo pan jeszcze nie rozróżnia, co jest dostrzeżeniem drugiego wzroku, jeszcze pan tego nie wie. Pan widzi.

— Nie — zaprzeczył.

— Pan widzi. Są tacy, którym się zdaje, że widzą, a nie widzą nic, że mają jakieś przeczucia, a nie mają żadnych przeczuć. Opowiadają swoje sny, choć

gdy je mają, to z jedzenia mięsa, ryb, albo grzybów na noc. Dużo jest takich. Czepiają się nas strasznie. Pełni są tajemnic. Czasami nawet przepowiadają i wróżą. A są znowu tacy, którzy widzą, nic o tem nie wiedząc. Są tacy zwyczajni, systematyczni, opanowani, jak pan. Taka jest już ich struktura duchowa. I tak wśród Anglików jest dużo jasnowidzących. Czy pan nie widzi Gozmura?

— Widzę czasem jego oczy, jak oczy upiora.

— Niewiedza, że pan widzi, pana myli. Pan nie widzi jego oczów, jak oczów upiora, ale jego żywe oczy wtedy, gdy on o panu myśli i na pana w myślach spogląda. Niech pan w to wnuknie, niech pan się zastanowi. Przecież pan ten wzrok jego spostrzega nagle, rysując plany, czytając gazety, będąc od niego w myśli jak najdalej.

— Tak.

— Widzi go pan wtedy, gdy on na pana spogląda.

— Więc on żyje?

— Nie widziałby go pan tak, gdyby nie żył. Pan jeszcze jest w tym stanie, że nie wierzy pan swoim własnym oczom, bo jeszcze pan nie wie, że one widzą. Najnieszczęśliwszy jest ten stan przejściowy, najbardziej męczący. Ja wtedy byłam bardzo nieszczęśliwa.

— Jak pani uświadomiła sobie, że pani widzi?

— Myślałam, że jestem warjatką, inną, niż wszyscy, tem bardziej, że wiele rzeczy ukazywało mi się nierealnie, w symbolach. Tak jest jeszcze i teraz. Byli tacy, co mnie uważali za kłamczynię, za symulantkę, inni — że niepełna rozumu. W to

sama wierzyłam. Dopiero powoli, bez niczyjej pomocy, zrozumiałam, że posiadam właściwość widzenia. Bardzo się przedtem nacierpiałam. Nie każdego jednak uderza to tak silnie, jak mnie. Są tacy, którzy widzą i do śmierci o tem się nie dowiedzą. U pana to jest mocne. Wzrok Gozmura widzi pan wyraźnie, nie domyślając się nawet, co to jest. Powiem jednak panu prawdę, że tego daru nie życzyłabym wszystkim, i gdyby było w mojej mocy dawać go, tobym go nie dawała. Widział pan moją córkę? W niej nic takiego jeszcze się nie objawia, a ja się boję, żeby tego po mnie nie wzięła.

— Dlaczego?

— Bo z tem często łączą się inne strony, bardzo męczące. Ja na przykład, znajdując się obok człowieka, któremu coś dolega, czuję ten sam ból w sobie. Gdy mnie pytają o kogoś nieobecnego, jak się ma, a on jest chory, to ta choroba wchodzi we mnie. Przez to się o niej dowiaduję. A ludzkie upadki, złości, grzechy, tak mnie bołą, jakbym je sama popełniła. Jestem, jak to jezioro, co wszystko w sobie odbija — i drzewa co nad niem rosną, i gwiazdy, co nad niem świecą. Tylko, mój Boże, jak niedużo wśród ludzi gwiazd w porównaniu ze skorpionami, co się w mojej duszy przegładają. Jakżeż człowiek może być szczęśliwy?

W sieni głośno zastukały obtupywane z błota buty, i męskie kroki rozległy się po domu.

— Mój mąż — rzekła.

Barcic zobaczył go dopiero wieczorem, przy ko-

lacji. Z silnej i barczystej postaci Morawca przebijało zdrowe znużenie i chęć wczesnego snu. Ukradkiem spoglądał na ścienny zegar, z trudem tłumił rozszadającą mu piersi chęć ziewnięcia. Czasem, na jakieś oderwane od codziennej rzeczywistości powiedzenie Weroniki, tak wzdychał, jakby bolał nad smutkami ludzkości i tęsknił do zaświatów. Barcic powziął sympatię do tego poczciwego człowieka. Mówił mało, bo sen mgłą spływał na jego niebieskie, przejrzyste, trochę za szeroko rozstawione, wcale jednak niegłupie oczy.

Nazajutrz, gdy wstał, Morawca już nie było. Przy otwartem, mimo jesiennego chłodu, oknie Weronika smarowała masłem kromkę chleba dla stojącej przy sobie z książkami w paskach Urszulki. Obłożyła chleb białym serem, zawinęła w papier. Dziewczynka wybiegła, dygnęła Barcicowi i pomknęła ścieżką wdół, do szkoły.

XXI.

Barcic przypominał sobie opisy podróżników, którzy odkrywali wyspy nieznane, zamieszkałe przez dzikich. Istniały plemiona, patrzące apatycznie na człowieka białego, choć wylądował wśród nich po raz pierwszy, na jego ubiór i broń. Pamiętał, że, gdy czytał Cooka czy Bougainville'a, najbardziej zdumiewała go ta obojętność, ten brak wszelkiej ciekawości. Plemiona bardziej inteligentne rzucały się chciwie na kawałki czerwonej materji, szkiełka i gwoździe, z war-

tości istotnych nie zdając sobie sprawy i nie rozszerzając swoich horyzontów. Roztaczał się przed nimi przepych cywilizacji, ogromny nowy świat, a oni nie tylko z niego skorzystać, lecz nawet dostrzec go nie potrafili. Nikt nie postawił sobie pytania, czym jest w stosunku do marynarzy, przybijających do brzegu na potężnych okrętach i z strzelbami na ramieniu zapuszczających się w ląd; nikt nie spojrzał inaczej, niż dotychczas, na swoją mizerną łódeczkę i na kij, w którego koniec rozszczępiony wkładał kamień dla ciśnięcia.

Czy dziś ludzie nie patrzą w sposób podobny na Weronikę i Jaszowskiego? Czy korzyści, które chcą ciągnąć z ich daru, są czem innem, niż czerwona materja, szkiełko lub gwoździe? Nikt nie zastanawia się nad naturą ludzką i jej możliwościami, a stąd nad sobą samym. Jeżeli Weronika i Jaszowski mają wzrok podwójny, to właściwość ta, w nich zindywidualizowana, istnieje w całym ludzkim gatunku. O ile mowa nie była darem człowieka w chwili zjawienia się jego na ziemi, to w gatunku istniała, i przez to wszystkich stała się udziałem. Gdyby rozszerzenie granic zmysłowego poznania stało się, jak mowa, udziałem wszystkich, do czego doszłaby ludzkość! Do czego by doszła, gdyby granice te rozszerzała, choćby przez spotęgowane chwytty intuicyjne! W stosunku do tego, co nastąpiłoby wówczas, wszystkie nasze teraźniejsze sądy i oceny okazałyby się tak małe i naiwne, jak sądy barbarzyńców o cywilizacji. A czyż te, wyłaniające się z mroków, dostrzegalne jedynie w nielicz-

nych jednostkach, stopnie ewolucyjne ludzkiego gatunku nie należą do drabiny, której końca odgadnąć ani przeczuć nie można?

Czy on widzi? Czy w nim ujawniają się zaczątki tej właściwości? Czy Weronika się nie myli?

Gwiazdy świeciły, jezioro lśniło smugami ciemnej stali, zasuwało się cieniami i drgało łyskaniem. Na drugim brzegu konary sosen zwały się w jedną masę i ogromnym, nieprzeniknionym wałem znaczyły niedającą przestąpić się granicę. Cisza niezakłócona była i bezmierna.

Czy on widzi?

Przypomniawszy sobie wszystkie zdarzenia w swoim życiu, mogące uchodzić za objaw pozazmysłowego poznawania. Analizował je. Z pod analizy wymknęło się najważniejsze: głos ojca. Były chwile, gdy przekonany był najzupełniej, że głos słyszał; były chwile, gdy uważał to za chorobliwą halucynację. Na cmentarzu w Danowie, jakby prowadzony siłą niewidzialną, trafił do grobu. Czy ta siła nie była jednak tylko utajoną pamięcią? A czy Gozmura? Halucynacja, wspomnienie, widzenie rzeczywiste? Jak to sprawdzić, jak otrzymać dowód rzeczywisty?

Dowodów oczywistych szukał nietylko on, ale oni także, oswojeni ze swoim spostrzeganiem, przekonani o jego prawdziwości, niewątpiący, że nie było halucynacją, ani złudzeniem. Jaszowski, zapewniając o życiu Gozmura, twierdząc, że go widzi, prosił, aby mu dano znać natychmiast, gdyby ktoś doniósł, że Gozmura zwyczajnym wzrokiem zobaczył. Weronika

także zwykłą nawet okazywała ciekawość, czy potwierdzi się to, co widzi i na co patrzy. Chęć kontroli swoich widzeń przez zwykłe, wszystkim dostępne spostrzeganie, była im wspólna.

Weronika w różnych porach dnia, jak pragnął, mówiła o Gozmurze. Widziała go w pokoju zakopconym dymem tytoniowym z psem, leżącym przy progu. Widziała go idącego z psem w pola w długich butach po ziemi wilgotnej i obmokłej. Wieczorem czytał gazety; w nich zwracał głównie uwagę na ogłoszenia. Był z pewnością na wsi, zamożnej, lecz zapadłej, do miasta było daleko.

Barcic nie wiedział z tego nic.

— Nielatwa rzecz takie szukanie — mówił do niego Morawiec. — Że tak jest, jak mówi, za to panu ręczę, ale w jakim miejscu rzeczy te się dzieją, wiedzieć nie może. Niechby kto pana z zawiązanymi oczami przewiózł o kilkaset kilometrów i kazał potem powiedzieć, w jakim województwie pan się znalazł, teżby pan nie wiedział. Widziałby pan las, albo gołe pole, słowem to, coby tam było, ale nie wiedziałby pan, gdzie pan jest. Z nią tak samo. — I westchnął.

Ożeniony był z Weroniką od lat piętnastu. Miał dla niej wielki, nabożny szacunek, wiarę w jej dar, kochał ją i córkę bezgranicznie, w domu jednak przebywał mało, i Barcic miał wrażenie, że dom go męczy. Weronika, jak wszystkie średniej klasy gospodynie, zajmowała się kuchnią, cerowała skarpetki męża, znała się na wartości pieniądza, ale wszystko tak było

przy niej ściszone, jak życie w lesie, nad jeziorem. Morawcowi brak było śmiechu, podniesionego głosu, rozmów o sąsiadach z poza lasu. Gdy w niedzielę przybyła nad jezioro wycieczka z miasta, ktoś z pośród niej rzępolił na harmonijce, i w lesie rozlegały się śmiechy i nawoływania, cały dzień wśród przybyłych przesiedział. Wrócił rozmowny i wesół.

— Śliczna jesień! Wspomnieniem takiego dnia, jak dzisiejszy, to człowiek i najgorszą zimę przeżyje.

Czuć było od niego piwo, i Barcic roześmiał się. Uśmiechnęła się także Weronika. Morawiec jeszcze bardziej poweselał. Na drugi dzień wybierał się do miasta, i widać było, że chce przedłużyć rozkoszne chwile. Barcic śmiał się z niego i było mu go żal. Mąż Weroniki i żona Gauguina z wyspy Haïti — myślał. Genjalny malarz francuski wyjechał na wyspę, pojął za żonę murzynkę. Zachwycił się nią. Ona nim także, prawdopodobnie. Przy niej kobieta biała wydała mu się nędzną i marną, biedną w kolorze, jak kwiat prymulki przy kwiecie kaktusu — w linji mizerną. Ona od niego uciekła, on ją do sądu zaskarżył o kradzież młynka do kawy. Żałośnie się skończyło. Dwie różne kultury, połączone z sobą, nie dały syntezy. Morawcowie byli wzorowem małżeństwem, ale nie dali jej także, pomimo że ona nie wyłamywała się z pod zwykłego rytmu życia, a on pokornie się starał dostrajać do jej tonu. Czy byłaby jednak synteza, czy złożyłaby się harmonja, gdyby Weronika była żoną Jaszowskiego? Oboje uciekliby od siebie na pewno. A Morawiec mógłby znaleźć niejedną żonę, i równie

ją kochać, jak Weronikę, między temi dziewczynami, co dziś skakały przy harmonijce.

Mało kto zjawiał się na leśniczówce, ludzie tylko ze wsi w sprawach gospodarskich. Życie płynęło cicho, leśną ciszą. Swoisty urok miały w niej książki, które Barcic znalazł w pokoju dla siebie przeznaczonym. Stare, w czarnych płóciennych oprawach, roczniki „Kłósów”, także dodatki powieściowe, jak Jokay’a „Aż do śmierci”, jak jakiś romans, z angielskiego tłumaczony, na tle insurekcji irlandzkiej osnuty, którego bohater miał przy sobie wiernego murzyna z odciętym przez Anglików językiem. Był także „Alkhadar” Chojeckiego, była w polskim tłumaczeniu historia powszechna Weltera, i wydawnictwa „Mrówki”. Kładąc się, przeglądał te rzeczy miłe w swej naiwności, promieniujące wspomnieniami, przez nikogo niebrane już do ręki, pocieszne jak turnjury i krenoliny, i czuł się jak dziecko, któremu stara piastunka opowiada bajki do snu.

Ważną osobą w leśniczówce był pies, czarny, kudłaty kundel. Gdy spał skulony, a usłyszał obce kroki, podnosił łeb i słuchał, poczem przekonany, że nie ma nic niepokojącego, drzemał dalej. Wieczorem sam obchodził dom, wybiegał na ścieżkę, zaszczekał, jakby ostrzegając kogoś, że jest, i wracał do sieni na swoje posłanie. Drugi, wyżeł, nie odstępował Morawca. Gdy wieczorem Morawiec opowiadał, co działo się w lesie, uderzał potakująco ogonem o podłogę i spoglądał po obecnych, jakby zapytując, czy zdają sobie sprawę z ważności wydarzeń.

Weronika nie ustawała w poszukiwaniach Gozmura. Gdy go widziała jednego dnia, na drugi dzień o tej samej porze sprawdzała swoje widzenie. Czekali, czy w wizjach nie wypłynie jakiś nowy szczegół, który pozwoli choć w przybliżeniu określić miejsce jego pobytu. Gdy działo się to wieczorem, Morawiec zostawał z nimi i słuchał.

— Okolica wilgotna? — pytał.

— Wilgotna. Widzę bajora.

— Polesie — rzekł.

Barcicowi ręka zadrżała przy notowaniu. — „Polesie?” — pisał, stawiając znak zapytania.

— Może — szepnęła.

— Błot i bajor w Polsce jest dużo — zastanowił się Morawiec — lecz z tego, co mówisz, przypuszczam, że jest na Polesiu.

— Niech pan nie poddaje — przelął się Barcic.

Obawiał się, posiadając już trochę doświadczenia, że jasnowidząca ulegnie sugestji i obrazy swoje spłącze z obrazami Morawca. Płynęły przez nią dwie fale. Jedna, jej własnych odczuć, i druga zwykłych obserwacji, przypuszczeń i wnioskowań. Zdarzały się, że nie rozróżniała dostatecznie między niemi, że jedną brała za drugą, zwłaszcza, gdy ktoś, jak Morawiec, określał widziany przez nią obraz. Jej właściwość psychiczną raczej była, niż fizyczną. Widzenia niezawsze jednakowo były wyraźne. Czasem widziała, jak przez mgłę, czasem nie widziała wcale. Łatwo było oddziaływać na nią, swoje przypuszczenia w nią wprowadzić.

— Ja zapisałem Polesie — Barcic pokazał notes. — To jednak powiedział pan Morawiec, nie pani. Dlatego postawiłem znak zapytania. Czy można sprawdzić? Czy może pani przenieść się na Polesie i sprawdzić, czy jest to istotnie ta okolica, którą pani widzi, patrząc na Gozmura?

— Spróbuję.

Rysy jej na chwilę zastygły.

— Nie, to chyba nie Polesie. Na Polesiu pejzaż inny. Wody wiele. Tu widzę poprostu błoto na drodze, bajoro koło lasu.

— Widzi pan — Barcic zwrócił się z wyrzutem do Morawca. — Pan wyobraził sobie Polesie, i pani wyobrażenie pana zobaczy. Jaki tam jest strój ludowy? Znowu zasłoniła oczy. Bładła coraz bardziej.

— Pani jest zmęczona — rzekł Barcic. — Skończy.

— Nie jestem zmęczona — opierała się.

— Zmęczona jesteś — wziął stronę Barcica Morawiec. — Ciebie to jednak strasznie wyczerpuje.

I znowu Barcic nic nie wiedział.

Chciał odjeżdżać, myśląc, że na podstawie otrzymanych szczegółów skieruje skuteczniej poszukiwania policji, ale zatrzymała go.

— Niech pan jeszcze zostanie. Może nam się uda. Nie trzeba się zniechęcać.

Chciała dopiąć celu, nietylko aby oddać przysługę Barcicowi, lecz także dlatego, że miała swoje ambicje. Wtedy Morawiec opowiadał o widzeniach, które się sprawdziły. Miał je spisane. Przyniósł gruby,

w skórę oprawny zeszyt. Na okładce złotymi literami wypisane było: Widzenia Weroniki Morawiec.

— Ona nigdy niczego nie zapisze, wszystko mogłoby zginąć. Ja za nią to robię. Przecież to ma wielkie znaczenie dla ludzkości!

— Kiedy to nie jest zupełnie dokładnie spisane — rzekła. — i nie wszystko. Raz zapiszesz, raz nie. Nie zapisujesz odrazu. Mnie się zdaje, że nie wszystko jest zapisane tak, jak było.

— Wszystko tak, jak było, tylko ty nie pamiętasz. Powiesz i zapomnisz. Ja zaś pamiętam doskonale. Na pewno nigdy się nie omylę. Tu są rzeczy nadzwyczajne. Niechno pan posłucha.

— Nie czytaj nic z tego, czego nie można sprawdzić, bardzo cię proszę.

Westchnął i niechętnie przewracał karty. W zeszyt wklejone były listy od osób, świadczących, że sprawdziło się to, co mówiła. Pod niektórymi relacjami widniały podpisy świadków. Były też artykułiki z pism prowincjonalnych. Te ją drażniły, wołałaby, aby zostały zniszczone, Morawiec jednak niczego tknąć nie pozwolił.

— Wszystko musi być zachowane, wszystko ma swoje znaczenie, nieprawda, panie inżynierze?

— Niech mi kto wytłumaczy — mówił do Barcica, gdy zostali sami — że ja, człowiek zwykły, taką kobietę pojąłem za żonę. W tem jednak musi coś być. Gdybym był zupełnie pospolity, toby to się nie stało.

— Pan nie jest człowiekiem pospolitym.

— Jestem, panie inżynierze, jestem.

— Sam pan przecież powiedział, że gdyby pan był człowiekiem pospolitym...

— Coś musi we mnie być, naturalnie. Nie jestem widać pospolitym duchowo, pod innemi jednak względami nie odbiegam od typu przeciętnego. Ani wykształcenia wielkiego nie posiadam, ani wielkich aspiracji. Jestem materialny, a ona... samo światło! Pan dobrze wie. O nic nie dba, co ziemskie. Zje byle co, ubierze się byle jak. Na niczem jej nie zależy. Jednak drugiego rozumie, i to właśnie uważam za nadzwyczajne. Wiele takich rzeczy drobnych, o których długo byłoby mówić. Dziecko wdało się trochę we mnie, trochę w nią.

Barcic się śmiał, ale bez ironji. Morawiec nie był tak przeciętny, za jakiego się podawał. Był jak niektórzy z tych dzikich, co przywiązują się do człowieka białego, gdy ten z czem innem do nich przychodzi, niż z wódką i batem.

— Jakże to się dzieje — mówił Barcic, idąc z Weroniką brzegiem jeziora — że wśród ludzi są indywidualności tak psychicznie odrębne, jakby do różnych należały gatunków? Jasnowidze, artyści, a obok nich, społeczeństwo, ograniczoność niemal zwierzęca.

— Ludzie są, jak ziemia — odparła. — Jest na niej czarnoziem, jest i suchy piasek. Jedna jest ludzkość i jedna ziemia, lecz jakości są różne i klimat niejednaki.

— Czy porównanie trafne? — zamyślił się. — Czy raczej w różnorodności ludzkiej nie rysuje się proces ewolucyjny? Wyobrażam to sobie tak. Olbrzy-

mie tłumy wstępują na ogromną górę, i gdy jedni dochodzą już do szczytu, drudzy, upadając ze znużenia, są dopiero w połowie drogi, a inni jeszcze na samym dole. Wszyscy jednak zdążają w jednym kierunku, i ci, którzy są na dole, dojdą kiedyś, choć bardzo późno, tak jak doszli ci, co pierwsi stanęli u celu. Pani, Jaszowski—to może przyszła ludzkość, gdy wszyscy będą mieli wasz dar, waszą intuicję. Kiedy o tem myśle, kiedy obserwuję nieliczne grono moich znajomych i przypominam sobie tych, których znałem zagranicą, zdaje mi się, że w teraźniejszości rysuje się przeszłość i przyszłość. Ba, wszystkie szczeble wdół i wszystkie szczeble wgórę. Widać ludzi, którzy powierzchownie tylko różnią się od człowieka pierwotnego, i takich, od których różnić się nie będzie człowiek przyszły. Są typy z odległej starożytności i typ z epoki feudalnej. Każdy okres historii ma chyba swoich żyjących reprezentantów. I tak musi być zawsze. Zawsze cała ewolucja jest rozwinięta, jak wachlarz. Od początku do końca wszystko widoczne, nic tajnego.

— Czyż może kiedy nastąpić taka jednostajność, czy takie zharmonizowanie się ludzkości, aby istniał wśród niej tylko typ intuicyjny? — spytała.

— Jednostajność nie byłaby większą, mniejszą nawet, coraz to mniejszą. W miarę rozwoju jednostajność się zmniejsza, a zwiększa indywidualizacja. Mamy właściwości wspólne, jak mowę, możemy mieć nową właściwość wspólną, tę, którą posiada pani. A różnice wciążby się tworzyły, i wciąż jedni byliby na górze, a inni na dole.

— Takby się chciało ulżyć tym, co są na dole, podać im rękę — westchnęła.

— Czyż to możliwe? Któż ma rękę tak długą, aby ją wyciągnąć ze szczytów góry na nizinę?

— Pan zbyt materialnie tworzy obrazy. Całego człowieka widzi pan w górze i całego w dole, tymczasem każdy z nas jest zarazem i na dole, i na górze. Nas uważa pan za najwyżej stojących? A przecież to wśród nas największe są upadki. Jesteśmy tropikalnym klimatem ludzkości. W tropikalnym klimacie nie tylko istnieje wspaniała flora, ale i ohydne w niej gady.

— Hop! hop! — rozległo się od leśniczówki.

— Mój mąż woła. Chodźmy, coś się stało.

— Hop! Hop!

Przyśpieszyli kroku i ujrzeli Morawca, idącego naprzeciw.

— Depesza do pana! — wołał zdala.

Barcic otworzył depeszę: „Rukiewicz umarł. (— Kądzielewski”.

Zachwiał się na nogach. Rukiewicz umarł. Kiedy? Dziesięć dni zaledwie upłynęło, jak go widział.

— Umarł ktoś panu bliski?—spytała Weronika.

— Tak. Kiedy odchodzi pierwszy pociąg? — zwrócił się do Morawca.

Pociąg odchodzi za godzinę. Czasu było tyle, aby wziąć walizkę i iść na stację. Odprowadzili go oboje, i Weronika, podając mu rękę, rzekła:

— Niech pan wie, że Bóg nigdy nie daje człowiekowi krzyża za ciężkiego, którego by on unieść nie

zdołał. Głazy, które człowieka druzgocą, rzuca na niego tylko inny człowiek.

W Warszawie nie zastał już Kądzielewskich, ani Anny, pozostawili zawiadomienie, że pojechali na pogrzeb do Bukowa. Zatelegrafował do Gomulskiego po konie i udał się w drogę natychmiast.

XXII.

Na stacji czekał Kądzielewski.

— Jak to się stało? Kiedy umarł? — spytał go Barcic.

— Po powrocie z Warszawy rozchorował się. Zaziębił się widać. Zapalenie płuc. Zdmuchnęło go. My tu jesteśmy od wczoraj, moja żona i Anna. Czekamy na pana z pogrzebem.

— Kiedy pogrzeb?

— Jutro.

— Jest kto w Bukowie prócz państwa?

— Nikogo. Dojeżdża Kubarski. On wszystkiem się zajmuje. Nieoceniony człowiek, bez niego stracilibyśmy głowę. Ogłosił nekrolog w pismach — nie widział pan? Nikt się nie zjawił. Rukiewicz żył sam, zapomniani.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, coś ciążyło mu na języku. Szedł do powozu zamyślony. Przystanął.

— Chyba powinienem panu tę rzecz zdradzić. Nie chcę mówić w drodze, żeby stangret nie słyszał. Buków należy do pana.

— Do mnie? ?

— Panu wszystko zapisał. Gomulski zna testament.

— Co pan mówi?!

— Tak jest. Wszystko panu zapisał.

— Ja tego nie przyjmę!

— Dlaczego? Najwięcej widać miał do pana zaufania, że pan spuścizny po nim nie zmarnuje. Zresztą nie wolno tego odrzucać. Wola umarłych jest święta.

Ruszyli. Barcic milczał całą drogę. Rukiewicz zapisał mu majątek! Dlaczego? Że nikogo nie miał, nie było powodem, aby jego naznaczył swoim spadkobiercą. Widząc się raz ostatni, rozstali się chłodno. I nigdy z nim nie był w stosunkach do tego stopnia serdecznych.

— Spowiadał się? — spytał, gdy wjeżdżali w bramę.

— Spowiadał się. Umarł zupełnie przytomnie.

— Zmarło się panu Rukiewiczowi, panie inżynierze — powitał go Gomulski.

Był w czarnym, długim surducie i czarnej krawatce, która zdawała się go dusić.

— Niechże go pan zobaczy. Leży w salonie. Ja mu oczy zamknąłem.

W trumnie, na katafalku, przy palących się świecach, spoczywał snem wiecznym Rukiewicz, nakryty czarnym całunem, tak, że widać było tylko lakierki, naciągnięte, jakby na stopy z drzewa, białą krawatkę i kawałek gorsu.

— Ubraliśmy go we frak według jego woli. Powiedział, że chce leżeć we fraku.

Siwa głowa Rukiewicza zastygła w surowym spokoju. Z twarzy znikł żywy, uprzejmy uśmiech, rysy się wyostriły, były jakby toczone w kamieniu. Broda porosła, nadając twarzy większy jeszcze wyraz obcości.

Kądzielewski i Gomulski wysunęli się na palcach i pozostawili Barcica samego. Wtedy ukląkł przy trumnie.

Wychodząc, spotkał Gomulskiego, ujął go pod ramię i zaprowadził do swojego dawnego pokoju.

— Niech mi pan powie, jak umarł.

— Zapalenie płuc. Doktor przyjechał, lecz nie było ratunku. Za wiekowi był, żeby przetrzymać. Wiedział, że umiera. Gdy posłałem po doktora, tylko się uśmiechnął i powiedział: „Poślij po księdza”. W ostatnich dniach „ty” do mnie mówił. Napisał testament... pan inżynier wie?

— Wiem.

— Pan Kądzielewski powiedział?

— Tak.

— Kazał rozpalić w piecu, z biurka z jednej szuflady wyjąć wszystkie papiery i spalić. W tej samej szufladzie leży zapieczętowany testament.

— Jakże tam były papiery?

— Jakieś listy. Patrzył, jak się palą, i uważał, żeby nie został najmniejszy skrawek. Popiół mi jeszcze rozrzucić kazał, żeby nic nie zostało widoczne. Potem uściśnął mnie, pocałował, a kiedy ryczeć za-

cząłem, powiedział: „Nie martw się, zwyczajna rzecz. Może niedługo się zobaczymy, a może nie — bo ja wiem!” — On już taki był.

— Mnie nic powiedzieć nie kazał?

— Nic.

— Nie powiedział, kogo należy zawiadomić o śmierci?

— Nie. Ani słowa. Ostatnie tylko wydał zarządzenia. Chcę być pochowany we fraku, w Danowie. Na grobie ma być płyta kamienna ze zwyczajnym napisem, tak, aby wiadano, kto pod nią spoczywa.

Dom był pełny śmierci. Nikomu słowa nie szły na usta. Barcic nic Annie nie mówił o Weronice, i ona go nie pytała. Kubarski odjechał wieczorem i powrócił na drugi dzień, gdy już trumnę wynoszono ze dworu. Nadciągnęli chłopci z Bukowa, Małek, Gwizdowa, ludzie z miasteczka. Pochód pogrzebowy, zawodząc pieśń żałobną, pociągnął na cmentarz.

Barcic nie wszedł do powozu, szedł za trumną z Kądzielewskim i Gomulskim. Przypomniawszy sobie pogrzeb ojca. Tak samo, w tym samym miejscu, przed bramą, zatrzymał się krzyż, chorągwie kościelne, ksiądz, tak samo zaludnił się cmentarz. Spuszczono cicho do ziemi trumnę Rukiewicza, i wtedy zachlipało kilka wiejskich kobiet.

Gdy po ostatniej modlitwie już miano się rozchodzić, nad grobem stanął Kubarski.

— Wszyscy tu zebrani, przyjaciele i znajomi zmarłego! — zaczął.

Barcic ścierpl. Jakiem on prawem ośmiela się mówić! Na twarzy Kądzielewskiego odmalował się pewien niesmak.

A Kubarski powiódł oczami po tłumie i spokojnym a donośnym głosem opowiadać począł życie zmarłego. Mimo całej niechęci, Barcic słuchał coraz uważniej.

— ...Jeśli poważylem się zabrać głos nad tą trumną, to nie dlatego, abym uważał się za godnego mówić o ś. p. Rukiewiczu, ale aby w imieniu ludzi pospolitych oddać mu ostatni hołd. Ludzi pospolitych, powtarzam, takich, którzy w tej chwili najlepiej czują, że odszedł człowiek zupełnie od nich inny, i dlatego żałują go najbardziej. Za jego życia niejednen sobie mówił — niechbym miał jego majątek, pokazałbym, co ja znaczę! Albo — na jego miejscu potrafiłbym użyć! Albo — gdybym był taki, jak on, to przynajmniej wiedzianoby, co ja robię! A on tak o swoich czynach nic nie mówił, tak nigdy się nie pochwałił, że je zapominano, że można było myśleć, jakoby ich wcale nie było. Ale ja, co wszystko wiem, przypomnę, jak to za rosyjskich czasów tajną szkołę w swoim dworze utrzymywał, dzięki której niejednen z was dzisiaj czytać i pisać umie. Iluż to chłopaków na naukę rzemiosła do miasta posłał, a niejednemu i warsztat założył. Jak za okupacji niemieckiej wszystkim się dzielił, choć i jemu wtenczas się nie przelewało. Na oko wielki pan, od wszystkich trzymający się zdala, ale najbiedniejsi wiedzą, że o przystęp do niego nie było trudno. Na oko żył tak, jakby

dbał tylko o siebie, jakby mu wszystko było obojętne, — taki miał dziwny sposób udawania, — ale gdy ktoś z sekwestratorem miał ambarasy, gdy z jakiegoś powodu kaucję musiał złożyć, do niego szedł jak w dym i nigdy nie odszedł bez pomocy. Moi ludzie! W Bukowie i sąsiedztwie biedy niema, takiej, jaką ja tu jeszcze pamiętam, owszem, zamożność nawet niejaka panuje. Zapytajcie wy teraz siebie, kto do tego się przyczynił, czyja w tem jest niemała zasługa? Jak jednemu i drugiemu, trzeciemu i dziesiątemu bydło na przednówku przeżywił, jak jednemu, trzeciemu i dziesiątemu zboże na zasiew dał, drzewo na chałupę, gdy się spaliła; to ludzie biedę dźwigali i powoli otrząsali ją sobie z ramion. Niejednen, co przez nie-szczęście z torbamiby poszedł, dzięki ś. p. Rukiewiczowi zamożnym gospodarzem został. Dlaczego to robił? Nie dla pochwały, nie dla wdzięczności, nie dla podziwu, tylko przez tę swoją niepospolitość, co go od wszystkich wyodrębniała. Najlepszy człowiek lubi, gdy za to dobre, które czyni, okazuje mu się cześć — i nie jest to grzech, ani wada. A on taki miał charakter, że nietylko o tę cześć nie dbał, ale jej nie chciał. On tylko uważał, żeby mógł sam siebie szanować, i to mu za wszystkie szacunki wystarczało! Czyni jego były znaczne, a on był niewidoczny, nikogo swojemi czynami nie ugniatał. Lekko od niego było brać, bo lekko dawał!

— Ślicznie Kubarski powiedział! Ktoby się spodziewał! — dziwił się Gomulski, wracając w jednym powozie z Barcicem do Bukowa. — Świętą powiedział

prawdę. Nieboszczyk taki był. A Kubarski jeszcze nie wszystko wie. Gdy w „Kurjerze” wyczytał o jakiejś wielkiej nędzy, zawsze posłał, i tyle, żeby pomoc była prawdziwa, i zawsze bezimiennie. Nie inaczej, tylko bezimiennie. A słów wielkich nie lubił. Gdy ktoś przy nim mówił takie słowa, jak szlachetność, ofiara, no bo ja wiem, co tam jeszcze, to tak zadrwił, że aż robiło się nieprzyjemnie. Dlatego i od ludzi trzymał się zdaleka, bo teraz przy byle czem największych słów się używa. On lubił dobrą muzykę, panie inżynierze.

— Jak to Kubarski potrafił ocenić? — zastanowił się Barcic.

— Najlepiej człowiek ocenia to, czego mu brak. Nie można zresztą powiedzieć, aby Kubarski był najgorszy. Ludzie więcej o nim gadają, niż jest. Pan Rukiewicz miał go za ostatniego gałgana, ale, raczej z niego się śmiał, niż go niecierpiał. Kubarski ma też różne fanaberje. Raz za te swoje posługi ostatnią skórę z chłopca zedrze, a drugi raz wszystko zrobi za darmo, i od ostatnich zwymyśla, gdy go spytać, co mu się należy.

Barcic nie pozostał w Bukowie. Nie czekał na otwarcie testamentu. Wrócił pierwszym pociągciem. O Gozmurze z nikim nie mówił. Pod wpływem wiadomości o śmierci Rukiewicza, niespodziewanej wiadomości o spadku, zatarły w nim się wrażenia rozmów z Weroniką. Zawodowa jego praca zalegała. przez nią chciał doprowadzić myśli do porządku, odzyskać spokój nerwów. Zaledwie przyszedł do biura, powiedziano mu, że czeka na niego jakiś człowiek,

który już był kilkakrotnie i ciągle o niego dopytuje. Kazał go prosić.

— Czem mogę panu służyć?

Spojrzał na niskiego, łysawego człeczynę o dobrotliwej wygolonej twarzy, w szarej marynarce, złotych butach, ze szpilką w krawacie, wyobrażającą sfinksa. Człeczyna skłonił się z bolesnym uśmiechem i powiedział swoje nazwisko: Wisiolek.

— Niech pan siada, proszę — rzekł Barcic.

— Ja do pana inżyniera w kwestji, której zrozumienie wymaga odpowiedniego stanu duchowego. Jeżeli pan nie jest w tej chwili usposobiony, to proszę naznaczyć mi czas i miejsce, choć wolałbym odrazu pana wtajemniczyć.

— Niechże pan mówi odrazu — zaciekał się Barcic.

— Ja w sprawie ś. p. Gozmura.

— Co?! — Barcic zerwał się z krzesła.

— Niech pan wysłucha spokojnie — rzekł z wielką powagą, namaszczonego głosem, Wisiolek. — Śmierć jest tylko transformacją, i na wieść o niej nie wolno tak się przerażać.

— Skąd pan wie, że Gozmur umarł?!

— Niech pan się opanuje. W takim stanie, jaki teraz w panu widzę, niczego wyjawiać mi nie wolno.

— Niechże pan mówi. Słucham.

Usiadł, zaciskając zęby.

Wisiolek ogarnął go głębokiem spojrzeniem.

— Gdy fakt zaginięcia ś. p. Gozmura doszedł do mojej wiadomości, postanowiłem nim się zająć. Po-
czułem, że nie został on mi oznajmiony nadaremnie.

— Pan jest detektyw?

— Nie — uśmiechnął się boleśnie.

— A co?

— Od wielu lat zajmuję się jasnowidztwem i medjumizmem. Gromadzą się koło mnie istoty wybrane, wśród nich potężniejsze od Jaszowskiego. Wiem, że Jaszowski zajmował się tą sprawą, ale Jaszowski nie ma wielkiej siły, bo błądzi.

— Każdy człowiek błądzi.

— On duchem błądzi. A ten, co duchem błądzi, choćby nawet należał do wyższej sfery, prawdy zobaczyć nie może. Udałem się do pani Gozmurowej. Zaufała mi.

— I co dalej?

— Otrzymałem od niej część szaty ś. p. jej męża.

— Dlaczego pan mówi świętej pamięci?

— Bo nie żyje.

— Skąd pan wie, że nie żyje?

— Niechże pan słucha — dotknął palcami kolan Barcica. — Rozpoczęliśmy seans. Gozmur nam się ukazał.

— Gozmur wam?

— Pan inżynier nie wierzy? Jednak tak jest. Ukazał się i opowiedział wszystko.

— Mianowicie?

— Swoją los. To, co się z nim stało, musiało stać się tego dnia i tej godziny. Przedtem czuł wielki niepokój, duszność. Musiał wyjść. Było to nad ranem. Duży dom w ogrodzie, niedaleko stawu.

— Tak — potwierdził Barcic.

— Naturalnie że tak. Gdy tylko opuścił dom, stanął przy nim duch, który opiekował się nim w tej strasznej chwili i towarzyszył mu do końca. Duch ten był poto, aby po wypadku, który miał nastąpić, Gozmur nie zdezorientował się w nowych warunkach istnienia.

Barcicowi źle błysnęły oczy. Już, już, miał chwycić za kark Wisiorka, pchnąć go w drzwi i zrzucić ze wszystkich schodów, ale opanował się i słuchał.

— Gozmur siedł brzegiem tego stawu w stronę lasu...

Skąd on wie, że tam jest las, czy tam był? — myślał Barcic.

— Idąc, spotkał rudego człowieka, którego musiał spotkać tego dnia i o tej godzinie. Człowiek ten siedł z siekierą do lasu. Wynikła między nimi sprzeczka, Gozmur nie wyjawiał nam o co, powiedział tylko, że wynikła sprzeczka, w czasie której ten rudy człowiek uderzył go siekierą w ciemność. Zabił na miejscu. Wtedy przeraził się. Nie rozumiał, jak to uczynił. Nie zamierzał zabijać. W sprzeczce odeszła od niego przytomność, uderzył niepo czytanie. Musiało tak się stać, bo to był los. Stał nad trupem, przerażony, co uczynił. Naokół było pusto. Wtedy wykopał dół...

— Siekierą?

— Nie, panie inżynierze. Pobiegł do domu. On mieszka niedaleko, w ceglanym domu. Przyniósł szpadel, wykopał dół, zasypał, zatarł ślady krwi. Gozmur

powiedział nam, gdzie spoczywa. Gdy idzie się w głąb lasu od stawu, niedaleko pierwszej polanki — leżą tam sagi drzewa — powiedział, że trafić bardzo łatwo, że gdy tam się przyjdzie, to zaraz miejsce to można spostrzec. Wpobliżu pierwszej polanki, koło sagów, bliżej panu inżynierowi określić nie potrafię. Prosił, żeby zabójcy nie poszukiwać. I tak ukarany zostanie. Powiedział też, że ciało jego się znajdzie. Długo został z nami. Chciałem dawno do was przyjść — mówił — abyście dali znać mojej żonie, ale nie mogłem odrazu odejść od nowych warunków istnienia. Powiedzcie jej, że mi jest dobrze, że pracuję dla siebie i innych. — Nie poszedłem z tem jednak do pani Gozmurowej. Wiedząc, że pan inżynier tą sprawą się zajmuje, postanowiłem najpierw pana powiadomić.

— Dobrze pan zrobił, ale skąd pan wie, że ja tą sprawą się zajmuję?

— Nie mogę zdradzić osoby, która mnie powiadomiła, niech więc pan inżynier nie pyta.

— Czy medjumizm jest pańską wyłączną specjalnością, czy pan jeszcze czem innem się zajmuje?

— Jestem zajęty w składzie futer. Pan inżynier dziwi się, że zawód mój jest tak pospolity. Niema pospolitych zawodów. Każdyznaczony jest zgóry i jest misją. Najmniejszy. Niekoniecznie misją w stosunku do bliźnich albo do ludzkości, ale zawsze misją w stosunku do siebie. Przygotowany on już jest za życia poprzedniego. Każdy z nas zarabia sobie na

stanowisko i takie otrzyma, na jakie sobie zarobi. Ja byłem czem innem. Ostatnio byłem złotnikiem w Amsterdamie.

— Kiedy?

— Za ostatniego mego pobytu na tej ziemi.

— Warjat!! — przebiegło przez myśl Barcica.

Wisiołek odgadł jego myśl i uśmiechnął się po-błażliwie.

— Pan inżynier podejrzewa mnie, że jestem choroby umysłowo. W ludziach, gdy słyszą najzwyczajniejsze rzeczy, zawsze budzą się takie podejrzenia, zupełnie zaś nie dziwią się, gdy im się mówi rzeczy nieprawdopodobne. Niech pan wyzwoli się na chwilę z zabobonów, a nic nie dostrzeże pan niezwykłego w tem, że za ostatniego żywota byłem złotnikiem w Amsterdamie. Jest pan niewolnikiem nawyknięcia umysłowego, które panu nie pozwala uwierzyć, aby duch wcielał się kilkakroć na tej ziemi. Gdyby pan miał przeciwny nawyk umysłowy, to uznałby pan za warjata tego, ktoby powiedział, że wszyscy, jak tu jesteśmy, urodziliśmy się po raz pierwszy. Ja wiem, że urodziłem się nie po raz pierwszy, bo dawne moje żywoty zostały mi odkryte. Długo nikomu o tem nie mówiłem, żeby mnie nie uważano za ekscentryka, powoli jednak tak się z mojemi dawnemi istnieniami oswoiłem, że prosto mówię te rzeczy, które stały się dla mnie proste. Czyż bardzo wielu znakomitych myślicieli nie twierdziło tego samego, i czyż pan ma ich z tego powodu za warjatów? Nietylko mówili, ale i pisali, głosili całemu światu. Ja pewien czas, choć na-

pozór moje studia do tego mnie nie predystynowały, zajmowałem się mistyką.

— Jakież pan ma studia?

— Prawne.

— Pan jest prawnikiem?

— Skończyłem wydział prawny.

— I dla czegoż pan pracuje w składzie futer?

— Ano widzi pan inżynier.

— Nie będę oceniał pańskich wierzeń — rzekł

Barcic — jednak muszę panu powiedzieć, że pan się myli, jakoby Gozmur nie żył. Gozmur żyje.

— Bardzobym pragnął, jednak ja się nie mylę.

— W każdym razie dziękuję panu, że pan się trudził. Nie chciałbym, aby ten trud był dla pana nadaremny. — Sięgnął do pugilaresu.

Wisiołek zaczerwienił się.

— Niech pan nie wynagradza mnie w sposób niewłaściwy — rzekł łagodnie. — Ja spełniam wyższy obowiązek.

— Nie chciałem pana urazić, jeżeli to uczyniłem, przepraszam. A gdzie pan mieszka?

Wisiołek podał swój adres, skłonił się i wyszedł. Barcic czuł męt w sobie i koło siebie. Naturalnie, że mówił z warjatem. A nuż — jakby go tknęło — została popełniona zbrodnia, o której ten człowiek wie, i w ten sposób o niej zawiadamia. Czy się jednak pod tem coś nie kryje? — Co mu znowu do głowy przychodzi! Wszystkie odtwarzał sobie szczegóły. Abstrahując od widzeń Jaszowskiego i Weroniki, zwykle

ludzkie dedukcje prowadziły do jednego, że Gozmur uciekł z domu. Kim jednak jest ten Wisiołek? Zatelefonował do Jaszowskiego.

— Chciałem pana zapytać, czy nie zna pan, albo czy pan nie słyszał o jakimś Wisiorcu, który pracuje w składzie futer i zajmuje się medjumizmem?

— Słyszałem od pani Gozmurowej.

— Widział pan panią Gozmurową?

— Była u mnie podczas pańskiej nieobecności, właśnie aby o tego Wisiorca się dowiedzieć. Ja go jednak nie znam i nic o nim nie słyszałem.

— W tej chwili wyszedł ode mnie. Niech pan posłucha... halo!... niech pan posłucha, co mi naopowiadał. Gozmur nie żyje, został zabity w lesie nad stawem przez rudego człowieka.

— Bajki!

— Oczywiście, że bajki, skąd on jednak wie, że tam jest staw i las?

— Albo tam był, albo szczęśliwie zmyślił, albo, co jest najprawdopodobniejsze, ma jakieś histeryczne medjum, które coś spostrzeże i resztę sobie dokomponuje. Niech się pan nie niepokoi. Głupstwo! Czy pani Gozmurowa jeszcze nie wróciła?

— Jeszcze nie. Powinna wrócić lada dzień.

Powrócił do pracy. Siłą woli wprowadzał w siebie spokój, ciszył myśli o jasnowidzeniach, medjach, przepowiedniach. Kłębiły się, szarpały, brały górę nad wolą.

Co dzieje się w tej Warszawie? Co za istoty gromadzą się koło takiego Wisiorca i w chorobliwych

transach snują kryminalne brednie? Jaki błogi ten Wisiorek, jaki namaszczone! Biedne człowieczysko. A, zresztą, lichy go wie! Takiego indywiduum ani określić, ani ocenić nie można. Mówi jak warjat albo półgłówek, a ani warjat, ani półgłówek. Wykolejeniec? Zdeklasowany prawnik? W mojem przekonaniu, nie w swoim. Zbierają się przecież koło niego wyższe istoty — tak powiedział! Więc to cała kompanja istot wyższych, zapadających w stany, w których zwidują się im duchy. A pomiędzy niemi ślania się ten Wisiorek, subjekt ze składu futer, złotnik amsterdamski, może z jakiegoś wcielenia egipski faraon! Te wyższe istoty, z duchami pozostające w zażyłości, tak samo rozpamiętują swoje przeszłe żywoty. Co za stan takich ludzi, co za zarazę siać muszą. Znać ją w Warszawie. Gdybym żył w średniowieczu, paliłbym takich. Na stos. Ach, ja to rozumiem. Powiedział Rukiewicz, że duszę mam średniowieczną. Może. Powiniennem wstąpić do zakonu. Wstąpić do zakonu, albo zamknąć się szczelnie w swoim zawodzie, nie pozwalać na rozwijanie się w sobie właściwości, które, że mam, spostrzega Weronika. Gdy w człowieku one się przejawiają, to albo powinien je stłumić, zaabić, albo poddać się żelaznej dyscyplinie, zakonnej dyscyplinie. To, czego się dotknąłem, co może i we mnie jest, ma swoje szczyty i swoje podziemia. Aby w podziemia nie wpaść, trzeba mieć głowę jasną, jak latarnię, serce płonące, jak ogień, a czyste, jak śnieg.

XXIII.

Minęła zima. W domu Kądzielewskich uczyniło się przestronniej: Hela wyszła zamaż, przez dom nie przewijali się Bulewiczowie, których Anna znosić już nie mogła, ani stary Gostomski, który ją mierzył swoją pokorą. Nie cierpiała mężczyzn kopniętych, połamanych, rozgoryczonych i niedołężnych. Zdrowa natura budziła się w niej i pchała do życia.

Żyć! Zapomnieć o wszystkim, przestać myśleć o tem, co było. Podnosiła się, jak z ciężkiej choroby, otrząsała z siebie żal do Gozmura, pragnąc tylko, aby przestał istnieć w jej życiu i w jej pamięci. Ani go nie szukać, ani nie wiedzieć, co z nim się stało!

Wróciła wieczorem z długiego spaceru i zastała Kądzielewską nad pasjensem. Wiedziała już, co Kądzielewska sobie założyła. Albo czy będzie miała wnuka, czy wnuczkę, albo czy Gozmur się odnajdzie. Zwarjować można!

Poszła do swego pokoju i otworzyła okno. Przyglądała się ruchowi ulicznemu. Każdy z przechodniów miał swój dom, swój kąt, swoje miejsce na świecie. Każdy coś robił, miał swój cel, realne troski i zadowolenia. A jej życie stało się nierealne, bardziej nierealne, niż w Małkach z Gozmurem. Nie miała domu. Jak długo mieszkać będzie u Kądzielewskich? Do śmierci? Może nigdy nie dowie się, czy jest mężatką, czy wdową. Na pewno nigdy.

Miłość do Barcica przemieniła się w niej w bardzo gorące uczucie przyjaźni, życiaby jednak z nim nie zaczęła, nawet, gdyby Gozmur nie żył. Skończyło się wszystko. Barcic cudowny człowiek, lecz ciągnie za sobą cień Gozmura. Przy nim widziałyby Gozmura zawsze, nie miałyby jednego promienia wesela, jednego dnia wiosny.

Co począć!

Kądzielewski wrócił z biura, Tadzik po kolacji przeszedł do siebie, i wieczór płynął rozmową o Heli i Witoldzie. Gorzej, niż Małki.

Spodziewała się dziś Jaszowskiego, i jak zawsze, Barcica. Bardziej Jaszowskiego, niż Barcica, wyczekiwała. Nigdy nie wspominał o Gozmurze. Któregoś dnia stanowczo odmówił wypatrywania go i dawania o nim wieści. Bardzo dziwny człowiek.

Barcic ma zaledwie jakieś przeczucia i grzęźnie przez nie w fantasmagorjach, zawieszony ciągle nad swoim i cudzem sumieniem, a on, przy niebywałym darze jasnowidztwa, pełen jest humoru i takiej milej zwyczajności. Lubi mówić o rzeczach podziennych, i nie wstyd przy nim nie myśleć podniosłe. Akurat nadszedł.

— Jakżeż na pana czekałam — rzekła, wyciągając do niego obydwie ręce. I powiedziała, co o nim myślała przed chwilą.

— Kochana pani!

Przytrzymał jej rękę w swej szerokiej garści.

— Lubię, gdy kto tak myśli. Trzeba wspinać się w górę — pani mnie rozumie? Lecz ten, kto się wspi-

na, musi odpoczywać, długo musi wypoczywać, wyśpać się, odetchnąć. Pani długą drogę uszła od czasu, jak widzieliśmy się po raz pierwszy.

— Kiedy ja nie mam wcale ochoty do odpoczynku. Przeciwnie, chcę iść, tylko niekoniecznie w górę.

— A jak?

— Prostą drogą, przed siebie.

— Wie pani, co pani powiem — usadowił się swoim zwyczajem wygodnie na kanapie — pani jest bardzo rzadką dzisiaj kobietą, która podbija swoją normalnością. Zaraz, zaraz, niech pani mi nie przerywa, niech skończę. Przy tych kobietach, które dziś uważa się za interesujące, człowiek poprostu dławii się z nudów. To tak, jak kiedy się patrzy na nowoczesne tańce. Człowiek patrzy, oszałamia się, nie może nawet od tego się oderwać, a tęskni do krakowiaka.

— O Boże, odkąd ja już nie tańczyłam krakowiaka! — westchnęła.

— Pani też tęskni do krakowiaka? To jest nie dosłownie do krakowiaka.

— Wie pan, że tak.

— To dobrze. Znak, że pani jest uleczona. Kiedy panią poznałem, była pani bardzo chora. Zupełnie była pani chora. Dlatego nigdy pani nie prosiłem do siebie. O pani sprawach wolałem mówić z Barcicem. Zauważyła to pani? Obawiałem się, aby pani nie spotykała u mnie ludzi, którzyby w panią wprowadzali swoje nastroje. Pani była wtedy na to bardzo podatna. Wie pani, że w owym czasie od takich obcych,

przeciwnych swojej naturze, nastrojów paniby zginęła? Rozumie mnie pani? Stałaby się pani jeszcze bardziej mętna, niż Ola Wielska, jeszcze bardziej tragiczna, niż Romana Ślaska, jeszcze bardziej perwersyjna, niż Zabrzeska. Rozumie mnie pani? To są nawet bardzo miłe kobiety, Zabrzeska jest niezwykle szlachetna — ruszyło go sumienie — ale każda z nich ma dwie dusze. Jedną na pokaz, pomalowaną, jak brwi i wargi, a drugą domową, dla siebie i swojej garderobianej. Pani mnie rozumie? Pani tak rozdzielić się nie może. Gdyby pani zaraziła się tym tragizmem, tą amazonkowością, której w gruncie rzeczy wcale w nich niema, toby pani w tem została, nie zdecydowałaby pani tego z siebie, byłoby to nietylko dla ludzi, ale i dla siebie. Pani jest szczerą. Mało ludzi jest szczerych, i mało takich, którzy żyją swoim własnym życiem. Są jak lustra, w których odbijają się przechodzące postaci. Nie zauważyła pani tego?

— Jak pan powiedział? — zmarszczyła brwi. — Jak lustra? odbijające cudze postaci? Czy panu się nie zdaje, że Barcic kogoś odbija?

— Nie. On żyje życiem własnym. Ja wiem, co pani myśli, ale to nie to. On nie jest lustrem, żyjącem odbiciem przechodniów, lecz skałą, którą żłobi fala oceanu — fala życia. W nim jest i Rukiewicz, i inni, lecz nie jak w lustrze. Barcic, widzi pani, to jest natura męczeńska, zupełnie inna, niż natura, którą ma pani. I taka, jak pani, i taka, jak jego, potrzebne są dla kształcenia ducha, lecz zupełnie są odmienne. Tamte, o których mówiłem, niepotrzebne są na nic.

— Czy pan rzeczywiście wie, o czem myślałam?

— Nie znam faktów, o których pani myśli, ale wiem, o co pani chodzi. On tak silnie w siebie bierze niektóre uczucia i przeżycia, że losy ludzi, co je mieli, w nim się powtarzają. Nie życie ich, lecz ich losy. Pani wie, że pomiędzy nami są tacy, którzy czują chorobę człowieka, i stąd o niej wiedzą. Ja takich znałem, i taką jest Weronika Morawiec. A w niego wchodzi cudze cierpienie duchowe, cudza tęsknota, cudza rozpacz. Wchodzi nawet w niego męka tych, którzy umarli. On należy do tych bardzo rzadkich ludzi widzących, na których pada cudza męka i układa im losy.

— Więc to jest człowiek bardzo nieszczęśliwy!

— Bardzo. — Jaszowski pochylił głowę. — I nie z swojej winy. On jest pod przeznaczeniem. Bo, wie pani, nie wszyscy ulegają przeznaczeniu. Są wolni od przeznaczeń, którzy sami swoim losem kierują. Pani raczej do tych należy. On nie.

Oczy jej błysnęły.

— Więc ja wolna jestem od przeznaczenia? Zależę od siebie samej?

— Zależy pani od siebie samej. Niech pani przypomni sobie swoje życie od pewnej chwili, sama pani się przekona. Wyszła pani zamaż nie to, że z własnej woli — z własnej woli pani wyszła, ale nie o to chodzi — mogła pani była nie wyjść, lub mogła pani wyjść za kogo innego. Osiadła pani w tych Małkach, lecz gdyby pani się uparła, zamieszkałaby pani w Warszawie. Dziś, gdy zdawało się, że zaczyna panią kie-

rować przeznaczenie, że nad panią się rozpostarło, pani ciężko przeboleła tę sprawę, ale okuć się jej pani nie dała. Otrząsnęła się pani. Od tego, co się dzieje, zależy pani zewnątrz, naturalnie wpływa to na panią, musi pani z tem się liczyć, nie kształtuje to jednak pani wewnątrz w ten sposób, aby pani musiała iść koniecznie tą drogą, a nie inną. Psychicznie, duchowo — pani mnie rozumie? I w tym nawet okresie jedynie od pani zależało, aby życie swoje ułożyć tak, a nie inaczej, aby być samą lub nie, aby mieć taką postawę wobec życia, a nie inną.

Zaczerwieniła się. Spojrzał na nią niepostrzeżenie, z pod oka.

— A Barcic? Niech pani siebie z nim porówna. Opowiadała mi pani, jak przyjechał po raz pierwszy do Małek. Musiał przyjechać, przyjechał mimo swej woli, to znaczy, cudza wola, którą miał za swoją, działała w nim. Ta cudza wola, którą ma się za swoją, jest bardzo potężna. Ludzie, w których ona panuje, cudów nieraz dokonują. Tytani woli są zawsze ludźmi przeznaczenia. Barcic? Własna wola jest w nim wtedy, gdy pracuje w swoim zawodzie, decyduje sam przez się, czy jakieś zamówienie przyjąć lub odrzucić, i w tem nad nikogo nie wyrośnie, będzie należał do szeregu mniej lub więcej zdolnych inżynierów. Lecz gdyby ta druga wola skierowała go w stronę spraw, mających znaczenie dla społeczeństw, dla narodów, dla ludzkości, byłby człowiekiem wielkim. Cóż, kiedy jego przeznaczeniem jest tylko w sobie wytworzyć pewną treść. Jego misja nie jest szeroka. Ograniczona

jest do niego samego i do niewielkiego koła istot, różnemi węzłami z nim i z sobą połączonych. Musiał odnaleźć Rukiewicza. Rukiewicz musiał mu zapisać majątek. To wszystko nie mogło być, ale musiało być. Rozumie mnie pani?

Zmienił nagle wyraz twarzy i roześmiał się szerokim śmiechem, ujrawszy wchodzącego Barcica.

— Nie mogliśmy pana się doczekać. Gdzież to pan wieczorami przebywa, zamiast śpieszyć do swoich przyjaciół? Ma pan lepszych w Warszawie przyjaciół, niż ja i pani?

— Nie, nie mam — odpowiedział Barcic.

Był zafrasowany, jakby opanowany jakąś myślą. Jaszowski zdawał się go krępować. Trwało to niedługo, bo Jaszowski, który nigdy nie mógł usiedzieć na miejscu i, gdziekolwiek był, chodził po całym mieszkaniu, poszedł do Kądzielewskich, i niebawem rozległ się stamtąd jego śmiech i gwar rozmowy. I wówczas Barcic rzekł do Anny.

— Niech pani mi powie, co ma być uczynione z Bukowem i majątkiem, który pozostał po Rukiewiczu? Jak pani chce, aby tem zarządzać, jak to ma być administrowane?

— Jakże ja mam o tem decydować? — otworzyła szeroko oczy.

— Wszystko, co po Rukiewiczu zostało, należy do pani.

Błysnęło jej nagle w myśli, że po Rukiewiczu został drugi testament, ale wnet zrozumiała, że w słowach Barcica tai się coś innego.

— Nie rozumiem — rzekła.

— Rukiewicz zapisał wszystko mnie, z tem, żeby to należało do pani. Pani zapisać nie mógł i nie chciał. Wiele było ku temu powodów, i nie wyraziłoby to jego myśli.

— Zostawił jakiś list do pana?

— Nic nie zostawił. Powinienem był to sam odgadnąć. Liczył na moją domysłność. Głupi byłem, że odrazu nie pojąłem.

— Ależ panu się zdaje. Skądże mnie?

— Tak jednak jest.

— Pan chce w ten sposób uczynić mnie osobą bogatą, bo pan wie, że pragnę innych warunków życiowych. Pan już raz chciał mi pomóc. Nie dało się, i teraz tą drogą powraca pan do swoich poprzednich zamiarów. Niech pan tego nie robi, panie Kazimierzu.

— Posądza mnie pani o kłamstwo i to wtedy, gdy chodzi o wolę człowieka nieżyjącego. Przecież ten cały wielki majątek i zmiany, które mogą zajść w życiu pani przez jego odziedziczenie, nic nie znaczą wobec ostatniej woli. Czy pani sądzi, że ja cokolwiek innem mógłbym w tej chwili się kierować, niż jego wolą — jakimkolwiek innem uczuciem? Czy pani mi nie wierzy?

— Nie, żebym panu nie wierzyła, ale skąd pan to wie?

— Z ostatniej rozmowy, jaką z nim miałem.

— Co panu powiedział?

— Powtórzyć pani nie mogę. To musi na zawsze pozostać pomiędzy mną, a nim i jeszcze kimś. Niech

pani mi daruje, nie mogę powiedzieć więcej. Dość, że wiem z największą pewnością, mam najgłębsze przekonanie, że uczynił mnie stróżem depozytu, przeznaczonego dla pani. Niech więc pani wie, że to do pani należy. Tak jest. Ale niech pani weźmie pod uwagę — zaczął mówić chłodno, jak zawsze, gdy mówił o interesach — że ja majątku przepisać na panią nie mogę, ani w formie darowizny, bo zostałoby to niewłaściwie zrozumiane i pociągnęłoby za sobą ogromne koszty, ani w formie symulacyjnego kupna przez panią, bo to równieżby wytworzyło nieporozumienia i nie zgadzałoby się z myślą Rukiewicza. Jestem stróżem tego depozytu i muszę nim zostać, jako formalny jego właściciel. Korzystanie jednak z niego należy wyłącznie do pani — i tylko do pani.

— Ja nie mogę przyjąć takiej ofiary.

— Ode mnie pani nic nie przyjmuje, i ja pani nic nie daję. Jest to zapis Rukiewicza.

— Zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje — położyła rękę na czole. — Nie dlatego, abym chciała to brać, nie dlatego...

— Rozumiem, że pani w tej chwili trudno odpowiedzieć. Niech się pani zastanowi. Zobaczymy się przecież jutro.

Podniósł jej rękę do ust.

— Nie zaczeka pan na Jaszowskiego?

— Nie. Wolę w tej chwili nikogo nie widzieć.

Czy możliwe? Ona właścicielką Bukowa? Z kobiety biednej, żyjącej z drobnej renty po Gozmurze, pozostającej prawie na łasce jego krewnych, nagle...

Nie, niemożliwe! Jednak nie jest to podstęp Barcica. Znadto dobrze go znała, aby nie wiedzieć, że do podstępny się nie uciekał. Jedyne ważną rzeczą dla niego była intencja Rukiewicza. Dziś już nicby go nie przekonało, że intencja ta taką nie była.

— Pani sama?

Drgnęła, usłyszawszy głos Jaszowskiego. Wszedł z Kądzielewskimi. Podano do salonu herbatę. Brała udział w rozmowie, niebardzo rozumiejąc, co się mówi. Czuła jednak ciekawe spojrzenia Kądzielewskiej, niepokój Kądzielewskiego.

Myślała, że miałam scenę z Barcicem. Wyszedł tak nagle. Nie przywitał się i nie pożegnał z nikim. W domu tak uregulowanym każdy odskok od przyjętych oddawna zwyczajów zwracał uwagę. Bardzo dobry, bardzo pocziwy dom, lecz niema w nim swobody. Trzeba się wciąż witać i żegnać, dziękować przy wstawaniu od stołu, poddawać się rygorowi gościnności, przesiadywać ze wszystkimi we wspólnych godzinach, słyszeć pytania — gdzie byłeś, kogo widziałeś? — zadawane nie przez niedyskrecję, lecz przez serdeczność.

Jaszowski już coś wie. Wie, że wszystko w jej życiu się zmienia, że zdarzyło się coś bardzo ważnego. Czuła to w dźwięku jego głosu, w jego śmiechu, w jego żartach. Głuszył podejrzenia Kądzielewskich, odrywał ich myśl od niej. Gdyby mogła z nim mówić! Nie będzie mogła. Niema rady. Gdy wstanie, odprowadzą go do przedpokoju, będą z nim tam jeszcze gadali kilka minut i nie odejdą, dopóki drzwi za sobą nie

zamknie. Nic nie poradzi. Spojrzała na niego, dając mu oczami znać, że chciałaby z nim mówić i że nie ma rady. Niepostrzeżenie skinął głową, że rozumie. Musiała z kimś mówić o tej rzeczy. Z Barcicem, naturalnie, ale Barcic już nie odstąpi od tego, co powiedział, Musiała jeszcze mówić z kimś, poza Barcicem, i o samym Barcicu także. Z kim, jeżeli nie z Jaszowskim, który wie wszystko, któremu tyle rzeczy powiedziała, a tyle sam odgadł. Z kim innym? Sama nie wyjdzie z tego labiryntu. Przyjmie niezapisany zapis Rukiewicza — nie uczyni tak, jakby uczynić powinna. Nie przyjmie — także źle postąpi.

Dochodziła dziesiąta. Jaszowski się rozgadał. Na godzinę nigdy nie zwracał uwagi, zapominał o czasie, mógł siedzieć do północy, i wtedy ona nie zatelefonuje nawet do Barcica, aby go prosić o widzenie się z sobą jutro w ciągu dnia. Nie mogła czekać do jutrzejszego wieczoru na ostateczne wyjaśnienie tej sprawy. Telefonować teraz niesposób, usłyszą stąd, że mówi z Barcicem, i utwierdzą się w przekonaniu o jakiejś między nimi scenie.

Rukiewicz jej przeznaczył cały majątek? Buków? Jak może w to wierzyć! I Barcica uczynił administratorem tego majątku? Jej opiekunem? Czyżby wiedział, co pomiędzy nimi było? Czyżby on chciał... sądząc, że Gozmur nie żyje?... Przekonywał, będąc w Warszawie, że Gozmur nie żyje...

Znowu schwyciła na sobie spojrzenie Jaszowskiego.

Wtem zaczął się żegnać. Wszystko stało się tak, jak przewidziała. Kądzielewscy wyszli z nim do przedpokoju, zaczekali, aż zamknął drzwi.

— Połóż się już — rzekła Kądzielewska, spojrzawszy troskliwie na męża. — Jutro musisz iść do biura.

— A ty?

— Ja też jestem zmęczona. Dobranoc, Anka.

Mieli odejść, gdy rozległ się dzwonek.

— Któż to taki?

Kądzielewski otworzył. Jaszowski.

— Przepraszam państwa. Jaką ja mam głowę! Już szliście spać? A ja jeszcze mam coś do powiedzenia pani Annie, z czem przyszedłem i o czem zapomniałem. Wyobraźcie sobie!

Kądzielewska przekreśliła guzik elektryczny w ciemnym już salonie i cofnęła się wraz z mężem.

— Pani chciała dziś ze mną koniecznie mówić, prawda?

— Prawda.

— Ja to czułem. Żegnając się, zapomniałem i dopiero gdy znalazłem się na ulicy, pomyślałem, że pani gniewa się na mnie za nieznalectwo sposobności do zamienienia kilku słów. Powietrze dobrze robi. Śliczna wiosna. Wieczór ciepły. Może, zamiast siedzieć tu, wzięlibyśmy sobie otwarty automobil i pojechali.

— Dokąd?

— Za Warszawę. W stronę Milanówka, czy Konstancina. Za godzinębyśmy wrócili.

— Cóżby na to powiedzieli Kądzielewscy?

— Pod moją opieką wszędzie o każdej porze może pani jeździć i chodzić. Ma pani klucz od za-trzasku?

— Mam.

— No, więc?

— Wie pan, zostaniemy lepiej w domu.

— Ha, jeżeli pani woli, to zostaniemy.

— Barcic przyszedł dziś z tem, że Rukiewicz cały majątek mnie przeznaczył, choć jemu go zapisał. Że jakoby Barcic mnie go ma oddać. Barcic wynioskował z jakiejś rozmowy, jaką ostatnio miał z Rukiewiczem. — Dopiero teraz ją zrozumiał. Nie chciał mi jej powtórzyć. Jak ja mam postąpić?

Jaszowski zmarszczył z namysłem brwi.

— Niech pani powie wszystko, co pani wie o Barcicu, i wszystko, co pani wie o Rukiewicz.

— Tyle panu mówiłam.

— Nic nie znaczy, duszko moja. Proszę mi powiedzieć wszystko od czasu, jak pani poznała Rukiewicza i Barcica.

Poczęła sobie przypominać. Jeszcze raz powiedziała o przyjeździe Barcica, o Mysce, o tem, co słyszała o matce Barcicowej. Mówiąc, rysowała jednocześnie w umyśle rzeczy dawno odgadnięte o uczuciu, jakie łączyło Rukiewicza z matką Barcica.

Jaszowski słuchał, nie przerywając. Oczami tylko i gestem brał udział w jej opowiadaniu. Czasem uderzył ręką w siedzenie kanapy, potwierdzając jakieś zdanie, pocierał ręką czoło.

— Jest tak, jak Barcic pani powiedział — rzekł, gdy skończyła. — Rukiewicz swój majątek pani przeznaczył.

— Co pan mówi?!

— Jest tak — powtórzył stanowczo.

— Może pan mi wytłumaczyć, dlaczego pan tak myśli?

— Wytłumaczę pani. Rukiewicz chciał, aby Barcic wypełnił względem pani zobowiązanie, którego on nie wypełnił względem jego matki. Może za dużo powiedziałem, kochana pani, ale trudno. Ja i tak wiem, a pani wie, że wiem. Chciał, aby Barcic został opiekunem pani, i uczynił to tak, że powierzył mu pani majątek. Oni musieli sobie powiedzieć bardzo dużo, Rukiewicz i Barcic. Nie trzeba nalegać, nie trzeba pytać Barcica, co sobie powiedzieli. Dużo musieli sobie powiedzieć, więcej, niżbyśmy mogli przypuścić. Splątane są losy ludzkie — westchnął ciężko. — Pani jest przeznaczona przez Rukiewicza, aby rozwiązać ten węzeł losów, który powstał w czasach, gdy Rukiewicz, jako młody człowiek, bywał w domu rodziców Barcica, aby sam Rukiewicz wyswobodził się z pod ciężaru, jaki nosi. Ciężkie musiały być ostatnie jego dni. Chciał powiedzieć matce Barcica, tam! — podniósł rękę w górę: „Nie boleć nad twoim synem, kobiety, którą kochał, nie opuścił”. — On to dla niej zrobił, dla matki Barcica. Rozumie pani?

Nerwy w niej pękały, rozplakała się.

— Uspokój się, duszko moja — pogłaskał ją po głowie. — To dobrze, to przecież bardzo dobrze.

Niech pani wejrzy na te rzeczy jasno, nie tak zwyczajnie, ale jasno, bardziej zwysoka. Pani musi przyjąć spadek po Rukiewiczu. Dlatego, żeby wolę jego spełnić, i dlatego, żeby Barcica ocalić. Barcic nie mógłby żyć, gdyby wola Rukiewicza spełniona nie została.

Otarła łzy, opanowała się. Fala różnych uczuć płynęła przez nią. Jedno od drugiego ani silniejsze nie było, ani jaśniejsze. Nie mogła powziąć postanowienia.

Jak miała te rzeczy widzieć wyraźnie, gdy były tak ciemne i zamglone? Jak miała na nie wejrzeć zwysoka, gdy omdlewała tam, gdzie ją ciągnęli Barcic i Jaszowski?

Jaszowski po ostatnich słowach zamyślił się i nagle gwałtownie, jak to czynił zawsze, wstał i wstrząsnął jej mocno rękę.

— Żegnam panią.

Wyszła za nim. Nacisnęła w murze guzik elektryczny i oświeciła schody.

— Niech pani nie czeka — mówił schodząc. — Zaziębi się pani, i będę miał panią na sumieniu.

— Nie jest zimno.

— Zimno? Gorąco nawet! — odkrzyknął. — No, dobranoc.

Zatrzymał się i, podnosząc głowę do góry: —

— Wygląda pani, jak Hiszpanka. Hiszpanie tak odprowadzają gości i czekają, aż zamknie się brama. Wie pani, aż zamknie się brama! Ale u nas, nim stróż nadejdzie...

Światło zgasło, nacisnęła guzik znowu.

— No, dobranoc — zbiegł ze schodów.

Usłyszała dzwonek i stapanie stróża w bramie.

Tadzik stał w progu swego pokoju. Nie zdążył się cofnąć.

— Nie śpisz, Tadziku? — zapytała machinalnie, zakładając łańcuch.

— Jeszcze nie. Ciocia też się zasiedziała.

— Miałam gości.

— A, właśnie. Słyszałem głos pana Jaszowskiego. Czy on znowu zobaczył coś nowego?

Tadzik nigdy tak nie pytał i o Gozmurze nie mówił. Sprawy te pozornie dla niego nie istniały. Jedy-
nym był w tym domu, o którego życiu wewnętrznym
nic nie wiedziała. W jej myślach roli nie odgrywał.
Odkąd Hela wyszła zamaż, nie chwytala także jego
spojrzeń podejrzliwych. W ciszy oświetlonego przed-
pokoju, w który patrzyły dwie czarne czeluście
z otworzonych drzwi salonu i pokoju stołowego, zbli-
żyli się na chwilę do siebie.

— Nie, niczego nie dostrzegł. O niczem takim
z nim nie mówiłam. A może ty chciałyś o czemś do-
wiedzieć się dla siebie? — starała się zażartować.

— Nie, ciociu.

— Przyznaj się.

Spojrzał na nią bystro.

— Wolałbym, aby mnie tramwaj przejechał, niż
żebym o tem naprzód wiedział i całe życie przejecha-
nia się wystrzegał.

— Może masz rację. Może znajomość przyszło-
ści odebrałaby odwagę do życia.

— Powarjowalibyśmy, gdybyśmy ją znali —
rzekł.

— Co się stało, że się nad tem zastanawiasz?

— A no tak. Dobranoc cioci.

Weszła do swego pokoju. Wydał jej się tak
nudnym i pustym, jak nigdy. Teraz tylko od niej za-
leżało, aby go opuścić. Ten długi, wąski pokój, z ok-
nami na ulicę. Tylko od niej, aby nie widzieć codzien-
nie pasjansa Kądzielewskiej, aby odetchnąć innem
powietrzem. Do dziś nie miała na to, aby kupić sobie
mieszkanie w Warszawie, a teraz! Oparła czoło o szy-
bę i patrzyła w ciemną noc. Wyjechałaby. Pędziłaby
pociągami z jednego miasta do drugiego, z jednego
brzeżu morskiego na drugi. Zapomniałaby o tem, co
było. Nowe przeżycia zakryłyby swą warstwą tamto,
najważniejsze.

Nie! Nie może. Nie może wziąć tego majątku.
Nie może! Żyła z łaski Gozmura, żyłaby z pośmiertnej
łaski Rukiewicza, ze zrzeczenia się Barcica. Gdyby
nawet było tak, jak Barcic mówił, gdyby było tak zu-
pełnie, gdyby było tak, jak tłumaczył Jaszowski, nie
może. Jest coś, co jej tego zabrania, co woła do niej,
że poniżyłaby się, coś, co najsubtelniejsze rozumowa-
nia, te rozumowania zwysoka, rozbija i wniwecz
obraca. Nie może. Wewnętrzny, nieodparty sprzeciw
budził się w niej coraz silniej.

Jak mogła choć na chwilę, poddać się pokusie
i ulec marzeniu? Coby z nią się stało?

Dlaczego Barcic żyćby nie mógł, gdyby nie stało się to, co nazywał spełnieniem woli Rukiewicza? Dlaczego? A gdyby nawet Rukiewicz przeznaczał ją do rozwiązania tych swoich rachunków, to czyż ona istotnie zobowiązana była zadanie to spełnić? Czy ma być niewolnicą żywych i umarłych? I Rukiewicza, i Gozmura?

Myślała o słowach Jaszowskiego. Nie osłabiły, lecz utrwały ją w przekonaniu, że niczego przyjmować nie może. Uznawać opieki nad sobą. Potrzebowała ramienia, coby ją wsparło, spółzycia z sobą, ale nie takiego.

XXIV.

Jaszowski w doskonałym był humorze. Choć zmęczony trochę podróżą z Warszawy, wstał wcześniej, obszedł park, zapuścił się w pola, przystając koło ludzi przy robocie i gadając z każdym. Teraz śpieszył do domu, bo głód mu doskwierał i słońce mocno przygrzewało. Rozpiął kamizelkę i wachlował się wielkim słomianym kapeluszem. Umyślnie sobie sprawił taki kapelusz na wycieczkę do Bukowa.

— Tak pan wcześniej po takiej drodze? — zawołał zdala zdążający w jego stronę Gomulski.

— Ja zawsze wstaję o świcie, aby nie tracić słońca — odparł Jaszowski, przekonany, że mówi zupełną prawdę.

Przystanęli obydwaj.

— Lubię życie spartańskie. Gdybym mógł,

uciekłbym z miasta i zaszył się w jakiejś zapadłej wsi. Nie ma pan pojęcia, jak miasto rozstraja. Żyłbym mlekiem i chlebem i może nawet chodziłbym bosso. Dlaczego nie? Pan dawno tu gospodaruje?

— O, tak. Postarzałem się tutaj.

— Nie postarzał się pan. Pan jest bardzo młody.

— Wolne żarty!

— Zapewniam pana. Dziś starzeją się tylko niedołądzy, albo nicponie.

Nasadził kapelusz, rozstawił szeroko nogi i zaczął rozwijać swoje poglądy. Tyle miał tu wszystkim do powiedzenia.

— Dziś człowiek przewyciężył przestrzeń, czas, a więc i starość. Starość właściwie nigdy nie była stanem naturalnym, tylko chorobą, której człowiek albo nie umiał uniknąć, albo się jej poddawał. Życie odmładza, a nie postarza — pan mnie rozumie? Człowiek rodzi się starym, a umiera młodym. Zaraz to panu udowodnię. Starość, to niedołęstwo, prawda? Któż niedołęźniejszy jest od niemowlęcia? W wyrostku duch z niedołęstwa jeszcze nie wyszedł, cały przywalony jest stroną fizyczną. Młodość nastaje, gdy duch subtelnieje, staje się giętkim, byстрыm i silnym. To jest prawdziwa młodość. Tak, panie, młodość przychodzi z wiekiem. Rodzimy się starymi, a umieramy młodymi. Jeśli tak nie jest, to tak powinno być i tak będzie. Niech mi pan wierzy.

— Pocieszył mnie pan — roześmiał się Gomulski. — Nie przyszłoby mi inaczej do głowy, że z każdym dniem się odmładzam,

— A widzi pan! Pan Barcic pewnie jeszcze nie wstał?

— E, musiał wstać. Przepraszam pana, ale muszę lecieć. U nas na wsi trzeba pilnować i młodych, i starych. We wszystkich duch jednakowy.

Jaszowski wszedł do dworu, gdzie już Stanisław czekał na niego ze śniadaniem.

— Śliczny dzień! — rzekł, siadając za stołem. — A dokąd prowadzi ta szeroka droga, jak wchodzi się w pola?

— Do Danowa, proszę jaśnie pana.

— Wieś? Miasteczko?

— Wieś, proszę jaśnie pana.

— Jest tam dwór?

— Dworu niema, jest tylko kościół i plebanja.

— A, to parafja?

— Parafja, proszę jaśnie pana.

Stanisław jednym słowem nie przekraczał granicy żądanej od siebie odpowiedzi. Jak za Rukiewicza, tak teraz za Barcica sprawował swoje subtelne obowiązki z jednakim umiarem i dystynkcją. Czuły na etykietę, najmniejszym drgnieniem nie okazał ani zbyt, ani niedostatecznej służbiści. Trochę niżej pochylić się w ukłonie, byłoby już za nisko, trochę mniej — niedostatecznie. Jeżeli rzadko i prawie niedostrzegalnie się uśmiechnął, to dlatego, że tak wypadało i że nie mogło być inaczej. Choć już Jaszowskiego obsłużył, stał, domyślając się, że wypytywanie jeszcze nie skończone, ale stał tak, że najbystrzejsze oko oczekiwania w nimby nie odgadło.

Jaszowski odsunął filiżankę, odsapnął i otarł chustką czoło. Wtedy Stanisław zbliżył się do okna.

— Nie otwiera się tu okien od samego rana, ale dopiero, gdy słońce dobrze wejdzie — rzekł tonem objaśnienia. — Może jednak jaśnie pan woli, żeby było zamknięte?

— Niech Bóg broni! Ja lubię powietrze i słońce.

Pragnął gadać, dolegało mu milczenie przy człowieku, znajdującym się w jego promieniu.

Stanisław otworzył okno.

— Dziękuję, duszko moja.

— Powietrza tu nie brakuje, ale słońca mało, bo drzewa je zasłaniają — rzekł wtedy dodatkowo Stanisław.

— Ptaków musi być dużo. Słowiki są?

— O, co tego jest!

— Na przyszły rok wybiorę się tutaj specjalnie na słowiki. Powinniście mieć klatkę z ptakami, taką wielką klatkę. Można by ją było ustawić w stołowym pokoju. Zaraz byłoby weselej. Tu w domu psa nawet niema.

— Nieboszczyk pan nie lubił psów w pokojach.

— Nie lubił psów?!

— Lubiał, ale nie w pokojach. Był tu taki stary wyżeł, co z nim dawniej polował, i jak zdechł, już drugiego pan mieć nie chciał.

— A! rozumiem. To znaczy, że pan Rukiewicz się przywiązywał. Do psa się nawet przywiązał, jak do człowieka. Szlachetny był człowiek, głębszy. Długoście u niego byli?

— Dwadzieścia pięć lat.

— Dwadzieścia pięć lat, Boże mój! Gdy człowiek z człowiekiem przeżyje dwadzieścia pięć lat, dzień po dniu, to wielka rzecz. Człowiek z człowiekiem, rozumiesz, duszko moja, a? Człowiek odchodzi na tamten świat z tem, co zostawia na tym, a po nim zostaje to, co wziął ze sobą. Ciemno tłumaczę. A?

— Nie ciemno, dobrze jasnie pan tłumaczy.

— Im więcej zostawia, tem bogatszy jest tam. A jak zostawić nie ma czego, to idzie tam w nędzę. Bogacz jest tam nędzarzem, a nędzarz bogaczem. Niezawsze, lecz często. Bo to od bogactwa, ani od nędzy nie zależy. Pan Rukiewicz wziął z sobą miłość ludzką. Bogaty jest tem, co wy tu czujecie dla niego. Bo, co w tobie, bracie, jest dla niego, to jest bogactwo. Tym sposobem łączą się żywi z umarłymi. Wielkim dniem jest dzień Zaduszek, wielkiem miłosierdziem zapalenie lampki na opuszczonym grobie.

— Bo to tak, jak list z tego świata na tamten posłany. Człowiekowi przyjemnie go odebrać — rzekł Stanisław.

— Otóż to! Rozumnie powiedziane. Obydwaj dużo widzieliśmy — nie potrzeba z jednego miejsca się ruszać, aby dużo widzieć — to i dużo wiemy. Sąsiedztw tu dużo?

— Wcale niema. Najbliższy Gwizdów, ale to nie sąsiedztwo.

— Czemu?

— Bo tam mieszka taki Kubarski.

— Cóżto za jeden?

— Ano, taki. Na pogrzebie pana przemawiał. Nie trzeba było zezwolić. Ładnie gadał i prawdziwie, ale nie trzeba było zezwolić. Pan go za życia do swojego towarzystwa nie dopuszczał, to po śmierci nie powinien się był pchać przed trumnę. Ale co od takiego wymagać! Ani delikatności nie ma, ani wychowania, żeby to zrozumieć. Śmiałość ma tylko, bo wielkie osoby u niego bywają.

— A tu nie bywały?

— Ich towarzystwo też nie było dla mojego pana. Nieboszczyk pan nie był z tych, co to jeden wyżej, a drugi niżej. Co miał, to z siebie, nie z dorobków, ani z zasługiwania. Po ojcu i po dziadach. A do stołu nie lubił siadać z takimi, co same trufle jedzą, dlatego, że ich przedtem nigdy nie widzieli.

Usłyszał kroki Barcica i natychmiast drugie nakrycie położył na stole.

Barcic policzki miał zapadłe, oczy podkrążone i nabrzmiałe. Wyglądał na przygnębionego.

— Jedziemy dziś do Małek? — spytał Jaszowski.

— Po południu.

— Widział już pan panią Annę?

— Nie.

— Już od trzech dni tam jest.

— Wiem, ale nie mogłem się wybrać. Czekałem na pana. Musimy tę sprawę skończyć. Pan jest tego zdania, co ja, a ona panu bardzo ufa. Liczę na to, że ją pan przekona.

— Otóż, widzi pan... — rzekł Jaszowski. — Ale niech pan wypije herbatę, i pójdziemy do ogrodu.

— Otóż widzi pan — ujął go pod ramię, gdy wyszli — pani Anna przyjąć tego nie może.

— Dlaczego? — spytał twardo Barcic. — Pan przecież sam ją namawiał, sam jej pan tłumaczył.

— Niech mnie pan posłucha. Niech mi pan nie przerywa, tylko niech pan mnie wysłucha do samego końca. Istotnie, miałem poczucie, że ona nie może i nie powinna się wymawiać, ale gdy później rozmówiłem się z nią obszernie, zrozumiałem. Nie znaczy to, abym jej przyznawał rację, bo mną wyższe kierują względy — ale zrozumiałem. Położenie jej jest trudne. Znajduje się w niewoli materialnej. Gdyby była osobą bogatą, gdyby w jej życiu posiadanie tego majątku nic nie zmieniło, łatwiej byłoby jej go przyjąć. Ale tak, jak jest, ona czuje dobrze, że niewolę materialną zamieniłaby na moralną. Rukiewicz nad tem się nie zastanowił, jeśli zapisał panu Buków z taką intencją, jak pan mówi. On chciał dać jej wolność całkowitą — taka była jego idea. Nie rozważył wszystkich okoliczności.

Barcic szedł z pochyloną głową.

— Więc cóż ja zrobić?

— O, człowieku! — Jaszowski się zaperzył. — Masz taki majątek, taki pałac, taki park, takie lasy, taką ziemię, taki kapitał, i tylu ludzi koło siebie bez dachu i bez ziemi — i pytasz, co zrobisz! O, człowieku!

— Chcesz pan, abym zakładał ochronki, czy domy poprawy? — spytał zgryźliwie Barcic. — Gdyby to było celem Rukiewicza, uczyniłby odpowiedni zapis. Przyznam się panu, że ja do filantropji się nie zapalam, chcę tylko spełnić jego wolę, nic więcej.

— Spełń jego wolę.

— Jak? Skoro pani Anna się jej sprzeciwia.

— Stwórz instytucję, w której ona miałaby swój udział, swoje zajęcie. Rozumie mnie pan? Spełnisz wtedy wolę Rukiewicza, bo dasz jej wolność kompletną, moralną i materialną. Dom poprawy? Dlaczego pan mówisz tak kwaśno o domu poprawy? Nie dla złodziei i pijaków, i kobiet upadłych. Ale dom poprawy ducha, dom rozwoju talentów, dom nie dla wykołajeńców, lecz dla wybrańców! Zrób pan, jak mówię. Postap, jak wielki człowiek! Popchnij naprzód losy świata, choćby przykładem. Spójrz pan w przeszłość, sięgnij do czasów starożytnej Grecji. Szkoda, że nie ma tu Chomentowskiego, boby ci naukowo udowodnił, co ja tylko czuję, że materialna cywilizacja wyrosła ponad wszelką miarę, a duchowa powolnym krokiem idzie naprzód! Nacisku materialnej nie wytrzyma. Straszliwa rzecz, straszliwa tragedia, gdy człowiek duchem nie dorasta do potęgi środków, jakimi rozporządza jego rozum! Wtedy przestaje służyć Bogu i zaczyna służyć szatanowi. Wymyśla grube „Berty” i gazy trujące. Stwórz pan coś takiego, z czego potęga ducha biłaby na ziemię!

— Jaki pan entuzjasta!

— Lepiej na entuzjazmie zbankrutować, niż na zimnym rozsądku się dorobić. Niech pan mnie posłucha — ujął znowu Barcica pod ramię — pani Anna jest kobietą trzeźwą, realną, ale niech pan wie, że kobiety pod takim realizmem kryją często bardzo wysokie wartości duchowe, tak jak, z drugiej strony, pod wzniosłym idealizmem kryją nieraz najdzikszego egoizm.

Niech pan jeszcze posłucha. Tego, co powiem, nikt panu nie powie, i ja drugi raz tego nie powtórzę. Was było sześcioro. Pan i pana matka, ojciec, pani Anna, Rukiewicz i Gozmur. Losy wasze były splątane. Nieraz tak się dzieje, a ludzie tego nie widzą. Gdyby widzieli, zrozumieliby niejedno, odgadliby niejedno. Wrózek się szuka, a samo życie jest wrózką, gdy się w nie wejrzy! Samo życie ostrzega, i samo życie mówi, co będzie. Na jednym okręcie jechaliście wszyscy — i wszyscy razem dobiliście do brzegu. A wie pan, kto okręt w burzy uratował? Gozmur. W ten sposób i on spełnił swoje przeznaczenie. Gdyby on nie wstrząsnął wami, co by z was było? Tamci patrzyliby z tym samym smutkiem, z jakim odeszli, na powtórzenie swego życia, a wy!... Człowiek to jest duch, który uzyskał możność czynu i tworzenia. Niech pan o tem pamięta. Jedźmy do Małek!

— Zaraz?

— Naturalnie, że zaraz. Przyjechała z Kądziewskimi na tydzień, jest już trzy dni, i jeszcze pan jej nie widział. Nawet z towarzyskiego punktu widzenia nie zachowuje się pan, jak należy.

Zerwał czerwoną różę i, podnosząc ją do góry, rzekł.

— Mój kwiat.

— Pański?

— Mój. Powiem panu, jak widzę swoim wewnętrznym wzrokiem. Wyobrażam sobie czerwoną różę tak realnie, z takim natężeniem, że widzę ją przed sobą, jak pan widzi tę. Gdy ją tak zobaczę, nie jestem już tu, mogę być wszędzie, przenoszę się duchem tam, gdzie chcę.

XXV.

— Widziałem tego twojego Gozmura — rzekł Skrzycki, odrzucając kartę Jaszowskiemu.

Jaszowskiemu karty wypadły z rąk.

— Gdzie?!

— Co pan robi, panie Zygmuncie — zachnął się Zuborzycki. — Wszystkie karty pan pokazał. — Złożył swoje i odsunął się od stolika.

— Gdzie?!

— Na Pokuciu.

— Pan byłeś na Pokuciu? — odezwał się nieporuszony Witariski.

— Przed kilkoma dniami stamtąd wróciłem.

— I dopiero teraz mi o tem mówisz!

— Nie widziałem cię od przyjazdu!

— Nie mogłeś przyjść?! Nie mogłeś zatelefono-

wać?! Gdzie go widziałeś? U kogo? Jesteś pewny, że to on?

— Jeżeli jest drugi Bolesław Gozmur, który chyłkiem opuścił swój dom, to nie jestem pewny, aby to był on.

— Z jaką on to flegmą mówi! Jestem przekonany, że umyślnie odrazu nie dałeś mi znać, że umyślnie powiedziałeś to teraz tak odniechcenia, aby pokazać, jaki masz spokój, jaki jesteś Grek! A ja ci powiadam, że gdyby na twoim miejscu był Sokrates, Platon, Demostenes, toby minuty nie czekał i przybiegłby do mnie. Platonby przybiegł, dając ci słowo. I Chomentowski by przybiegł, wierząc mi. — Purpurowy był z irytacji i wzruszenia. — Nie rozdawajcie kart, nie potrafie grać. Zaczekajcie. Muszę natychmiast telefonować do jego żony.

— No, to zrobisz jej pan przyjemność — rzekł Zuborzycki. — Już się biedaczka uspokoiła, że nigdy tego swojego małżonka nie ujrzy, a tu masz! Ja na twoim miejscu — zwrócił się do Skrzyckiego — nigdybym o tem nie powiedział.

Skrzyckiemu z uciechy błyszczały oczy.

Ale Jaszowski do telefonu nie poszedł.

— Nie mogę telefonować. Muszę powiedzieć osobiście. Gdzie go widziałeś?

— Dowidzenia — rzekł Zuborzycki.

— Już odchodzisz? — spytał Skrzycki.

— Naturalnie, że odchodzę — pożegnał się.

— A ten o co się obraził? — Jaszowski powiodł oczami po Witarskim i Skrzyckim.

— Obraził się, że Gozmur większy efekt zrobił swoją nieobecnością, niż on obecnością — rzekł Skrzycki.

— Więc, gdzie go widziałeś? Mów.

— Nasampierw ty mi powiedz, gdzie on według ciebie jest i u kogo?

— Zaczekaj, zaczekaj. Przejdźmy do mojego pokoju. Tam zaciszniej. Nie mogę mówić przy stoliku z kartami.

Zasiadł na kanapie, z kanapy osunął się na dywan, podłożył nogi pod siebie.

— Poczekajcie, poczekajcie, muszę sobie przypomnieć. Jest na wsi, we dworze, ma koło siebie psa, dużego, płowego psa.

— Tak — potwierdził Skrzycki — Ma takiego psa.

— Widzisz! Ten majątek należy do starej baby. Jest stara i zła. Ma brodawkę tu, koło nosa.

— No, to ty jesteś as. Istotnie ma brodawkę koło nosa.

— Nosi czarny, koronkowy czepeczek.

— Tak.

— Nadzwyczajne! — wykrzyknął Witarski.

— Poczekaj, poczekaj. Budynki kryte czerwoną dachówką. W okolicy dużo wody.

— Tak. Majątek nazywa się Czahry i leży nad Dniestrem. No, już nie męcz się, powiem ci wszystko. Pani Tekla Olniewska, dziś stara, brzydka i zła, nie zawsze taką była.

— Ty ją znasz?

— To moja ciotka.

— Nie może być!

— Jeżeli nie była nigdy dobrą, to niewątpliwie była młodą, a może i ładną. W każdym razie byli tacy, co za nią szaleli. Do nich należał Gozmur. Nie umiem ci powiedzieć, dlaczego nie został moim wujem, zwłaszcza, że tylko dla niego miała sentyment, który zachowała po dziś dzień. Nadzwyczajna byłaby para. Zamiast za Gozmura, wyszła za człowieka, którego niecierpiała. Miał on za swoje! Była mu wierną, jak tylko takie damy wierne być potrafią, i takiej samej wierności wymagała dla siebie. Gdy się biedak zapomniał, kropiła go rajtpajczem. Zawsze nosiła z sobą jakieś narzędzie do wymierzania kary. Teraz chodzi z laską. Szturcha nią dziewczki, parobków, nie pyta.

— A tego Gozmura nie bije? — spytał współczująco Witarski.

— Jego, nie. Ani jego, ani jego psa. Cieszą się najwyższymi względami. Ze łzami w oczach mi mówiła, jak Gozmur u niej się zjawił: „Widzisz, wrócił do mnie — po tylu latach wrócił! Ożenił się z jędzą, w najwyższym stopniu ponadto niemoralną, romansującą z jakimiś przybłędami...”

— Nieprawda! — zaprzeczył Jaszowski.

— Powtarzam, co mówiła: „...plamiącą mu nazwisko, gęsią bez uczucia i rozumu — takie zawsze mają szczęście — nie wytrzymał i wyszedł z domu o kiju. Jaka to kobieta potworna, najlepszy dowód, że on nie wytrzymał! on — szlachetność chodząca, dobroć wrodzona! Znasz moje poglądy i wiesz, że wy-

magam, aby ludzie, skoro się połączą, do śmierci z sobą wytrzymali, jakkolwiekby im było. Ale w tym przypadku darowałam — rozgrzeszyłam. I wierzę, że Bóg mu odpuści. Modłę się o to codziennie...”

— Ale mówmy o Gozmurze — przerwał Jaszowski.

— Stało sobie to moje ciotczysko, wsparte na ławce, przed domem, gdy spostrzegła idącego ku sobie, z psem, obdartego, opadającego z sił, kochanka młodości. „Serce we mnie zamarło! Nie poznałam odrazu, ale przeczułam, że nie włóczęga. Dopiero gdy przemówił... Dopiero gdy przemówił... Znasz mnie, wiesz, jaka jestem, a rozbeczałam się”. Możecie sobie wyobrazić, jak babinie pochlebiło, że po tylu latach do niej wrócił, że jej nie zapomniał, zwłaszcza, że przeżył ją nad swoją młodą połowicę. Ma dla niego mурowaną wdzięczność. Gdy jej wszystko wyznał, pochwaliła go. „Dobrze zrobiłeś, że porzuciłeś błażnicę. Niech się o tobie do śmierci nie dowie. Zrozumie, co straciła. Pozna życie. Jeśli ma iskierkę sumienia, może się poprawi, o nikim nie należy powątpiewać. Ale o tobie do śmierci się nie dowie!” Przebiegła baba, przedstawiła go jako swojego kuzyna, który uciekł z Bolszewji. Wyobraźcie sobie, co za inwencja! Gozmur wymawiał się, że w Bolszewji nie był. „Gorzej byłeś, niż w Bolszewji, kiedy tyle lat żyłeś z istotą upadłą. Mów według niej o stosunkach, jakie tam panują, a każdy ci uwierzy”. On jednak nic nie mówi, do nikogo się nie odzywa, poza nią i swoim psem.

— A jakżeż tobie wszystko powiedziała?

— Oto właśnie historia. Przyjeżdżam do Cza-
hrów, bierze mnie do swojego pokoju, nic nie mówi,
że ma takiego gościa, gdy nieoczekiwanie wchodzi on.
Dalibóg, nie dziwię się jego żonie. Ciotka przedstawia:
„Mój kuzyn, pan Gozmur”. A ja w jednej chwili przy-
pomniałem sobie wszystko, co opowiadałeś...

— Ja ci nic nie opowiadałem.

— No, to ktoś mi za ciebie opowiadał — i py-
tam: — Szanowny pan z Małek?

— Tak spytałeś?

— Tak. Ciotka zbladła. Kazała mu wyjść i do-
piero opowiada mi całą historję, a potem każe przy-
sięgać, abym nikomu słowa nie pisał.

— Przysięgałeś?

— Nie przysięgałem. Powiedziałem: Skoro ciocie
przysięgam, że nikomu nie powiem, to powinno to
cioci wystarczyć.

— A jednak powiedziałeś.

— Wolałbyś, żebym nie powiedział?

— No, mów dalej.

— Cóż mam więcej powiedzieć? Byłem tam za-
ledwie dwa dni, wstąpiłem, wracając, z Zaleszczyk.
Przez ten czas nigdy do mnie nie zagadał, o nic nie
pytał. Przyszedł do stołu, zjadł, odszedł, poszedł
w pola i tyle.

— Cóż on tam robi?

— Niby zajmuje się gospodarstwem. Ciotka
stworzyła jakieś pozory zajęcia, w które on zdaje się
wierzy, ale przy całym uczuciu, jakie ma dla niego,
majątku mu w zarząd nie oddała. Rządca dla formy

musi go we wszystkim o zdanie pytać, poczem robi
swoje. Ciotka rozplęwa się nad nim. „Anioł nie czło-
wiek!” Skończy się na tem, że mnie wydziedziczy,
a jemu wszystko zapisze.

— Zasłużyłeś na to, boś nie dotrzymał słowa. Co
za dziwna rzecz! co za dziwna rzecz! — Jaszowski
chwycił się za głowę. — Taka ważna rzecz zostałaaby
wykryta przez takiego błazna!

Nim Skrzycki odpowiedział, już był przy nim,
objął go ramieniem i ucałował w obydwie policzki.

— Nie gniewaj się; ja tak, widzisz, z serca. Ty
jesteś trochę błazen, trudno. Ja ci to mogę powie-
dzieć — prawda, Witarski, że ja mogę? No, widzisz,
— kiwa głową — że tak. Gdyby ci to Chomentowski
powiedział, tobyś miał prawo się obrazić, bo on pa-
trzy jednostronnie, a ja jestem sprawiedliwy. Ja
wiem, że ty masz swoje dobre strony, jesteś inteli-
gentny, utalentowany, mógłbyś być genialny, daję ci
słowo.

— Zdaje się, że mi niczego do tego nie brakuje.

— No, widzisz, sam się oceniłeś. Więc się nie
gniewasz?

— O cóż miałbym się gniewać? Są rzeczy, o któ-
rych nie śniło się filozofom, ale niema takich, o któ-
rych nie śniłoby się błaznom.

— Ślicznie powiedziałeś. Nie wiem, czy praw-
dziwie, ale ślicznie!

— Gdybyś pan żył za innych czasów, byłbyś kró-
lewskim faworytem — przemówił Witarski.

— Mylisz się! — zawołał Jaszowski. — Nie! On

nie ma manier. Ma polor, ale nie ma manier. Co maniera znaczy, to ja dopiero teraz zrozumiałem. Poznałem takiego starego lokaja. Co za maniery! Gdybyś ty mógł sobie takie przyswoić, byłbyś nadzwyczajny!

— Przestańcie mówić o mnie, bo mi się w głowie przewróci. — Skrzycki już trochę się zirytował.

— Muszę was przeprosić — Jaszowski spojrzał na zegarek. — Nie gniewajcie się, każcie sobie podać herbatę, zaczekajcie. No róbcie, co chcecie! Witariski, każ podać kolację. Jesteś jak w domu.

Ujął już za klamkę, gdy nagle odwrócił się

— Więc na pewno widziałeś Gozmura?

— Dajże spokój! Nie chodź! — zawołał Skrzycki i zaniósł się takim śmiechem, że łzy stanęły mu w oczach.

— Żelgałeś? — spytał Jaszowski.

— Od a do zet. To znaczy, mam taką ciotkę z brodawką koło nosa. Byłem u niej i pomyślałem sobie, że byłaby doskonała para dla Gozmura. Gdyby go kiedyś znała, gdyby kiedyś się w niej kochał i teraz do niej zawitał, toby z pewnością wszystko było tak, jak ci opowiedziałem. Tylko, że go nie znała, i że do niej nie zawitał.

Jaszowskiemu gniew krwią nabiegł do twarzy, a Witariski to na niego, to na Skrzyckiego spoglądał, nie wiedząc, czy Skrzycki kłamie teraz, czy kłamał przedtem, i nie rozumiejąc, jak Jaszowski mógł go nie przeniknąć.

— Ale że dałeś się tak nabrać! Ty, taki jasnowidz! — krztusił się ze śmiechu Skrzycki.

— Przestań! — przerwał mu Jaszowski i, opanowawszy się, usiadł naprzeciw niego. Tylko oczy straciły swój zwykły wyraz i stały się twarde.

— I cóż dowiedziałeś się o mnie przez to, że udało ci się na chwilę wprowadzić mnie w błąd? — zapytał. — Czy nie wiedziałeś, że w karty przegrywam, że w interesach można mnie oszukać, że bardzo często okazuję sympatię komuś, kto na to zupełnie nie zasługuje, jak naprzykład tobie? O czym więc pouczyło cię to twoje doświadczenie?

— Prawda! — zawołał Witariski.

— Widzę, że masz do mnie pretensję — rzekł Skrzycki.

— Pretensji do ciebie nie mam, mam pretensję do was, t. j. do takich jak ty. Do was, którzy zawsze i wszędzie przeszkadzacie w poznaniu nowego zjawiska i nowej prawdy, w obawie, aby one nie zburzyły utartych poglądów, w których nauczyliście się obrać, i nie postawiły was przez to niżej od innych. Przestaliście być wówczas tacy inteligentni, tacy światli, tacy ściśli! Wy, to jest tacy sami jak ty, drwiliście kiedyś z Kopernika, drwiliście z Pasteura, drwiliście i drwicie ze wszystkich nowych prądów w literaturze i sztuce. Przyjmujecie je dopiero wtedy, gdy zostaną uznane, opatentowane, gdy wam je można podać tak, jak dzieciom tabliczkę mnożenia. Nauczyliście się zresztą wierzyć w tak zwaną wiedzę ściłą i przyjmować to, co ona mówi, nic nawet z tego

nie rozumiejąc. Bo gdy ci ktoś powie, że zbankrutowała geometria Euklidesa, że podważone zostało prawo przyczynowości, to, choć z tego nie pojmiesz ani słowa, będziesz dyskutował o istnieniu czwartego wymiaru i o przypadkowości życia!

Wytłumaczno mi, jeśli łaska, teorię Einsteina! Rozumiesz z niej akurat tyle, co twój pucybut. Ale w nią wierzysz, i o niej mówisz. Bo gdybyś się przyznał, że nie masz o niej zielonego pojęcia, nie uważany byłbyś za takiego inteligentnego, światłego i genialnego! Dlaczegoż nie wierzysz mnie, którego znasz, który cię nigdy nie okłamuje, i stosujesz do mnie doświadczenia, godne swojej kucharki?

Wiedza o człowieku rośnie, rośnie przez nas, przez takich jak ja! — uniósł się. — Mam, i są tacy, którzy mają również, tak jak ja, dar, czy zdolność, czy jak tam chcesz, którego nie posiadasz ty, i którego nie posiadają tysiące i miliony innych. Ja, my, poddajemy się dziś lojalnie badaniom nauki. Pozwalamy, aby została zbadana ta nasza właściwość odrębna, aby wzbogacona została przez to wiedza o człowieku. Ale takiej samej lojalności wymagamy dla siebie i protestujemy przeciw urządzaniu kawałów, błazeńskich hec i małych przedrzeźniań. Zrozumiałeś mnie?

Sprawa Gozmura jeszcze się rozwiąże. Nie wiem kiedy, ale się rozwiąże.

— Jak? — spytał Witarski.

— Ta ostatnia karta — odparł Jaszowski, patrząc przed siebie — nie jest jeszcze zapisana, ale

białą, niezapisaną nie zostanie. Pomimo swojego wieku Gozmur ma życie wewnętrzne, nie jest w bezruchu i bezwładzie. Proces duchowy dokonuje się w nim i się dokona. Gdy to nastąpi, będziemy wiedzieć wszystko.

I nagle, do Skrzyckiego:

— Wyjdź do drugiego pokoju, narysuj coś albo napisz, i podaj mi.

Wyciągnął się na otomanie i założył ręce pod głowę, nie zwracając uwagi na przechadzającego się po pokoju Witarskiego.

Po kilku minutach Skrzycki wrócił, niosąc grubą, zapieczętowaną kopertę. Jaszowski, nie spojrzawszy na nią, wziął ją do ręki i przymknął oczy.

— Daj mi ołówek — rzekł.

Powoli rysować począł na kopercie szachownicę. Gdy ją ukończył, zamyślił się, i na jednym z pól narysował koronę.

— Tak? — spytał.

— Tak — odparł Skrzycki.

— Pokaż.

Witarski porwał kopertę, otworzył. W niej była koperta druga, a wewnątrz, na skrawku papieru szachownica, i korona na tem samem polu.

— Przepraszam cię — rzekł Skrzycki.



265027



KONIEC



WYDAWNICTWA GEBETHNERA I WOLFFA

POWIEŚĆ — NOWELA

- BARTKIEWICZ Z. — Polityka w lesie. Wybór nowel (odznaczony nagrodą im. El. Orzeszkowej 1928 r.) . . . 7.50
 — Psie dusze. Nowele i obrazy 2.50
 BRODZEWSKI T. — Dzwon na trwogę. Powieść 4.80
 — Płomień na wietrze. Powieść 7.50
 — Zatrute źródło. Powieść 3.50
 CHOYNOWSKI P. — Dom w śródmieściu. Powieść . . . 5.—
 — Historja naiwna. Nowele 3.—
 — Kuźnia. Powieść historyczna z lat 1861—1863. Wyd. 2. 5.—
 — Młodość. Miłość. Awantura. Powieść. Wydanie 2. 6.—
 — O pięciu panach Sulerzyckich. Nowele 5.—
 — Pokusa. Nowele 2.50
 DĘBICKI T. — Od brzegu do brzegu. Opowieść morska . . 5.—
 DICKENS K. — Powieść o dwóch miastach. Przekład Teresy Świdorskiej 8.—
 DZIKOWSKI ST. — Egzotyczna Polska. Z włości myśliwskiej. (ukaze się w czerwcu 1931).
 EJSMOND J. — W puszczy. (Opowieści o sercu zwierzęcem). Z przedmową Józefa Weyssenhoffa. Wyd. 2. 4.50
 — Żywoty drzew. Druga księga „W Puszczy“. . . . 4.—
 GERMAN J. — Skrzydła. Powieść 2.10
 — Twarz z za kurtyny. Powieść 2.40
 GOETEL F. — Humoreski. Wyd. 2 5.—
 — Kar-chat. Powieść. Wyd. 2. 4.—
 — Ludzkość. Schmerzenreich. Cyprjan Czyż. Trzy opowiadania. Wyd. 2 7.80
 — Pątnik Karapeta. Nowele. Wyd. 2 7.80

GOETEL F. — Serce Iodów. Powieść, odznaczona państwową nagrodą literacką za rok 1929. Wyd. 3 . . .	10.—
— Z dnia na dzień. Powieść. Wyd. 3 . . .	
HAJOTA. — Z dalekich łądów. Nowele . . .	6.50
KISIELEWSKI Z. — Amerykanka. Powieść . . .	5.—
— Poranek. Powieść . . .	4.—
KLESZCZYŃSKI Z. — Białe noce. Powieść . . .	4—
— Nerwy. Nowele . . .	6.50
— Romans na wsi. Powieść. Wyd. 2 . . .	4.—
— Siostry Cleo. Nowele . . .	4.50
— Tyran. Romans. (ukaze się w czerwcu 1931) . . .	
KOSSOWSKI J. Ceglany Dom. Powieść . . .	8.—
— Kłamca. Powieść . . .	5.—
— Powroty. Nowele . . .	8.—
— Śmierć w słońcu. Powieść . . .	8.—
— Zielona kadra. Nowele. Wyd. 2 . . .	6.—
KOWERSKA Z. — Na cichej wsi. Powieść . . .	5.—
KRAŚIŃSKA M. — Wolny ptak. Powieść . . .	8.—
LECZYCKI K. — Państwko. Powieść . . .	7.50
LIGOCKI E. — Noc na Palatynie. Powieść . . .	3.50
— Sambra i Moza. Powieść. Wyd. 4 . . .	4.—
— Sen o Dwernickim. Powieść. Wyd. 2 . . .	2.50
— Thalassa. Powieść współczesna. Wyd. 2 . . .	2.50
— Zwid złego ducha . . .	4.50
ŁADA J. — Białe i czarne duchy. Powieść . . .	2.—
— W zaklętym zamczysku. Powieść z lat dawnych 2 tomy . . .	12.—
ŁUBIEŃSKI H. — Zwycięzca. Powieść . . .	5.50
MACIEJOWSKI J. K. (Konrad Jotemski). — Pograniczne ogniska. Powieść . . .	7.—
MAKUSZYŃSKI K. — Awantury arabskie . . .	5—
— Listy zebrane . . .	10.—
— O duchach, djabłach i kobietach. Wydanie nowe zwiększone . . .	3.—

MAKUSZYŃSKI K. — Ponure igraszki. Wyd. 2. . . .	
— Śmieszni ludzie. Cztery opowiadania. Wyd. 3 . . .	6.—
— Wycinanki. Wyd. 3 . . .	5.—
MALCZEWSKI R. — Narkotyk gór. Nowele . . .	5.—
NAŁKOWSKA Z. — Choucas. Powieść internacjonalna . .	4.50
— Książę. Powieść. Wyd. 3 . . .	7.80
— Niedobra miłość. Romans prowincjonalny. Wyd. 2. .	7.50
— Romans Teresy Hennert. Powieść. Wyd. 2 . . .	5.—
— Ściany świata. Nowele . . .	7.50
NAŁKOWSKA Z. i WIEŁOPOLSKA M. J. — Księga o przyjaciółach . . .	4.50
ORZESZKOWA E. — Nowele i szkice . . .	3.—
— Ostatnie nowele . . .	3.—
— Pisma. Tom II — III. Nad Niemnem. Powieść w 2-ch częściach. Wydanie 4 . . .	12.—
— Tom IV. Dziurdziowie. — Cham. Wydanie 2 . . .	5.—
— Tom VII. Meir Ezofowicz. Wydanie 2 . . .	5.—
— Tem XXIV. Dwa bieguny . . .	4.—
— Tom XXV. Gloria Victis. Nowele . . .	6.—
OSTROWSKI J. — Chorągiew na dachu. Powieść . . .	6.50
— Kobuz. Powieść. (ukaze się w czerwcu 1931) . . .	
— Obok życia. Powieść . . .	3.75
— Sztandar na maszcie. Powieść . . .	5.50
PERZYŃSKI W. — Cudowne dziecko. Nowele . . .	2 20
— Dwoje ludzi. Powieść . . .	7.—
— Klejnoty Powieść . . .	13.80
— Kłopoty ministrów. — Nowele . . .	2.—
— Nie było nas, był las. Powieść. Wyd. 2 . . .	6.—
— Raz w życiu. Powieść. Wydanie 2 . . .	6.—
— Uczniaki. Powieść. Wyd. 2 . . .	6.—
— Złoty interes. Powieść. Wyd. 2 . . .	8.—
— Znamię. Nowele . . .	5.—
REYMONT WŁ. ST. — Chłopi. Wyd. 9, popularne, cztery tomy w dwóch . . .	14.—

IV

REYMONT WŁ. ST. — Krosnowa i świat. Nowele. Z przed- mową A. Grzymały-Siedleckiego	10.—
ROGAŁA JAN — Odkupienie. Powieść. Wyd. 2	7.50
— Płomień. Powieść. Wyd. 2	6.—
— Zarzewie. Powieść. Wyd. 3	5.50
RYCHLIŃSKI J. B. — Mah Jong. Cykl nowel	4.—
RYMKIEWICZ WŁ. — Pan swego życia	8.—
SALIŃSKI ST. M. Opowieści morskie. Cykl nowel z przed- mową Zdzisława Dębickiego	4.50
SEY M. — Hańdzia. Nowele	3.—
SIEDLECKI - GRZYMAŁA A. — Galeria moich bliźnich. Nowele i fraszki. Wyd. 2	2.—
— Samosęki. Powieść. Wydanie 2	6.—
SŁOŃSKI E. — Drogi nieznane. Powieść	2.50
SZPOTAŃSKI ST. — Prometeusze. Powieść historyczna	9.—
— Przysięga. Powieść	4.80
— Skradziony rękopis. Powieść	5.—
— Synowie kłęski. Powieść historyczna	7.—
WERONICZ M. — Płomienie u brzegów. Nowele	2.50
WEYSENHOFF J. — Jan bez ziemi. Powieść	10.—
— O sztuce pisarskiej Pawła Cazin. Z dołączeniem czte- rech jego nowel. Z 5 ilustr.	5.—
— Puszcza. Powieść. Z 10 ilustracjami K. Mackiewicza, wykonanemi we wkłęsłodruku	20.—
— Soból i panna. Powieść. 43 do 46 tysięcy	25.— 6.50
WIEŁOPOLSKA M. J. zob. Nałkowska Z. i Wielopolska M.	
WIERZBIŃSKI M. — Wielka gra. Powieść	6.—
WIKTOR JAN — Srogi pies i sentymentalny zając. Powieść	4.60
ZANIEWICKI Z. — „Oberschlesien“. Niepowieść	6.—
ZIENKOWICZOWA E. — Lulu na Rivièrze. Powieść	6.50
ŻYZNOWSKI J. — Kamienie ugorne. Powieść	5.40